

NR 10 LISTOPAD 2017 ISSN 2449-6251

MOKOPOLITAN

PUNKS NOT DEAD.

WYWIADY:

ALECKIE

J. RZYMIŃSKI

P. WATTS

PROZA:

L. BIGOS

R. DĄBROWSKI

A. GRZANEK

M. KRZESSEL

P. MAJKA



TEMAT NUMERU

- 3 Big data szok przyszłości?
Katarzyna Rupiewicz
- 9 Zbuntowane gry
Michał Szymański
- 15 Solarpunk: ekologiczna utopia
Anna Łagan



- 21 Steampunk's not dead
Karolina Fedyk, Anna Hrycyszyn, Artur Nowrot, Przemysław Zańko

O P O W I A D A N I A

- 30 Dźwięki Starej Ziemi
Matthew Kressel
- 41 Brzaskun **Radosław Dąbrowski**



- 45 Ecce Homo **Leszek Bigos**

- 55 Miedź brzęcząca **Anna Grzanek**

P O W I E Ś Ć

- 71 Oko Cyklonu **Paweł Majka**

R O Z M O W A

- 80 Będę pisać to, co chcę pisać.
Wywiad z Ann Leckie
Karolina Fedyk



- 87 Świadomość mięsa
Wywiad z Peterem Wattsem
Marcin Kłak i Martyna Walerowicz

- 91 Jesteśmy „miesięcznikiem miłośników fantastyki” – we wszelkich jej aspektach
Wywiad z Jerzym Rzymowskim
Piotr Zawada

F A N D O M

- 96 Polcon 2017 **Marcin Kłak**

R E C E N Z J A

- 99 Ekonomia niedoboru
Michał Szymański

CYBERPUNK NOT DEAD

Jedną z najgłośniejszych wiadomości roku 2017 roku było to, że CD projekt Red „opatentował” cyberpunk. Właściwie to nie opatentował, tylko zastrzegł nazwę (znak towarowy). Właściwie to nie cyberpunk, tylko nazwę „Cyberpunk”, i właściwie nie tak zupełnie, a jedynie na ściśle określonych polach eksploatacji i jak na razie tylko do roku 2026.

Nie stało się zatem nic, co wpłynęłoby szczególnie na otaczającą nas rzeczywistość. Będziemy dalej mogli czytać cyberpunkowe opowiadania i książki, oglądać cyberpunkowe filmy i malować cyberpunkowe obrazki (o ile tylko nie będą nazywać się „Cyberpunk”).

Zmiana jednak nastąpiła. O cyberpunku napisały Onet, „Gazeta wyborcza”, „Rzeczpospolita”, mówiono o tym także w TVN. Społeczeństwo poznało *Cyberpunka*. *Cyberpunka*, który będzie równie dobry, jak *Wiedźmin*.

Czy androidy marzą o elektrycznych owcach? P.K. Dicka opublikowano w roku 1968. (Ciekawostka nr 1: Czy słyszeliście, że P.K. Dick wystosował niegdyś list do FBI o tym, iż Stanisław Lem nie istnieje, a władze polskie za pomocą tego sztucznego tworu starają się go zwabić do Polski w celach niecnych?)

Neuromancer, *Graf Zero* i *Mona Liza Turbo* W. Gibsona to lata 1984-88.

(Ciekawostka nr 2: Zwróciliście uwagę, jak piękną konstrukcję dla drugiej części trylogii Gibsona wymyślił P.W. Cholewa? *Count Zero* = *Graf Zero*. Tytuł szlachecki i pojęcie matematyczne w jednym słowie.)

Ghost in the Shell Masamune Shirowa weszło na rynek japoński (jako manga) w 1989.

(Ciekawostka nr 3: Zgodnie ze słowami reżysera animowanej wersji miastem, w którym rozgrywa się fabuła, nie jest Tokio, tylko Hongkong będący „jak Los Angeles dla *Blade Runnera*”).

Oto moja subiektywna lista najlepszych wytworów cyberpunka. Wszystkie obecnie przeżywają swój renesans. *Blade Runner* w październiku 2017 roku doczekał się kontynuacji. Również w 2017 roku na ekran kin weszła aktorska wersja *Ghost in the Shell*, która może nie zachwyca fabułą, ale pod względem wizualnym stanowi absolutne arcydzieło gatunku. Ekranizację *Neuromancera* zapowiedziano na 2019.

Wieści o śmierci cyberpunka okazały się zdecydowanie przedwczesne. Gatunek ma się całkiem nieźle, mimo że plotki o jego upadku słyszałam już jako nastolatka. Od tego czasu zdążył się nawet rozmnożyć. Współcześnie mamy (co najmniej) punki słoneczne, parowe, bio i dizlowe. Czym się od siebie różnią i jakie są ich cechy charakterystyczne przeczytacie w najnowszym „Smoko” :)

W numerze mamy też dwa opowiadania, których nie powinniście przeoczyć. Pierwsze to słowiański pokonkursowy szort *Brzaskun*. Drugie to przetłumaczone na język polski *Dźwięki starej ziemi* – nominowane w 2014 roku do Nebuli. Do tego trzy ciekawe wywiady i spora porcja świeżej publicystyki. Zapraszam do lektury! ■

ELIN KAMIŃSKA



radioaktywne.pl

Radio Aktywne to studencka rozgłośnia Politechniki Warszawskiej i najstarsze akademickie radio w Warszawie. Działa nieprzerwanie od 2004 roku i prezentuje treści związane kulturą, nauką i życiem warszawskich uczelni.

Podczas audycji usłyszycie też masę dobrej muzyki, której próżno szukać w innych stacjach i ogromną porcję informacji o wydarzeniach, na jakich musicie być. Radio Aktywne wspiera ciekawe, najbardziej wartościowe inicjatywy i mówi o nich na antenie.

Do posłuchania na radioaktywne.pl

✉ redakcja@radioaktywne.pl

📷 [/RadioaktywnePW](https://www.instagram.com/RadioaktywnePW)

📘 [/radioaktywnepw](https://www.facebook.com/radioaktywnepw)

BIG DATA szok przyszłości?

Katarzyna Rupiewicz

ŻART NA DZIEŃ DOBRY

Amerykańska sieć sklepów Target zleciła analizę zwyczajów zakupowych swoich klientów, żeby profilować ofertę specjalnie dla nich. Co to znaczy? Jeśli masz kartę Clubcard i używasz jej, gdy płacisz za kocię jedzenie, z dużym prawdopodobieństwem sklep zaproponuje Ci zniżkę na artykuły dla kota, bo system już opatrzył Twoje nazwisko etykietą „właściciel kota”.

Target poszedł jednak o krok dalej. Na podstawie analizy tego, jak zmieniają się zwyczaje zakupowe kobiet w ciąży, był w stanie nie tylko namierzyć klientki spodziewające się dziecka, ale nawet określić datę porodu z dokładnością do dwóch tygodni. Wbrew pozorom, dla dobrych analityków z dużą ilością danych nie było to trudniejsze niż rozpoznanie właścicieli kotów. Kobiety w ciąży przestawały kupować alkohol i papierosy, a zaczynały witaminy i suplementy diety. Później pojawiało się zainteresowanie kosmetykami bezzapachowymi i po prostu produktami dedykowanymi dla ciężarnych.

Wykorzystano więc dane, którymi dysponowało wiele sklepów, ale nikt wcześniej nie pomyślał, jak ich użyć. W tym przypadku kobietom wysyłano spersonalizowaną ofertę zmieniającą się w zależności od trymestru ciąży, w którym się znajdowały.

Pewnego razu do oddziału sklepu Target przyszedł zdenerwowany mężczyzna i zaczął krzyczeć na kierownika sklepu, który przysłał ofertę produktów dla niemowląt jego szesnastoletniej córce. Kilka dni później, gdy kierownik sklepu zadzwonił do niego z przeprosinami, ojciec dziewczyny musiał przyznać się do błędu. Sklep dowiedział się o ciąży córki wcześniej niż on sam.

Ta historia jest jedną z najczęściej powtarzanych anegdotek z dziedziny big data. Ojciec, który przybiega z pretensją, bo nie wie, że jego nastoletnia córka jest w ciąży, a algorytm analizy danych zdołał już to wykryć. Zabawne? Przeróżające? Rewelacyjne?

Ocena nie jest prosta. Z jednej strony, jeśli wyobrazimy sobie całą sytuację, to spokojnie nadawałaby się na scenę amerykańskiej komedii. Z drugiej, założmy na chwilę, że można napisać algorytm, który po zmianie zwyczajów zakupowych klienta identyfikuje osoby ze zdiagnozowaną chorobą nowotworową (fikcyjny przykład). Ta sama scena stałaby się oburzająca, choć w obu przypadkach mamy do czynienia – tak naprawdę – z prywatną informacją medyczną.

Zanim jednak odsądzimy analityków od czci i wiary, dorzucę trzeci przykład. Nie w markecie, a w szpitalu istnieją algorytmy, które pozwalają przewidzieć, któremu

z pacjentów grozi zawał w ciągu najbliższych sześciu miesięcy, a także kto nie będzie brał regularnie leków, nawet jeśli są bardzo ważne oraz kto będzie ponownie hospitalizowany, nim upłynie rok. Czy różni się to tak bardzo od marketingowej sztuczki opisaną powyżej? Wbrew pozorom – nie. Czy może uratować życie zidentyfikowanym w ten sposób osobom?

„DANE SĄ NOWĄ ROPĄ NAFTOWĄ”¹

Fenomen big data nie wziął się znikąd. Był reakcją na gwałtownie rosnącą ilość danych, wynikającą po części z rozwoju internetu, a po części z danetyzacji świata.

Zacznijmy od pytania: ile mamy aktualnie danych? W Bibliotece Aleksandryjskiej mieściły się zasoby, które można by zapisać na dwunastu płytach DVD. Do 1450 roku szacowana ilość informacji dla całego świata zdołała się zaledwie podwoić. Jeszcze w przypadku 1990 roku możemy mówić o raptem dziewięciu kontenerach płyt DVD, a przecież to nie było wcale tak dawno (pomyśleli zgodnie wszyscy, którzy urodzili się wcześniej). Internet w 2010 roku to statek kontenerowy DVD. W 2013 można było mówić szacunkowo o tysiącu dwustu eksabajtach danych, czyli – uwaga, zmiana jednostki – pięciu kolumnach płyt CD ustawionych z Ziemi do Księżyca.

W 2015 roku ilość zgromadzonych danych szacowało się na prawie siedem tysięcy eksabajtów. Zapewne spodziewacie się, że teraz nastąpi jakaś kosmiczna cyfra i jeszcze bardziej kosmiczne porównanie stanu na rok 2017. Niestety dane, zgromadzone na całym świecie, powoli przestają być policzalne. Można przytaczać wygenerowane na uniwersytetach symulacje i grafy, ale trudno o konkretną liczbę popartą dowodami.

Wiemy jednak, że w ciągu ostatnich dwóch lat wygenerowano więcej danych niż od początku istnienia ludzkości. Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że za kolejne dwa lata to zdanie będzie nadal aktualne. Jak do tego doszło i dlaczego właśnie teraz?

Po pierwsze, wpływ internetu i mediów społecznościowych. Nie dość, że nas – użytkowników globalnej sieci – jest coraz więcej, to jeszcze coraz częściej stajemy się producentami treści. Kiedy wrzucamy do sieci zdjęcia, filmiki, dzielimy się muzyką, klikamy, że dany artykuł nam się podobał albo opisujemy nieprzyjemną sytuację, która przydarzyła nam się rano w autobusie, tak naprawdę cały czas produkujemy dane.

W 2017 roku w ciągu 60 sekund zostaje wysłanych ponad 450 tysięcy tweetów, przybywa 3,5 miliona nowych wyszukiwań w przeglądarce Google, a na YouTube wyświetla się ponad 4 miliony filmów. To wszystko dane, które można przekuć w konkretną wartość.

Drugą, mniej opisaną częścią tego fenomenu jest danetyzacja świata. Pamiętacie film *Twister* z 1996 roku? Grupa naukowców ściga tornada, nie po to, żeby je sfotografować albo powstrzymać, ale żeby znaleźć sposób na zebranie jak największej ilości danych na ich temat. Czy kiedy go oglądaliście przyszło Wam do głowy, że główną osią fabuły jest danetyzacja tornada?

Dysponujemy coraz większą ilością technologii, które pozwalają nam zbierać i analizować dane wszelkiego typu – od badań astronomicznych po prace nad udowodnieniem, że każdy człowiek ma inny odcisk tyłka (system zabezpieczeń w samochodach). Odzież może analizować parametry naszego ciała, podłoga – naszą trasę w sklepie lub biurze, całe miasto – nasze siatki poruszania się w przestrzeni publicznej, a to wszystko stanowić będzie jakieś marne terabajty danych w porównaniu do odczytów

1 „Data is the new Oil” – Clive Humby

z radioteleskopów lub przeprowadzanych na dużą skalę badań genetycznych i fizycznych.

Niejawnie przemyciłam tu informację, że najpierw pojawiły się ogromne ilości danych, a potem zaczęliśmy je analizować. Oczywiście, nie jest to do końca prawda. Równie dobrze ktoś może uznać, że to technologiczne rozwiązania pozwalające na analizowanie ogromnej ilości danych skłoniły firmy i badaczy do ich gromadzenia. W wielu dziedzinach nastąpiło zapewne zapętlenie tego układu przyczynowo-skutkowego. Na świecie zapanowała moda na dane...

...musimy się tylko nauczyć ją rafinować

Na początku termin „big data” oznaczał rzeczywiste wielkie dane. Dzisiaj rzadko rozumiemy go w ten sposób. Aktualna definicja mówi o analizach wielkich zbiorów danych prowadzących do uzyskania określonej wartości, ale zacznijmy od początku...

Na początku były 3V – czyli wyznaczniki tego, co możemy określać terminem big data. Pierwszym z nich była wielkość (*volume*) – ciągle rosnące jednostki, w których wyraża się dane. Drugim „V” była szybkość (*velocity*). Zarówno firmy jak i ośrodki naukowe dokonywały analizy danych na długo przed ukuciem terminu big data. Ten proces zabierał jednak czas.

Dla przykładu, rejestrowanie dzieci urodzonych w krajach trzeciego świata mogło trwać – od momentu wysłania wolontariuszy z papierowymi formularzami, poprzez przeniesienie odpowiedzi na komputer, po wygenerowanie wyników – nawet dwa lata. Pomyślcie, na ile aktualne były te dane po dwóch latach? Dziś projekty takie jak Magpi przesyłają je z wielu zwyczajnych komórek do jednej bazy w czasie zbliżonym do rzeczywistego. Organizacje pomocy humanitarnej są w stanie ustalić, ile osób żyje na danym obszarze, a dzięki temu dopilnować, aby każde dziecko zostało zaszczepione i poszło do szkoły.

Trzecim „V” jest różnorodność (*variety*). Powoli zatracą się granice pomiędzy tym, co może być danymi, a co nie. Zaczynamy analizować dźwięki, obrazy, filmy, odczyty z czujników, tysiące niepowiązanych ze sobą informacji, które kiedyś były bezużyteczne.

Zacząło się od tych trzech cech charakterystycznych, ale rzeczywistość zweryfikowała założenia przyjęte przez pierwszych analityków danych i dzisiaj możemy mówić o definicji opartej na pięciu V. Tym, czego początkowo nie wzięto pod uwagę, jest wiarygodność (*veracity*) danych i ich wartość (*value*). Nigdy nie powinno chodzić o to, by zgromadzić jak największą ilość danych, lecz by uzyskać z ich analizy określoną korzyść.

Tej ostatniej lekcji jeszcze długo będziemy się uczyć. Na razie upowszechnił się zwyczaj gromadzenia danych na wszelki wypadek. Nawet jeśli teraz nie ma pomysłu, jak przekuć je w pieniądze, wyniki naukowe albo inne wartości, to nie jest wykluczone, że odpowiednie algorytmy jeszcze się pojawią. Szacuje się zatem, że 80% z tych niewyobrażalnych ilości danych, jakie zebraliśmy, nie jest do niczego wykorzystywane.

BIG DATA – REWOLUCJA, KTÓRA NIGDY SIĘ NIE DOKONA²

Wciąż chyba najprzyjemniejszą książką na temat big data, jaką można znaleźć w języku polskim, jest *Big data. Rewolucja, która zmieni nasze myślenie, pracę i życie*. W nawiązaniu do tego tytułu nazwałam swoją pierwszą prelekcję z tego zakresu: *Big data. Rewolucja, która już się dokonała*. Dzisiaj dochodzę jednak do wniosku, że i ja, i Kenneth Cukier – autor wspomnianej książki – byliśmy w błędzie.

2 Kenneth Cukier, Victor Mayer-Schonberger, *Big data. Rewolucja, która zmieni nasze myślenie, pracę i życie*, MT Biznes, 2014.

Jedną z przyczyn boomu na big data mógł być sposób, w jaki przedstawiano te projekty – zwykle jako rewolucyjne zmiany. Poszczególne prezentacje i artykuły stały się historią małych cudów i wielkich obietnic. Tymczasem większość analiz zbiorów danych przesuwa nas do przodu małymi krokami. Są to zmiany ewolucyjne, które dokonują się powoli w bardzo wielu różnych dziedzinach.

NIE TYLKO BANKI I SKLEPY

Kiedy pierwszy raz spotkałam się w Polsce z pojęciem big data, mówiło się o nim najczęściej w kontekście bankowości. Bankom oferowano analizy wykonywane w czasie zbliżonym do rzeczywistego, mające na celu zidentyfikowanie klientów, którzy chcą odejść i skierowanie do nich konsultanta, zanim podejmą ostateczną decyzję. Oczywiście, analiza zakładała również, że najbardziej wartościowi dla banku klienci zostaną potraktowani z większą troską niż szary konsument.

Bankom proponowano też dostosowywanie produktów do potrzeb indywidualnego klienta na podstawie jego historii i struktury wydatków, a także owiane już legendami scoring kredytowy, czyli algorytmy oceniające, czy dany wnioskodawca spłaci swój kredyt hipoteczny.

Tego typu rozwiązania zostały najbardziej nagłośnione, ponieważ firmy IT chciały na nich zarabiać, a banki miały odpowiednie fundusze, żeby im płacić. Jeśli jednak się dobrze zastanowimy, to istnieje całe mnóstwo miejsc, gdzie analizy dużych zbiorów danych są znacznie bardziej potrzebne.

W astronomii, fizyce, genetyce i wielu innych dziedzinach nauki problem analizy wielkich zbiorów danych istniał na długo przed tym, nim zyskał modną nazwę.

Współczesne trendy w IT zmieniły jednak cenę, dostępność i efektywność dotychczasowych rozwiązań.

Niedługo powstanie SKA (Square Kilometre Array) – największy radioteleskop na świecie. Szacuje się, że w ciągu jednej sekundy będzie on generował tyle danych, ile aktualnie ma cały internet. Oczywiście nie wszystkie będą wartościowe, ale nie można nawet przefiltrować takiej ilości bajtów bez narzędzi stworzonych na potrzeby big data.

W porównaniu ze SKA jeden petabajt danych na sekundę generowany aktualnie przez CERN nie wydaje się już wielkim wyzwaniem. Być może dlatego ośrodek naukowy zainteresował się tematem big data bardziej w kontekście ogromnej ilości czujników, które pozwolą lepiej kontrolować warunki wewnątrz Wielkiego Zderzacza Hadronów (LHC) i przewidywać awarie, zanim do nich dojdzie. Kosmiczna technologia? Ależ nie, z podobnego rozwiązania motoryzacja korzysta już od dawna.

O ile wszyscy z nas słyszeli o wielkich zwycięstwach ery big data, takich jak Google, Amazon czy Facebook, to niewiele osób wie, że w ścisłej czołówce znajduje się również firma UPS. Dzięki czujnikom instalowanym we wszystkich swoich samochodach dostawczych firma nauczyła się przewidywać awarie, zanim do nich doszło. UPS dowiedział się też z jaką częstotliwością, tak naprawdę, trzeba wymieniać poszczególne części pojazdu i oszczędził ogromne pieniądze, unikając wymian „na wszelki wypadek” zalecanych po przejechaniu określonej liczby kilometrów.

Oprócz sensorów, które firmy motoryzacyjne montują w coraz większych ilościach, big data odblokowało impas w rozwoju branży samochodów elektrycznych i dało mocnego kopa samochodom autonomicznym. Te pierwsze potrzebowały zaawansowanych algorytmów rozlokowania stacji ładowania

w odpowiednich odległościach, a także przewidzenia, ile nadwyżki energii muszą wyprodukować dziennie elektrownie, aby wystarczyło jej dla wszystkich aut, które będą chciały skorzystać z ładowania w okolicy.

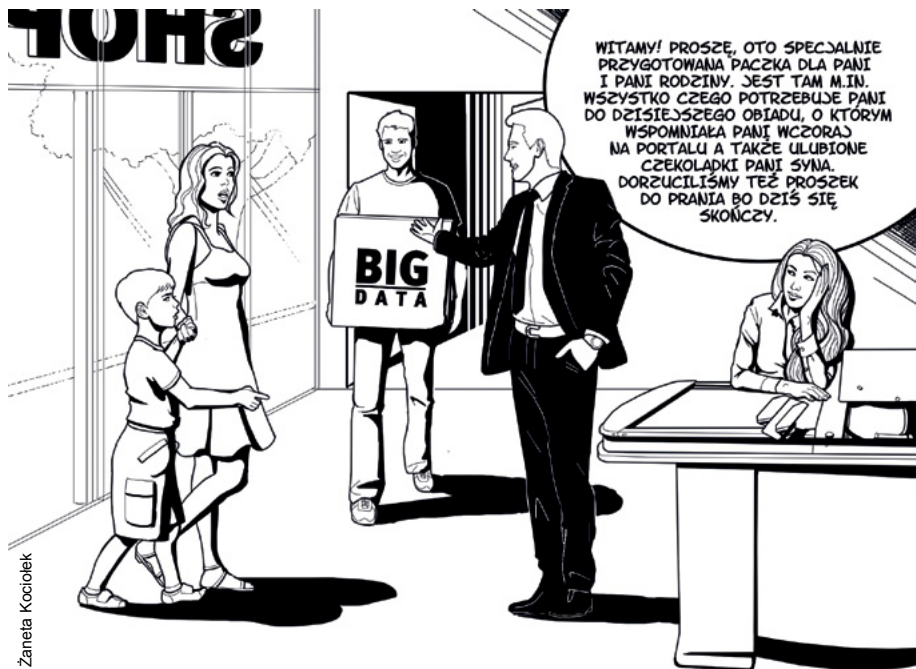
Tego, że całe działanie samochodu autonomicznego opiera się na analizie danych, nie trzeba chyba tłumaczyć. Oprócz wciąż rozwijanych algorytmów rozpoznawania obrazu, samochód porusza się w dużej mierze dzięki zebranym wcześniej i dostarczonemu mu z wyprzedzeniem informacjom o trasie. System nie zapuszcza się w tereny, o których nic nie wie, gdzie wszystkie informacje musiałyby zebrać sam w czasie rzeczywistym. Przynajmniej na razie.

Kolejnym dużym polem do popisu dla projektów big data jest medycyna. Jeśli zainteresuje Was ten temat, uważajcie jednak na oddzielanie opisów realnych projektów od obietnic. W sieci znajdziecie całe mnóstwo wizji świetlanej przyszłości, które

tak naprawdę nie mają wielkiego odbicia w rzeczywistości.

Dzieje się tak między innymi dlatego, że informacje na temat pacjentów są danymi wrażliwymi, których nie można łatwo agregować i analizować. Dobrym przykładem bardzo prostego z technicznego punktu widzenia programu jest baza danych na temat leczenia onkologicznego. Jej założeniem jest zebranie możliwie jak największej ilości informacji na temat każdego przypadku, objawów, podjętego leczenia i efektów, jakie to przyniosło.

Takie podejście daje ogromne korzyści. Po pierwsze, lekarz może wyszukać jednostki chorobowe podobne do nowego przypadku, z jakim się spotkał i dowiedzieć się, jaka terapia pomogła, a jaka okazała się ślepą uliczką. To zwiększa szanse pacjenta na to, że od razu otrzyma odpowiednie leki. To również gwarantowałyby mu, że lekarz w jego małym lokalnym szpitalu będzie dysponował wiedzą



zbliżoną do specjalistów z ośrodków w największych europejskich miastach.

W Stanach istnieją szpitale, które wdrożyły ten projekt, ale do globalnej bazy danych jest jeszcze bardzo daleko. Po pierwsze dlatego, że dane, z których usuniemy nazwisko i pesel pacjenta nie staną się przez to danymi anonimowymi. Po drugie dlatego, że wiele musiałoby się zmienić w systemach szpitalnych, aby mogły korzystać z podobnych rozwiązań.

Znacznie mniej oczywistą dziedziną, w której wykorzystuje się big data, jest polityka. Mimo że jest to zupełnie oficjalna informacja, niewiele osób słyszało o tym, że Barack Obama wygrał wybory po raz drugi właśnie dzięki zastosowaniu analizy dużych zbiorów danych. Zamiast kazać szukać algorytmom lekarstwa na raka można je zapytać, co i komu obiecać, żeby zagłosował. Kiedyś politycy musieli się kierować populistycznym wyczuciem albo radami spin doktorów. Dziś, jeśli tylko zatrudnią odpowiednich analityków, otrzymają konkretne wytyczne.

Big data weszło również do sportu, gdzie pozwala przewidywać wyniki rozgrywek, szacować wartość zawodnika, odgadnąć strategię przeciwników, ale także wykryć ustawione mecze. Pamiętacie filmy klasy B, w których bokserzy podkładali się za pieniądze? Czy pomyślelibyście, że taki proceder mogą zde-maskować matematycy i informatycy? Mam teraz na myśli prawdziwy przypadek badania starc w zależności od korzyści, jakie mogli uzyskać przeciwnicy. Jak wielkie pieniądze wiążą się z pojedynkami sumo? Najwyraźniej dostatecznie duże, aby opłaciło się zatrudniać analityków danych.

Oczywiście nie jest to żadna wyczerpująca lista. Nie uwzględnia chociażby zastosowania big data w transporcie publicznym,

planowaniu miasta, zarządzaniu kryzysowym przy klęskach żywiołowych, epidemiologii, naukach społecznych, a także bezpieczeństwie rozumianym zarówno jako walka z terroryzmem, jak i efektywne funkcjonowanie lokalnego posterunku lub systemu monitoringu.

Mam jednak nadzieję, że udało mi się udowodnić, że big data to znacznie więcej niż scoring kredytowy i marketing sklepów internetowych.

„BIG DATA JEST JUŻ PASSÉ”³

Ostatnio zaczęły się pojawiać artykuły krzyczące nagłówkami, że big data to już przeszłość. Większość firm, którym obiecano miliony zysków albo oszczędności, rozczarowała się efektami wdrożonych u siebie rozwiązań. W bardzo wielu przypadkach analizy danych nie doprowadziły do rewolucji ani cudownych odkryć.

Specjaliści mówią więc o końcu mody na big data i może zabrzmiałoby to przekonująco, gdybyśmy zapomnieli, że przez najbliższe dwa lata powstanie więcej danych, niż ludzkość wygenerowała od początku swojego istnienia aż do dziś. Już teraz większość informacji, które przetwarzamy w przemyśle, nauce albo marketingu, to duże dane.

Zatem owszem, niedługo big data przestaną być modą, ale za to staną się standardem, tak jak korzystanie z wirtualizacji, chmur albo smartfonów. Nie zdziwicie się więc, jeśli kiedyś w Waszej firmie (bez względu na to, w jakiej branży będziecie pracowali) spotkacie się z zupełnie zwyczajnymi analizami wielkich zbiorów danych. ■

KATARZYNA RUPIEWICZ

3 To określenie pojawiło się dużo wcześniej w anglojęzycznych publikacjach. Cytuję jednak za polskim artykułem : <http://innpoland.pl/131783, big-data-jest-juz-pass-zobacz-co-tak-naprawde-pozwala-zarabiac-na-danych> (dostęp 13.10.2017)

Zbuntowane gry

Michał Szymański

Elektroniczna rozrywka jako branża ma się świetnie. Sądząc po zapowiedziach nadciągających tytułów, graczy czeka bardzo dobry rok. Estetyka steampunku trzyma się tu nadal mocno, a i cyberpunk ostatnio jakby wraca do łask. Ba, w samej tylko Polsce w produkcji są obecnie trzy ciekawe tytuły, które człon „punk” wpisany mają w tytuł.

No właśnie, punkowe tytuły są, estetyka trzyma się konwencji, a co z treścią?

Z treścią bywa różnie, aby więc wyróżnić jakoś twórców, którzy z punkowych konwencji korzystają w pełni, miast tylko adaptować dekoracje do losowej fabuły, powstało niniejsze zestawienie. Oto kilka obiecujących gier, które mają szansę ukazać się w przyszłym roku i naprawdę pozwolą Wam porządnie się zbuntować. Powiedzmy, że na pierwszy ogień pójdzie ta najbardziej oczywista.

CYBERPUNK 2077

Nowe RPG w otwartym świecie od CD Projekt Red, zapowiedziane jeszcze przed premierą ostatniego *Wiedźmina*. Oczekiwania graczy wobec tego tytułu pozostają zasłużenie wyśrubowane, choć od czasu wydanego kilka lat temu trailera widzieliśmy naprawdę niewiele. Renoma studia robi swoje, podobnie jak wysoka jakość materiału źródłowego.

Obecnie wiadomo, że w pracach nad grą uczestniczy Mike Pondsmith, autor

papierowego systemu „Cyberpunk 20xx”; wiadomo, że twórcy *Wiedźmina* planują raz jeszcze wrzucić nas do otwartego świata, na który nasze działania będą wpływały bardzo mocno. Wiadomo też, że gra na pewno nie ukaże się w tym roku, a jej właściwa kampania reklamowa ruszy najwcześniej w przyszłym. Ma ona być zbudowana na elemencie zaskoczenia, spekuluje się również, że będzie to błyskawiczna akcja promocyjna, a od premiery kolejnego trailera do wejścia gry na rynek może minąć naprawdę niewiele czasu.

Dokładnie tyle wniosków da się bezpiecznie wyciągnąć z dostępnych informacji, reszta to domysły, ale jakże smakowite!

Z istniejących wypowiedzi autorów fani oryginalnego systemu wnioskuje na przykład, że mechanika walki ma bardzo wrotnie odzwierciedlać tę „papierową”. W praktyce oznacza to, że strzelanie będzie trudne, ale jak już się komuś oberwie, to solidnie. Mechanika „Friday Night Firefight”, na której opierały się starcia w kostkowym „Cyberpunku”, ma opinię bardzo realistycznej i graczy nie oszczędza. Szykuje się częste wczytywanie zapisów.

Z innych wypowiedzi wynika, że świat gry ma być bogaty w bardzo klimatyczne dekoracje. Twórcy przebakują m.in. o technologii do przeżywania wspomnień innych postaci (*braindance* z papierowego *Cp*),

wszczępkach tłumaczących dialogi nagrane w obcych językach czy możliwości podróŜowania po mieście w latających pojazdach.

A wlaŝnie, miasto. Podobno ma pobić kolejny rekord rozmiaru i szczególowości. CD Projekt Red uzyskał w tym roku rządowy grant na rozwój kilku technologii, w tym kreacji wirtualnych środowisk i animacji wysokiej jakości. Ostatnie ogłoszenia o pracy dla grafików wspominały o fotorealistycznym otoczeniu podatnym na zniszczenia. *Yummie*.

Niewiele wiadomo o samym przebiegu rozgrywki. Prawie na pewno będziemy mogli wykreować sobie wlaŝną postać według mechaniki wzorowanej na starych podręcznikach, duŝą rolę ma odgrywać fabuła spinająca tę futurystyczną „piaskownicę” – kierownictwo Redów nadal ma awersję do losowo generowanych questów. Jednocześnie gra ma zawierać tryb wieloosobowy – czyŜby kooperacja niczym na prawdziwej sesji? Night City, w którym toczyć się będą nasze przygody, ma mieć za sobą otwartą wojnę między korporacjami a punkami. Ze skutkami tej wojny gracze będą się musieli zmierzyć osobiŝcie.

Czy będzie punkowo? Z jednej strony trudno sobie wyobrazić, by nie było. Z drugiej

na oficjalnym blogu gry można znaleźć pochwały pod adresem *Ruthless.com* – zabawy w prezesa Złej Korporacji – za nieszablonowe podejście. PoŜyjemy, zobaczymy. Ja w kaŝdym razie czekam z niecierpliwością.

20 000 LEAGUES ABOVE THE CLOUDS

To z kolei przedsięwzięcie w duŝo mniejszej skali, za to równie dobrze rokujące. Wyobraźcie sobie steampunkowy świat, który w całości składa się z wysp unoszących się w powietrzu. A teraz wyobraźcie sobie, że posiadacie w takim świecie wlaŝny statek powietrzny, który jest Waszym głównym ŝródłem utrzymania. Korzystać z niego można na wiele sposobów – od prostego handlu i usług transportowych, aŝ po regularne piractwo. No co moŝe być bardziej punkowego w świecie parowej magii, niŝ piracki sterowiec? Arrgh!

20 000 Leagues to dzieło bardzo niezaleŝnego, garaŝowego wręcz studia That Brain. Jako inspiracje mechaniczne twórcy wymieniają *Pirates!* i *Baldur's Gate*, w grafice widać inspirację m.in. filmami Studia Ghibli czy klasycznym steampunkiem. Rozgrywka będzie się skupiała na podróŜowaniu pomiędzy latającymi miastami, handlu, podniebnych





bitwach i eksplorowaniu zasobów. W miastach mamy spotykać różne ciekawe postacie, przyjmować i rozliczać misje oraz popychać naprzód fabułę, która powinna nas doprowadzić do odkrycia tajemnicy kryjącej się za konstrukcją tego niezwykłego świata. Tak więc strategia ekonomiczna będzie się tu przeplatała z erpegim i przygodówką. Jeśli proporcje tej mikstury będą właściwe, gra może się okazać całkiem orzeźwiająca.

Podobnie jak w przypadku *Cyberpunka*, data premiery nie jest znana. That Brain to naprawdę małe studio i jego ekipa robi co może, ale nie chce składać obietnic na wyrost. Na YT da się wysledzić pierwsze gameplaye, trwają również zapisy do zamkniętej bety. Gra zadebiutuje na PC i dużych konsolach, wersja na tablety jest rozważana jako opcja.

Sunless Skies

W założeniach dość podobne do *20 000 mil*, choć graficznie to niemal drugi biegun parowej estetyki, a fabularnie jest nie dość, że poważniej, to prawdopodobnie też dużo ciekawiej. Kontynuacja ciepło przyjętego *Sunless Sea* zmierza na blaszaki i tablety.

Co więc łączy tę pozycję z wyżej opisywaną? Obie gry to hybrydy erpega, strategii i gry akcji, w których wcielamy się

w kapitana steampunkowej jednostki powietrznej – tyle że w *Sunless* to nie sterowiec, a kosmiczna lokomotywa. W obu często będziemy działać na granicy prawa, choć w tej konkretnej dużo mocniej akcentuje się rolę buntownika krytycznie nastawionego do obecnej władzy. W obu czeka na nas tajemnica do odkrycia – tu jednak wydaje się ona być nieco mroczniejsza.



No dobrze, ale o co w tym wszystkim chodzi? Otóż po wydarzeniach przedstawionych w *Sunless Sea* Imperium Brytyjskie, pod wodzą ambitnej i nieznoszącej sprzeciwu królowej Wiktorii, rusza na podbój kosmosu. Podrasowane i dozbrojone parowe lokomotywy wylatują w przestrzeń, by nieść Pax Britannica i cywilizację odległym gwiazdom. Gwiazdom, które w tym świecie są świadomymi, inteligentnymi bytami,

pełniącymi niemal boską rolę we Wszechświecie. Gwiazdom, które z jakiegoś powodu zaczynają wymierać.

Tak więc gameplay będzie się opierał na podróżach po steampunkowym Kosmosie, rozwijaniu bojowego pociągu, dialogach z napotkanymi postaciami (w tym z samymi gasnącymi gwiazdami) i szukaniu odpowiedzi na pytanie: dlaczego słońca umierają? I czy przypadkiem ekspansja Imperium nie ma z tym czegoś wspólnego?

Gra jest już dostępna w Steam Early Access i GoG Games in Development. Recenzje są na ogół przychylnie, choć po obecnym stanie produktu widać, że długa droga jeszcze przed nim. Na razie bez wahania mogę pochwalić warstwę muzyczną i literacką. Ta ostatnia szczególnie cieszy, bo pomiędzy *Sunless Sea* i *Sunless Skies* główny scenarzysta poprzedniej części, Alexis Kennedy, pożegnał się z Failbetter Games. Mimo to, udało się utrzymać poziom.

A, i jeszcze jeden smaczek: *Sunless Skies* to kolejna gra, w której czasem warto przegrać. Choćby dlatego, że śmierć postaci nie oznacza resetu rozgrywki – nasz nowy kapitan wchodzi na pokład w świecie noszącym

ślady działalności poprzedniego kapitana. Na tym etapie jest jeszcze za wcześnie, by oceniać jak to wpłynie na wszystkie aspekty mechaniki (np. poziom trudności), jednak pomysł brzmi wystarczająco oryginalnie, by przynajmniej spróbować, jak to smakuje.

DETROIT: BECOME HUMAN

Znowu cyberpunk pełną gębą. Tym razem śledzić będziemy losy trójki androidów, z których przynajmniej jeden (właściwie jedna) będzie istotą inteligentną i samoświadomą, szukającą swego miejsca w ludzkim społeczeństwie. Motyw niby zgrany, jednak wobec ostatnich sukcesów sztucznej inteligencji nabiera nowych kolorów.

Detroit to nowa produkcja studia Quantic Dream, znanego jako twórcy przygodówek w formule interaktywnego filmu. Nie inaczej będzie w tym przypadku – doświadczenia z rozgrywki wydają się być typowo „kinowe”, ze scenami akcji rozegranymi na zasadzie *quicktime eventów*, rozbudowanymi dialogami i wściekle realistyczną grafiką. Jak *Heavy Rain* wyciskał z PS3 najlepsze co konsola miała do zaoferowania, tak *D:BH* wyżył będzie PS4. Nic w tym dziwnego, wszak





gra wykiełkowała z technologicznego dema prezentującego możliwości konsoli. Bardzo efektownego z resztą.

Nie samą grafiką człowiek żyje, co więc z fabułą? Przecież *Beyond: Two Souls* też było całkiem ładne, a grało się w to przykro. Otóż fabuła jest podobno rekordowo długa i rozgałęziona na bardzo różne sposoby. Najbardziej złożona w historii studia. Od nas będzie zależało m.in. to, czy główni bohaterowie dożyją kresu tej historii – śmierć żadnej z grywalnych postaci nie oznacza końca gry, jest jedynie istotnym punktem zwrotnym i źródłem dalszych kłopotów dla tych, którzy akurat przeżyją. Zakończenie będzie budowane na podstawie bardzo wielu decyzji gracza, jeśli jednak pożałujemy któregoś wyboru, będziemy mogli „przewinąć” fabułę z powrotem do tego momentu. I dobrze. Po *Life is Strange* to powinna być obowiązkowa funkcjonalność w tego typu grach.

Detroit nie zostało wybrane przypadkowo – ma być dla fabuły bardzo istotne, pełnić rolę dodatkowego bohatera gry. Ekipa Quantic spędziła całe tygodnie na poznawaniu miasta i jego mieszkańców. *Become Human* ma być swoistym hołdem dla umierającej metropolii, która przez lata była

ikoną przemysłu i technologicznej hegemonii USA, by w ostatnim dziesięcioleciu popaść niemal w ruinę. Czy można wyobrazić sobie lepsze miejsce akcji dla historii o robotach buntujących się przeciw swemu losowi?

Premierę *Detroit: Become Human* zapowiedziano na rok 2018, wyłącznie na PS4. Po rozczarowaniu w postaci *Beyond: Two Souls* David Cage i spółka szykują kolejny ambitny projekt. Oby tym razem okazał się grą na miarę ich mistrzowskich możliwości.

FINAL FANTASY VII REMAKE

O tym przedsięwzięciu szeptano już od dobrych paru lat, ostatnio jednak zaczęło się o nim mówić głośno. Gra, która de facto zdefiniowała na nowo gatunek jRPG i szturmem wzięła wszystkie liczące się rynki gier wideo, doczeka się nowej wersji na PS4. Nie remasteru HD, ale właśnie nowej wersji, przygotowanej praktycznie od zera i przystosowanej do panujących obecnie standardów gatunku. Czekacie? Ja czekam i to bardzo.

Dla tych, którzy jakimś cudem jeszcze nie wiedzą – *Final Fantasy VII* to klasyczne konsolowe RPG, w którym nowoczesna technologia miesza się z magią i mistyką

w proporcjach 1:1. Gracz kieruje poczynaniami Clouda, byłego żołnierza Złej Korporacji, i jego towarzyszy z organizacji Avalanche zajmującej się, cóż, radykalnym ekoterroryzmem. Przynajmniej na początku, bo potem robi się jeszcze ciekawiej. Była to pierwsza odsłona serii sprzedawana na Zachodzie, prawdopodobnie największy przebój pierwszej generacji PlayStation. Wielu graczy uważa ją wręcz za doświadczenie pokoleniowe. Bez FF VII pewna ilość późniejszych tytułów nie miałoby po prostu racji bytu.

Zmian w odświeżonej „siódemce” ma być sporo. Po pierwsze, mechanika walk zostanie nieco unowocześniona. Developerzy zrezygnowali zupełnie z systemu „przenoszenia się na arenę” na czas walki – wszystko będzie się działo na mapie przygody i odbywało w czasie rzeczywistym. Jak na współczesnego Action RPG przystało. Z jednej strony trochę szkoda, z drugiej – trzeba iść z duchem czasu. Gra na pewno zyska w ten sposób na dynamice, prawdopodobnie kosztem taktycznej złożoności. Cóż, nie można mieć wszystkiego...

Po drugie, grafika została nie tylko poprawiona, ale po prostu wymyślona na nowo. Postacie, wzorem właściwie wszystkich części od X wzwyż, są dużo bardziej realistyczne, choć wydaje się, że projektantom udało się zachować ich charakter. Amerykański oddział Square Enix pracuje również nad nowym środowiskiem gry – oryginał działał na płaskich, prerenderowanych tłach, tu zaś wszystko co już widzieliśmy jest w pełni trójwymiarowe.

Trzecia zmiana dotyczy, powiedzmy, modelu sprzedaży, czy też tego, w jaki sposób gra będzie wprowadzana na rynek. Wiadomo już, że nowe FF VII nie ukaże się od razu jako całość – będzie to seria podzielona na części, które wejdą do sprzedaży w pewnych

odstępach czasu. Na myśli przychodzi *StarCraft II*, inna potężna produkcja, która była graczom dawkowana w podobny sposób. Wtedy nie było zachwyty nad taką operacją, teraz zapewne też nie będzie. Za to producent wyjdzie na swoje.

W ogóle bardzo to korporacyjny i kapitalistyczny ruch, jak na grę której fabuła zaczyna się od zamachu na kapitalistyczną korporację, ale cóż – cyberpunk już dawno ziścił się na naszych oczach ;)

A O TYCH GRACH NIE NAPISZEMY, BO...

...nie są wystarczająco punkowe. Jak się trzymać tematu numeru, to się trzymać.

Nie jest wcale taki punkowy *Frostpunk*, nowe dziecko 11 Bit Studios, steampunkowy w estetyce i survivalowy w założeniach. Tu nie będzie rewolucji, będą zmagania z żywiołem i poświęcanie jednostek w imię przetrwania społeczności. I dobrze, ten temat również jest wart podejmowania, a po twórcach *This War of Mine* spodziewam się wszystkiego najlepszego. Premiera na początku przyszłego roku.

Kompletnie punkowy nie jest *Iron Harvest*, ale zapowiada się na bardzo przyjemnego RTSa. Fani planszowego *Scythe'a* mogą już odkładać pieniądze, potyczki parowych mechów debiutują w przyszłym roku.

Nie załapał się także *Steamburg*, kolejny polski projekt, który może i mógłby posiadać punkową fabułę, gdyby w ogóle jakąś fabułę posiadał. Inna sprawa, że nawet bez fabuły może to być bardzo sympatyczna przygodówka. Jej poprzedniczka, *Steampunker*, bawiła całkiem niezle. I ładna była. *Steamburg* będzie ładny na urządzeniach mobilnych, oficjalnie nie wiadomo jeszcze kiedy, ale prawdopodobnie ukaże się przyszłej jesieni. ■

MICHAŁ SZYMAŃSKI

SOLARPUNK

ekologiczna utopia

Anna Łagan

Solarpunk: nazwa, która prawdopodobnie u wielu odbiorców kultury popularnej wywołuje wzruszenie ramion. Postulowanych fantastycznych podgatunków, których nazwa zawiera słowo „punk”, namnożyło się w ciągu ostatnich dwudziestu lat nadzwyczaj dużo. Owszem, cyberpunk rozpoznają wszyscy (niezależnie od potencjalnych prawnych zawirowań związanych z zastrzeżeniem nazwy przez CD Projekt Red), steampunk zdobył spore grono zwolenników, przyciągniętych przede wszystkim jego estetyką. Twórcy Świata Mroku próbowali niegdyś forsować termin „gothic punk” jako opisujący wykreowaną przez siebie mroczną konwencję. Być może niektórzy rozpoznają jeszcze diselpunk, który miałby być ekwiwalentem steampunku, tyle że osadzonym w późniejszym okresie historycznym (lub jego fikcyjnym odpowiedniku). Tymczasem na tych trzech podgatunkach/konwencjach się nie kończy. Strona TV Tropes posiada nawet artykuł zatytułowany „Punk punk”, w którym wymieniono zaskakującą liczbę „podgatunków”. Wydaje się, że wyraz ten, użyty jako część nazwy, sygnalizuje pewną konwencję,

wykorzystanie danego settingu i skoncentrowanie się na pewnego rodzaju technologii (na przykład parowej w steampunku czy biotechnologii w biopunku). Aspekt buntu przeciw systemowi, któremu cyberpunk zawdzięcza drugą połowę nazwy, został zapomniany albo zepchnięty na dalszy plan: nie ma go już wiele w samym steampunku, który nie wykorzystuje często potencjału, jaki daje oparcie fabuły na motywie rewolucji, czy to technologicznej i przemysłowej, czy społecznej.

Termin „solarpunk” został stworzony w 2014 roku w poście na Tumblrze. Autor przedstawia solarpunk jako ekologiczną i inkluzywną alternatywę dla cyberpunku i klasycznych dystopii. Postulowany gatunek miałby pokazywać bliską i osiągalną przyszłość, w której zwyciężyłaby tendencja do używania odnawialnych źródeł energii, zaś ludzkie społeczeństwo byłoby inkluzywne i dostosowane do bardzo zróżnicowanych potrzeb obywateli. SSolarpunk ma być optymistyczny, pokazywać utopie, próby budowania utopii – ale też, a może nawet tym bardziej, możliwe światy posiadające cechy utopii. Zauważyć można też inspiracje estetyczne: secesję i *art*

nouveau, rozwiązania zaczerpnięte z kultur tradycyjnych i folkloru – zwłaszcza afrykańskiego i azjatyckiego.

Solarpunk w swoich założeniach okazuje się konwencją bardzo lewicującą. Społeczeństwo solarpunkowe jest społeczeństwem, w którym podstawowe potrzeby materialne obywateli mogą zostać bez trudu zaspokojone dzięki użyciu futurystycznych technologii. Z drugiej strony nie powinno jednak popierać nadmiernego bogacenia się. Wysoko ceni się stawianie dobra wspólnoty ponad dobro jednostki, przy założeniu, że szczęśliwa, zdrowa grupa jest w stanie zapewnić jednostce szczęście, podczas gdy jednostka, kierująca się przede wszystkim egoizmem, będzie miała na społeczeństwo destrukcyjny wpływ. Do koncepcji należy dodać jeszcze równouprawnienie na wszystkich poziomach: egalitaryzm płciowy, brak dyskryminacji osób nieheteronormatywnych (homoseksualnych, transseksualnych, niebinarnych), ułatwienia dla osób niepełnosprawnych (zaawansowane protezy są elementem pojawiającym się choćby w *Everfair* i w opowiadaniach z antologii *Wings of Renewal*) oraz nietradycyjne podejścia do rodziny i małżeństwa.

Nawet w internecie trudno znaleźć wiele książek wpisujących się ściśle w ramy gatunku. Tag „solarpunk” na Goodreads to zaledwie 29 pozycji, a TV Tropes wymienia jeszcze mniej książek, choć wyniki na obu listach nie pokrywają się. Część utworów wskazywanych jako solarpunkowe lub zawierające w sobie solarpunkowe elementy powstało na długo przed pojawieniem się terminu. Spełniają jednak jego założenia: pokazują utopijne światy, egalitarne społeczności i przyjazną środowisku technologię.

Skoro zatem większość dzieł zaliczanych do gatunku przypisanych zostało tam wtórnie, to czy możemy mówić o nim jako

o koherentnym ruchu literackim? Solarpunk posiada swoje założenia programowe, oparte na wspomnianym już poście z 2014 roku. Książek, które można wskazać jako bezpośrednio inspirowane tymi założeniami jest na razie niewiele. Poza wydaną w 2015 antologią *Wings of Renewal*, w sierpniu 2017 ukazał się zbiór *Sunvault*. Z kolei powieść Alayi Dawn Johnson *The Summer Prince*, choć wydaje się bardzo mocno osadzona w założeniach konwencji, pojawiła się już w 2013 roku. Czy to oznacza, że autorka terminu „solarpunk” po prostu nadała nazwę elementom, które istniały już wcześniej? Biorąc pod uwagę, że post jest zilustrowany istniejącymi grafikami – odpowiedziem: tak. Solarpunk już istniał, trzeba go było tylko nazwać.

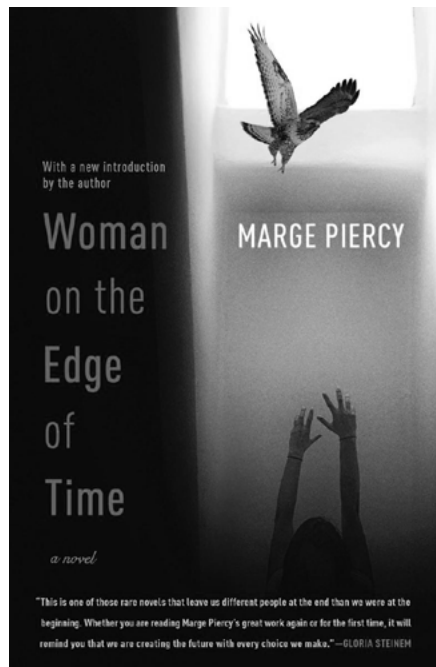
Gatunek ma więc swoich zwolenników, nie zyskał jednak wielkiej popularności i nie stał się konwencją tak modną, jak wcześniej cyberpunk czy steampunk. Być może przyczyną jest fakt, że nie powstało na razie dzieło otwarcie umieszczane w konwencji przez samego autora, które zyskałoby na tyle dużą popularność, by przyciągnąć naśladowców. Możliwe też, że problemem są założenia/poglądy lewicowe, które mogą odstraszać niektórych potencjalnych odbiorców. Nie da się jednak wykluczyć, że winę ponosi programowa utopijność. Nauczeni jesteśmy nieufności wobec utopii. Nie bez powodu. Większość z nich, zwłaszcza klasycznych, czytanych obecnie (a być może także w momencie ich powstania) budzi wątpliwości. Trudno nam uwierzyć w harmonijne, pozbawione wewnętrznych problemów społeczeństwa. Ich istnienie byłoby wiecznie zagrożone – samą tylko naturą ludzką, w której nie leży absolutny altruizm i podporządkowanie zasadom. Utopia wymaga od swoich obywateli i często wymaga od nich zbyt wiele, dlatego łatwo jej się przekształcić w system totalitarny – a więc

w dystopię¹. Społeczeństwo idealne zawsze będzie doskonałe cudzym kosztem, choćby kosztem stłumienia ludzkiej natury i indywidualności. W najlepszym wypadku taka wiara wydaje się nam naiwna, w najgorszym – rodzi podejrzenie pragnienia wprowadzenia dyktatury.

Dobra literatura solarpunkowa nie może zignorować tego aspektu. Poprawnie skonstruowane społeczeństwo solarpunkowe będzie zatem społeczeństwem szczęśliwym, ale nie idealnym, wciąż borykającym się z problemami zarówno wewnętrznymi, jak i zewnętrznymi. Solarpunkowa utopia nie może być również zbyt rozległa przestrzennie – z jednej strony wiąże się to z pozytywnym wartościowaniem niewielkich społeczności, z drugiej autorzy mają świadomość, że nie wszyscy ludzie będą chcieli żyć w społeczeństwie niepozwalającym choćby na gromadzenie dóbr. Co więcej, wiele powieści zawierających w sobie elementy solarpunkowe pokazuje, że za osiągnięcie utopii często trzeba zapłacić wysoką cenę. Aby nowe mogło się rozwinąć, stare musi umrzeć. Nierzadko pojawiają się więc opisy społeczności, które powstały na Ziemi po wojnie lub wielkiej katastrofie. To właśnie postanowienie „nigdy więcej” popycha ludzi do stworzenia pokojowych, egalitarnych i żyjących w zgodzie z naturą organizmów społecznych. Motyw ten powtarza się w opowiadaniach z antologii *Sunvault* – na przykład w *Last Chance* ludzkość znajduje się w trakcie zasiedlania już drugiej planety po tym, jak poprzednia podzieliła los zniszczonej Ziemi, w *Road to the Sea* wyludniona po niesprecyzowanej

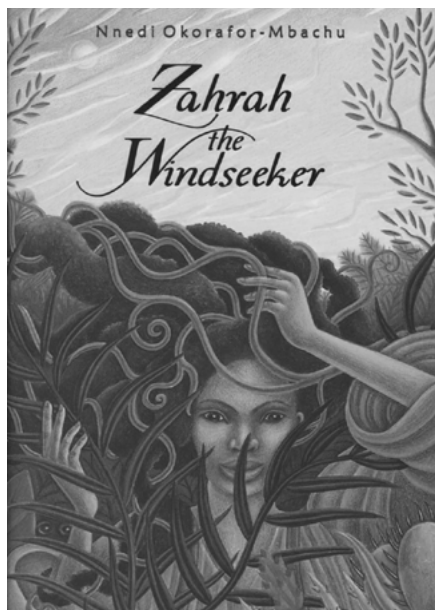
katastrofie Ziemia pomału się regeneruje, nieliczni ludzie znają tylko opowieści o dawnym świecie. Tak jest też we *Wracać wciąż do domu* Ursuli Le Guin, gdzie oglądamy społeczność, która skonsolidowała się po nie do końca znanej globalnej katastrofie. W *Fifth Sacred Thing* Starhawk widzimy Amerykę Północną po wielkim politycznym kryzysie i wojnie. O konflikcie militarnym mowa też w *The Summer Prince* Alayi Dawn Johnson (wiadomo również, że geopolityczny krajobraz Ziemi wygląda zupełnie inaczej: w powieści pojawia się postać pochodząca z Japonii, państwa, które przynajmniej częściowo znajduje się w cyberprzestrzeni). W *Xenogenesis* Octavii Butler Ziemia została niemal zniszczona przez walczącą między sobą ludzkość – potrzeba było dopiero interwencji z kosmosu, żeby zatrzymać wojnę zagrażającą wszelkiemu życiu. W *Przypowieści o siewcy* i *Przypowieści o talentach* tej samej

¹ Czy też antyutopię: polska genologia rozróżnia dwa przypadki, przy czym za dystopię uznaje się pesymistyczną wizję przyszłości wychodzącą bezpośrednio od współczesnych tendencji rozwojowych, zaś antyutopia ma być polemiką z wyobrażeniami utopijnymi. Oba terminy są często mylone, co może się wiązać z tym, że w fantastyce anglosaskiej istnieje jedynie termin „dystopia”.



autorki nie można mówić o istnieniu utopijnego społeczeństwa (niewielka społeczność założona przez bohaterkę zostaje prędko zniszczona) – oglądamy kraj ogarnięty kryzysem ekologicznym (brak wody), społecznym (wielkie rozwarstwienie społeczne, brak pracy, narastająca przemoc) i politycznym (konserwatywna, religijna dyktatura). Protagonistka tworzy system filozoficzno-religijny, który ma być lekarstwem na kryzys i dać ludziom nadzieję. Do jego założeń należy nacisk zarówno na rozwój naukowy, jak i życie w harmonii z naturą.

Utopia, w której mieszkają solarpunkowi bohaterowie, nie jest jedynym państwem na świecie – stąd częsty w powieściach motyw zagrożenia ze strony agresywnej kultury. Podobne obrazy możemy spotkać w *Woman on the Edge of Time* Marge Piercy, wiele uwagi poświęcają jej także Le Guin we *Wracać wciąż do domu* i Starhawk w *Fifth Sacred Thing*. Taka kultura jest więc hierarchiczna, centralistyczna i militarna, a dodatkowo seksistowska i rasistowska, z religią legitymizującą dyskryminację (kultura Dayao z *Wracać wciąż do domu* uważa kobiety i cudzoziemców za pozbawionych duszy; w *Fifth Sacred Thing* agresywne wrogie społeczeństwo kultywuje wierzenia, wedle których duszę można stracić między innymi poprzez kradzież wody lub bycie ofiarą gwałtu), posiada więc cechy, które stoją w sprzeczności z założeniami pacyfistycznej utopii. Problem konfliktu może zostać rozwiązany na różne sposoby. U Starhawk wygrywają – przynajmniej na jakiś czas – pacyfistyczne ideały. Atakujących żołnierzy udaje się przekonać do sprzeciwienia się generałowi (pomaga fakt, że żołnierze należeli do grup dyskryminowanych w społeczeństwie ich pochodzenia). U Le Guin z kolei kultura Dayao wycofuje się z własnych militarnych zapędów. Choć nie są dokładnie opisane powody, dla



których tak się dzieje, autorka podaje kilka hipotez (książka ma formę relacji antropologicznej, nie powieści): konflikty wewnętrzne, problemy ekonomiczne (w dłuższej formie narracyjnej opowiadającej o spotkaniu kultur mowa jest o walce Dayao z głodem), czy wreszcie nieumiejętność odpowiedniego korzystania z zasobów dawnej wiedzy, która miała zapewnić militarną przewagę.

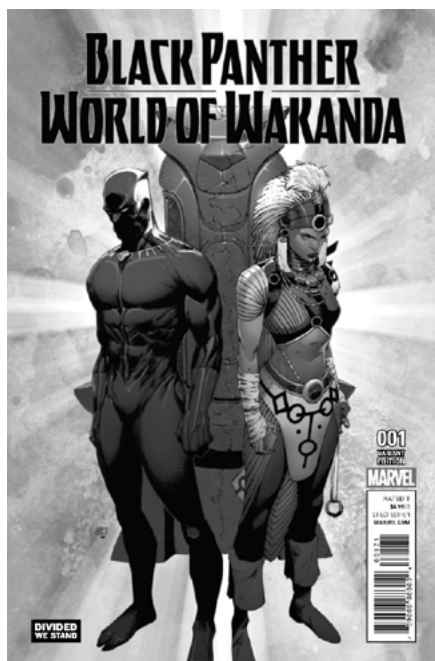
Takie przeciwstawienie sobie dwóch kultur jest mocno wartościujące, jednak nie bardziej, a czasem nawet mniej, niż w niezliczonych powieściach fantastycznych, w których pojawia się forma „złego imperium”. W porównaniu z nieprzemyślanymi klonami Śródziemia czy wszechświata „Gwiezdných Wojen”, książka Le Guin w dużym stopniu oparta jest o niuanse i oferuje wgląd w zagrożającą kulturę. *Wracać wciąż do domu* jest chyba najbardziej utopijnym i najbardziej wpisującym się w założenia solarpunku dziełem autorki, jednak wątki, które można przypisać do tej konwencji obecne są w całej

jej twórczości. Za przykład może posłużyć Słowo „las” znaczy „świat”, gdzie ludzie są najeźdźcami próbującymi zniszczyć pokojową, żyjącą w harmonii z naturą obcą cywilizację. Z kolei *Wydzieńczeni* to interesująca powieść dyskutująca z ideą utopii i pokazująca zarówno ciemne, jak i jasne strony różnych systemów społecznych.

Solarpunkowe utopie borykają się ponadto z innymi problemami. Może to być zagrożenie ze strony obcej przyrody, jak w *Zahrah the Windseeker* Nnedi Okorafor, gdzie akcja rozgrywa się nie na Ziemi, a na obcej planecie – Ziemia jest wspomniana jako miejsce legendarne. Mieszkańcy planety mogą z niej pochodzić, ale tekst tego nie rozstrzyga – a ludzie zamieszkują niewielką enklawę otoczoną niegościnną dżunglą. Społeczeństwo może również mieć wewnętrzne problemy, jak w *The Summer Prince*, gdzie szczęśliwa w gruncie rzeczy społeczność Palmares Trés jest rozwarstwiona, lecz konsoliduje ją doroczna krwawa ofiara z człowieka – z tym problemem musi borykać się bohaterka, kiedy na Letniego Króla zostaje wybrany jej przyjaciel. Czasem dążenie do ekologicznej równowagi może wiązać się z wątpliwymi moralnie decyzjami, jak we wspomnianym opowiadaniu *Last Chance*, gdzie dzieci dorastają w przekonaniu, że planeta, na której będą żyć, jest pustynią. Sposób, w jaki decydują dobra z globalnego, planetarnego punktu widzenia niekoniecznie przynosi pożytek dla ludzi rozumianych jako jednostki, pokazuje opowiadanie *The Reset* z tej samej antologii. W końcu istnieją takie przypadki, jak *Everfair* Nisi Shawl, gdzie próba zbudowania utopii kończy się porażką. Jak jednak zauważa sama autorka, zdarzenia w powieści są i tak lepsze od tych historycznych, a punkt wyjścia dla jej utworu stanowi historia kolonizacji Konga przez Belgię i ludobójstwo, którego tam dokonano. W alternatywnym świecie

proponowanym przez Shawl stworzone na terenie Konga państwo oparte na równości i zaawansowanej technologii rozpada się – ale dopiero po tym, jak jego mieszkańcom udaje się wyzwolić spod kolonialnej władzy. Gorzkie zakończenie daje równocześnie nadzieję na przyszłość, w której los mieszkańców Afryki będzie lepszy, niż miało to miejsce w rzeczywistości.

Jeśli chcecie sprawdzić, jak solarpunkowa estetyka może wyglądać, kiedy staje się częścią wielkiej popkulturowej franczyzy, zwróćcie uwagę na zapowiadany na przyszły rok film *Black Panther* oraz komiksy, które są jego podstawą – szczególnie serie „World of Wakanda”. Postać Czarnej Panterry – T’Chali – powstała zanim pojęcie solarpunku w ogóle się pojawiło. W odniesieniu do komiksów używa się raczej terminu „afrofuturyzm”, nazwy nurtu w fantastyce naukowej koncentrującego się na ludności



afrykańskiej i afrykańskiego pochodzenia. Jednak właśnie odwołanie się do kultur innych niż tak zwana kultura zachodu i koncentrowanie uwagi na ich technologicznym i społecznym rozwoju jest elementem wspólnym dla obu nurtów. W świecie Marvela Wakanda jest najbardziej rozwiniętym państwem świata. Co ciekawe, jej technologia rozwijała się w izolacji od pozostałych krajów. Wakanda posiada przy tym własną, specyficzną kulturę inspirowaną różnymi kulturami afrykańskimi (trailer wskazuje na bezpośrednie nawiązania). Choć nie udało mi się znaleźć żadnych informacji dotyczących użycia odnawialnych źródeł energii przez mieszkańców Wakandy, patrząc na kadry z filmu i komiksu, można zauważyć harmonię między strukturami zbudowanymi przez ludzi a przyrodą. Biorąc pod uwagę, że kultury pozaeuropejskie przedstawiane są zazwyczaj jako bliższe naturze, można przypuszczać, że Wakanda wypracowała sposób na pogodzenie rozwiniętej technologii z myślą ekologiczną – a to właśnie jest jednym z najważniejszych elementów solarpunku. Kolejnym nieliterackim dziełem, w którym można się doszukiwać elementów solarpunkowych jest gra *Horizon: Zero Dawn*, gdzie zaawansowana technologia koegzystuje z odrestaurowaną naturą, zaś ludzie żyją w małych, plemiennych społecznościach, w kulturach inspirowanych kulturami tradycyjnymi.

Czy solarpunk jest konwencją, która może dać coś polskiej fantastyce? Uważam, że tak. Niezależnie od tego, jak silną naszą literatura posiada tradycję antyutopii i dystopii, i jak wyraźny jest na polską fantastykę wpływ autorów deklarujących sympatie prawicowe lub poglądy neoliberalne, nie warto zakładać, że teksty czerpiące z założeń solarpunku nie mogą pojawić się na polskim gruncie. Nie powinna temu przeszkadzać

nasza nieufność wobec utopii – najlepsze solarpunkowe utwory są w stanie pokazać ją w sposób realistyczny, nie przemilczając wad. Nie wykluczam też możliwości powstania tekstu, który wykorzystywałby solarpunkową estetykę i założenia ekologicznej utopii przy bardziej konserwatywnym nastawieniu autora – i który byłby przy tym tekstem wielowarstwowym, a nie opartym na prostym wyśmianiu „utopijnego lewactwa”. Oczywiście, dla lewicowo nastawionych twórców solarpunk wydaje się o wiele ciekawszym materiałem. Szkada tego nie wykorzystywać.

Co mogłaby pokazywać polska solarpunkowa fantastyka? Mogłaby na przykład korzystać z elementów ludowych, modnej ostatnio (i słusznie) słowiańskości, budować obrazy przyszłości z obcymi planetami i alternatywnymi światami, w których słowiańska kultura i wierzenia łączyłyby się z zaawansowaną technologią – nauką lub magiczną. Mogłaby pokazywać współpracę między polską/słowiańską kulturą a kulturami nieeuropejskimi. Mogłaby zadawać pytania o sens istnienia utopii – nawet, jeśli odpowiedź taka byłaby negatywna. Mogłaby w końcu budować optymistyczne wizje przyszłości dla Polski – oparte na ideach harmonii i empatii, zamiast fantazji o imperium „od morza do morza”. Takich koncepcji nie ma w polskiej fantastyce zbyt wiele. Może założenia solarpunku staną się podstawą do ich zaistnienia? W końcu podstawową myślą tej konwencji nie jest tak naprawdę ani ekologia, ani utopia – ale nadzieja. ■

ANNA ŁAGAN – ROCZNIK 1983, PISZE DOKTORAT Z RELIGIOZNAWSTWA NA UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM.

POZA PISANIEM – NAUKOWYM I LITERACKIM – ZAJMUJE SIĘ GRAMI FABULARNYMI I LARPAMI, JEST CZŁONKIEM STOWARZYSZENIA LARPOWNIA.

Publikowała w *ESENSJI*, *SFFiH*, *FANTOMIE* i *NOWEJ FANTASTYCE*. DO PUBLIKACJI W TYM OSTATNIM CZASOPISIE ZOSTAŁO PRZYJĘTE JEJ OPOWIADANIE MIESZCZĄCE SIĘ W SOLARPUNKOWEJ KONWENCJI.

Steampunk's not dead

Z literaturą bywa czasem tak, że jakiś jej gatunek zaczyna swój żywot jako opowieść określonego rodzaju w określonej estetyce, by skończyć jako czysta estetyka. Rekwizyty przysławiają znaczenia, a ponieważ bardzo te rekwizyty lubimy, gatunek trwa i rozkwita, mimo oderwania od korzeni. Czy element punkowy jest jeszcze obecny w steampunku? A jeżeli tak, to co dalej z parowymi buntownikami i do czego ich bunt mógłby prowadzić? W poniższej dyskusji kilkoro młodych autorów zastanowi się nad tymi oraz paroma podobnymi tematami.

Karolina Fedyk, Anna Hrycyszyn, Artur Nowrot, Przemysław Zańko

Artur Nowrot: Zastanawiam się nad samą definicją steampunku. Łatwo byłoby sparafrazować Chmielowskiego i powiedzieć, że steampunk jaki jest, każdy widzi: cudowne wynalazki, cylindry, krynoliny (do warstwy estetycznej i tego, co się pod nią kryje, pewnie jeszcze wrócimy). Ale ciekawi mnie, co widzicie w nim Wy, co Was intryguje i przyciąga, kiedy stykacie się z nim w książkach, grach, filmach czy – w końcu część z nas ma i takie doświadczenia – w tekstach, które piszecie?

Anna Hrycyszyn: To proste! Parę! Oczywiście żartuję, choć nie do końca, bo kiedy zastanawiam się, dlaczego w ogóle zainteresowałam się steampunkiem, to wychodzi mi, że zwabiła mnie właśnie para. A kiedy mówię „para”, mam na myśli dziewiętnastowieczną

technikę. Te wszystkie niesamowite twory inżynierskie: napędzane połączonymi siłami ognia i wody krosna tkackie, wysokie na trzy piętra silniki w przepompowniach, mosty, wiadukty, parowozy i pancerne pociągi. Mówiąc krótko – maszyneria i architektura charakterystyczne dla okresu rewolucji przemysłowej. Ich rozmach i to, że łączyły w sobie funkcje utylitarne z estetycznymi.

Przemysław Zańko: Steampunk to ciekawa bestia. Mnie zafascynował jako odprysk cyberpunku, do którego mam słabość. Technologie zmieniające ludzkie życie, fascynujące nierówności społeczne, zagubienie jednostki w wielkich, bezdusznych systemach – wszystko to rozgrywane nie w przyszłości, a w XIX wieku. Na taki steampunk trafiłem najpierw

pod postacią *Maszyny różnicowej* Gibsona i Sterlinga – i to on właśnie mnie uwiódł, a nie sama estetyka parowych maszyn. Ciekawe są wizje przyszłości, w które na serio wierzono, a które się nie spełniły. Cyberpunk jest taką niezrealizowaną przyszłością: w roku 2017 mieliśmy już przecież żyć w miastach-molochach pełnych latających samochodów, cyborgów i totalitarnych korporacji. XIX wiek też pozostawił po sobie taką wizję: skrzydlate parowe dylizanse, pełne kółek zębatach roboty sprząające, przedstawienia teatralne oglądane z domów, dzięki przekazującym obraz supertelegrafom. Nic dziwnego, że ten świat (nie)możliwy zafascynował ludzi XX wieku i wciąż fascynuje.

Karolina Fedyk: Mnie również uwiódła romantyczna wizja odważnej nauki i pięknej przyszłości oraz pełne optymizmu przekonanie, że z pomocą pary i eteru możemy osiągnąć wszystko. Ale jednak – w zwrocie „rewolucja przemysłowa” nacisk kładę na rewolucję. Cuda XIX wieku istniały tuż obok – a często i za sprawą – morderczego wyzysku, niewolnictwa, eksploatacji zasobów naturalnych, niszczenia całych kultur w imię tego czy innego imperium. Zmiany techniczne szły ręką w rękę z głębokimi przemianami społeczeństwa. Nie wyobrażam sobie steampunku bez punku. Bez elementu buntu ta wspaniała przyszłość jest tylko estetyczną wydmuszką. A Wy jaki związek widzicie między steampunkowymi motywami a estetyką nurtu, o której wspomnieliśmy wszyscy?

AN: Prawdę mówiąc, ten związek jest dla mnie co najmniej problematyczny. Steampunk odwołuje się do epoki, która w dużej mierze ukształtowała nasz świat, tkwi w nim więc ogromny potencjał, by opowiadać o teraźniejszości: w końcu – żeby podać choć parę przykładów – ciągle polegamy na paliwach kopalnych, a postępująca automatyzacja rodzi obawy co do losu pracowników

fizycznych, podobne do tych, jakie trażyły dawniej luddystów¹. Nie wspominając już o dziedzictwie kolonializmu, które ciągle jest wyraźnie dostrzegalne. Bardzo interesuje mnie więc napięcie między elementami wymienionymi przez Karolinę – między świetlaną przyszłością, do której wydawaliśmy się zmierzać, a okropieństwami, którymi wybrukowana była droga do niej.

Wszystko to jednak łatwo może się zatracić pod cylindrami i gorsetami (które uwiierały i nie pozwalały oddychać, ale wyglądały pięknie), czyli estetyką właśnie, albo bezrefleksyjnym, podsycanym nostalgią powielaniem tropów i schematów znanych z dziewiętnastowiecznych powieści przygodowych, a przecież steampunk pełnymi garściami czerpie z takiej konwencji (i niech czerpie na zdrowie, to ma swoje zalety – byle ostrożnie i z zachowaniem krytycznego dystansu). Oczywiście, to problem nie tylko steampunku, bo do upraszczania realiów dochodzi we wszystkich gatunkach literackich mających coś wspólnego z historią. Na ich tle steampunk ma na pewno to alibi, że nie mówi o historii bezpośrednio, chodzi zwykle o wizję alternatywną albo świat inspirowany tylko XIX wiekiem. Może warto więc zapytać: jak powinna wyglądać relacja steampunku do historii?

PZ: Jest taka scena w (bynajmniej nie steampunkowym) *Powrocie z gwiazd* Lema. Bohater, który wrócił z kosmosu na Ziemię po ponad wieku, idzie na film czy przedstawienie z akcją osadzoną przed stu laty, czyli „w swoich czasach” – i widzi rażące nieścisłości w kostiumach oraz obyczajowości postaci. Myślę, że ta scena dobrze oddaje to, jak czuli się ludzie XIX wieku, gdyby mogli przeczytać czy obejrzeć dzisiejszy steampunk. Nawet dzieła bardziej trzymające się historii

1 <http://www.smithsonianmag.com/history/what-the-luddites-really-fought-against-264412/?no-ist=&page=2>.

prezentują jej wersję romantyczną, przygodową. Przeciętny steampunk w ogóle nie zwraca sobie głowy historią, tylko bawi się kostiumami i konwencjami minionej epoki. Ale czy to źle? Ostatecznie mówimy przecież o wiktoriańskiej fantazji na temat przyszłości, nie o prawdziwym XIX wieku.

Ciekawe natomiast, że steampunk najczęściej rozgrywa się w realiach brytyjskich. Imperium było wtedy u szczytu potęgi, narzucało połowie ludzkości swoją władzę i kulturę – mamy więc do czynienia z historią z perspektywy władców świata. Nic dziwnego, że na jej bazie zrodziła się fantazja o złotym wieku technologii i wyższych sferach. A steampunk jest moim zdaniem najciekawszy, gdy opowiada historię z pozycji nieuprzywilejowanych. Mniej „steam”, bardziej „punk”. Nędzarze, przestępcy, prostytutki – oni też przecież żyją w tym świecie i chyba mają o nim coś ciekawszego do powiedzenia niż poszukiwacze przygód z robionymi na zamówienie parowymi gadżetami.

Drugim sposobem na zmianę optyki steampunku jest realizowanie go z perspektywy innej niż brytyjska czy amerykańska. Nie czytałem wiele polskiego steampunku, ale sam kształt naszej dziewiętnastowiecznej historii powoduje, że te fabuły były już na starcie ciekawsze niż kolejne wariacje na temat Imperium Brytyjskiego. Znakomite (nagrodzone Zajdlem oraz Żuławskim) *Czterdzieści i cztery* Piskorskiego, okropny, ale fascynujący *Alkaloid* Głowackiego, na swój sposób *Lód* Dukaja... Powstania narodowyzwolenicze z parowo-magicznymi maszynami w tle, środek chemiczny dający supermoce, zamrażanie historii. A to przecież tylko nasze polskie poletko. Ciekawa byłaby fantastyczna historia Grecji, Japonii...

AH: Jeśli o Japonii, to mogę podpowiedzieć *Tancerzy Burzy* Jaya Kristofa. Sama mam ją na liście właśnie dlatego (tak, jeszcze



je nie przeczytałam), że sięga gdzie indziej niż zdecydowana większość powieści spod steampunkowego szyldu. Zaś wracając do zasadniczego tematu – mnie do steampunku przywiodła właśnie historia. Fascynacja XIX wiekiem – przemianami społecznymi, zmianami na mapie, coraz śmielszą wyobraźnią ówczesnych wizjonerów – tkwi we mnie od dawna. Zaczytywałam się w pozycjach zarówno beletrystycznych, jak i naukowych, biegałam po muzeach, spędzałam czas nad filmami dokumentalnymi. Z kolei moje pierwsze spotkanie ze steampunkiem było czysto wizualne. Wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, ale ja długo nie miałam pojęcia, że steampunk istnieje jako nurt w literaturze. Kojarzyłam tę stylistykę z grami komputerowymi – na przykład *Arcanum* czy *Syberia* – i kreskówkami. Podobała mi się; przykuwa wzrok, jest atrakcyjna, nawet jeśli to odrobinę zabawne, że gorset z białym

ewoluował w niej do eleganckiego stroju wyjściowego. Po pierwszej „świadomości” przeczytanej książce mieszczącej się w tym nurcie wciąż trudno mi było sobie wyobrazić steampunk jako coś więcej niż estetykę. Potem zaś spadło na mnie olśnienie w postaci *Ektenii* Emila Strzeszewskiego (przy okazji – to też pozycja wychodząca poza realia brytyjskie), a zaraz po niej wspomnianej przez Przemysława *Maszyny różnicowej*. Wtedy dopiero dotarło do mnie, jaki może być steampunk i że łączy on w sobie estetykę, która mnie kręci i tematykę, którą zgłębiam od dawna i która daje ogromne pole manewru. „Steam” przyciąga, a „punk” buduje opowieść.

KF: Na chwilę stanę w obronie estetyki, nawet nieszczyśnych gorsetów na wierzchu i przyklejonych gdzie popadnie zębatek – widzę co najmniej dwa znaczenia tego przestetyzowania. Uroda i finezja steampunku zachęcają do refleksji nad pomysłowością dziewiętnastowiecznych twórców i inżynierów. A jednocześnie – celebryją optymistyczne wizje przyszłości, o których już rozmawialiśmy. Lubię steampunkową estetykę, nie umiem za to poradzić sobie z anachronicznym uproszczeniem. Osadzanie w głównych rolach arystokratów i dżentelmenów to dla mnie jak pisanie cyberpunku z perspektywy prezesa megakorporacji. Mam wrażenie, że o ile chętnie identyfikujemy się z hakerami rozpoczynającymi rewolucję, o tyle z trudem przychodzi nam to wobec postaci, które mogłyby zmienić steampunkowy porządek świata. Czy brak wzorców dla takich postaci, czy może wciąż nie rozliczyliśmy się z niewygodną historią? Wciąż mało jest tekstów, które pokazałyby zmianę w podejściu do dzieci (pojęcie dzieciństwa to stosunkowo nowy wynalazek), kobiet, robotników, rdzennych mieszkańców kolonii – tymczasem te grupy społeczne były motorem wielu zmian i nie da się po prostu zignorować ich obecności. Ten literacki pejzaż

na szczęście się zmienia, na przykład *Everfair* Nisi Shawl opisuje alternatywną historię dziewiętnastowiecznego Konga – lecz w powszechnym wyobrażeniu steampunkowy bohater to raczej Fileas Fogg, uprzywilejowany Anglik dokonujący symbolicznego podboju świata, niż zbuntowany hinduski książę, który przybrał pseudonim Nemo. Nie ukrywam, że chętnie zobaczyłabym w steampunku więcej kapitanów Nemo, sufrażystek i naukowców, których prace spowalnia opór społeczeństwa, czy też dzieci zmuszonych pełnić role dorosłych. Dla mnie bohaterem steampunku jest buntownik, wyrzutek, wizjoner doświadczający ostracyzmu.

AN: Mam pewien pomysł, skąd taka dysproporcja. Otóż haker w cyberpunku okazał się do zaakceptowania, bo to również przykład wybitnej jednostki, której kult jest, jak sądzę, jednym z najbardziej rozpowszechnionych wyznań w naszym społeczeństwie. Haker to może typ bardziej egalitarny od arystokraty (o jego możliwościach nie decydują okoliczności urodzenia, ale znajomość powszechnie dostępnej, przynajmniej w tak zwanych krajach rozwiniętych, technologii) i, owszem, bardziej rewolucyjny, ale nadal mamy do czynienia z samotnym człowiekiem w pojedynkę dokonującym wielkich rzeczy. Moją propozycją byłaby zatem zmiana perspektywy i konstrukcji powieści – może powrót do innych konwencji obowiązujących w czasach, którymi inspirowane jest steampunk? Dziewiętnastowieczna powieść realistyczna świetnie sobie radziła z przedstawianiem przekroju społeczeństwa, z opowiadaniem historii o warstwach niższych niż elity, a znajdowało się również miejsce na przedstawianie rozmaitych niepokojów społecznych i ruchów rewolucyjnych. We współczesnej literaturze fantastycznej doskonałą demonstracją tego, co takie podejście może przynieść, jest *Jonathan Strange i pan Norrell*, powieść wprawdzie nie steampunkowa, ale

na tyle pokrewna temu nurtowi, że nie byłoby chyba wielkim nadużyciem mówić w jej kontekście o... regencypunku na przykład.

AH: Ja również zastanawiałam się nad tym, skąd ta skłonność do obsadzania w rolach bohaterów steampunkowych tekstów wyłącznie dżentelmenów. Wydaje mi się, że odpowiedź jest prostsza niż można przypuszczać. Po pierwsze, to oni byli towarzyszami naszego dzieciństwa (na pewno mojego), jak choćby przywołany przez Karolinę Fileas Fogg. Stanowią pierwsze skojarzenie z hasłem „dziewiętnastowieczny”, bo tkwią w nas głęboko, nie wspominając, że z dzielnym podróżnikiem łatwo się zidentyfikować, bo któż w dzieciństwie nie marzył o dokonywaniu rzeczy wielkich? Z kolei cyberpunk jest blisko naszej rzeczywistości. To już nie marzenia z dzieciństwa, a zagrożenia dorosłości. Istnienie manipulujących ekonomiczną rzeczywistością świata korporacji to fakt, a znakomita większość czytelników nie zasiada w fotelu prezesa. Przełożenie cyberpunku na steampunk nie jest idealne, to prawda, ale bohater wyjątkowy, działający samotnie to motyw uniwersalny. W tym miejscu chciałabym też – nieco na marginesie – stanąć w obronie dziewiętnastowiecznej arystokracji, wrzucanej często do jednego worka przeznaczonego dla wyzyskiwaczy. Tymczasem przedstawiciele arystokracji także bywali inicjatorami zmian społecznych, przede wszystkim dlatego, że mieli po temu możliwości związane z pozycją i zasobami finansowymi. Wracając zaś do bohaterów, choć walczący z przeciwnościami samotnik zapewne zawsze się obroni, to powrót do bohatera zbiorowego w sensie nie rządu anonimowych dusz czy tłumu, ale systemu naczyń połączonych, wpływających na siebie i od siebie zależnych, może pomóc w niejakiem odświeżeniu steampunku.

PZ: Steampunk zawiera w sobie załączek własnego zniszczenia, iskrę pożaru, który

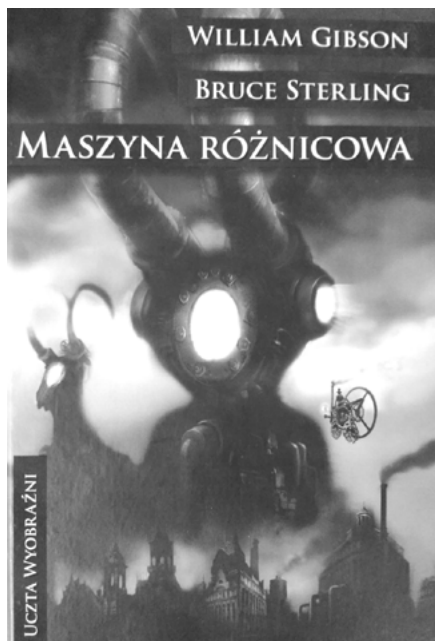
kiedys go pochłonie. Sen o nieustającym XIX wieku, o złotej przyszłości pełnej cylindrów, krynolin i parowych maszyn w rzeczywistości przecież się skończył – rewolucją i wojną w wieku XX. Ziarna jednego i drugiego można znaleźć bez trudu już w XIX stuleciu – niepokoje społeczne, zbrojenia, napięcia międzynarodowe. Można by więc powiedzieć, że jeśli pozwolić steampunkowym bohaterom z różnych warstw społecznych się zjednoczyć, jeśli dać im swobodny dostęp do wynalazków, którymi w tym świecie władają na ogół arystokraci – obalą oni steampunk i rozniosą go w pył. Zacznie się nowa epoka, powstanie nowy świat. Jaki? Ano, to już pytanie do pisarzy... To również prawda, że steampunk przychodzi na myśl dziecięce marzenia o przygodach i odkryciach. Steampunk jest tym duchem przesiąknięty. Nic dziwnego, że trudno autorom wyjść poza jednostkowych herosów – dzieci są egoistyczne, lubią być pępkami świata i mieć na własność parowe zabawki. Może steampunk powinien troszkę dorosnąć?

KF: Skoro mówimy w kontekście XIX wieku o rewolucji (albo rewolucjach), nie unikniemy nawiązania do Dantona i rewolucji pożerającej własne dzieci. Nawet ci, którzy chcieli głębokich przemian, mogą stać się ich ofiarami. Mnie w XIX wieku najbardziej ciekawi zmiana paradygmatu – na tym, który wówczas powstał, zbudowaliśmy naszą naukę i rozumienie społeczeństwa. Ale dla tych, którzy żyli w trakcie tej zmiany, runęły fundamenty świata. Obalono wiele powszechnych przekonań i prawd. Poza optymizmem istniały też strach, trauma, pewność nadchodzącego końca. Steampunk jako pożar – podobna mi się ta wizja. Jak ją sobie wyobrażacie? Czy remedium na brutalną rewolucję będzie właśnie zjednoczenie się? Jak napisalibyście poststeampunk? Jaki świat powstanie na zgliszczach wieku pary?

AN: Kiedy myślę o rewolucji przemysłowej, to nie widzę tego zjadania własnych dzieci; ci, których wyniosła na szczyty, raczej nie mieli powodów, żeby później tego żałować. Nie ulega jednak wątpliwości, że puszczony w ruch silnik rewolucji przemysłowej potrzebuje paliwa – z jednej strony zasobów naturalnych, z drugiej natomiast ludzkich. Najciekawszy zatem wydaje mi się moment, kiedy zabraknie jednego lub drugiego: kiedy przeżyjemy konsumpcję już wszystkiego, co było do skonsumowania, lub kiedy ludzie zdecydują się, cytując Maria Savia, „położyć na trybach” i zatrzymać całą maszynę. Pierwsza sytuacja mówiłaby o relacji człowieka do otaczającego świata (a w szczególności środowiska naturalnego), druga – mogłaby stawiać pytania o cel i koszt systemu, który zbudowaliśmy. Tak widziałbym steampunk w stanie kryzysu i tutaj upatrywał możliwości przejścia do poststeampunku, który wyglądać może... cóż, tak jak wizje naszej przyszłości. Wydaje mi się, że wachlarz mamy dość szeroki: od społecznych i ekologicznych katastrof po solarpunk. Być może ciekawe byłoby też przeniesienie środka ciężkości na doświadczenia inne niż europejskie: myślę, że mariaż steampunku z, na przykład, afrofuturystycznym mógłby przynieść bardzo ciekawe rezultaty i uporać się choćby z wątkami kolonialnymi, które ze względu na przywoływaną epokę często steampunkowi towarzyszą, choćby w domyśle.

AH: A mnie się wydaje, że poniekąd żyjemy w poststeampunku. Pod tym względem zgadzam się z Arturem – przyszłość świata opartego na parze zawiera w sobie te same zagrożenia, co nasza własna przyszłość. Zagrożenia ekologiczne, kryzysy na rynku pracy, gdy zabraknie już pomysłów na usługi, w których mogłyby się zatrudniać niepotrzebne już przy produkcji masy ludzkiej. A pożar? Cóż, czy tak nie zakończył się XIX wiek? W ogniu rewolucji i pierwszej

wojny światowej? Chciałabym też wrócić do tej wyrażonej przez Przemysława potrzeby „dorosięcia steampunku”. Nie macie wrażenia, że zataczamy koło? My jako odbiorcy literatury. Przecież, gdy steampunk dopiero się wykuwał jako osobna konwencja, był właśnie opozycją do niezbyt wyszukanych historyjek o dzielnych odkrywcach/wynalazcach podbijających Dzikie Zachód – odmiany powieści wagonowych określanych „edisonadami” ze względu na obecność elementu związanego z nauką. I *Maszyna różnicowa* Sterlinga i Gibsona czy *Wiek światła* MacLeoda moim zdaniem są takim właśnie dorosłym steampunkiem. W artykule *Dziewiętnastowieczne korzenie steampunku* stanowiącym wprowadzeniem do antologii *Steampunk*, Jess Nevins pisze, że druga generacja pisarzy obracających się w steampunkowym nurcie zgubiła ideę punkową, a zostawiła sobie jedynie gadżety i stylistykę. Dziś my mówimy o czymś podobnym. O tym, że chcielibyśmy czytać



teksty poruszające szersze spektrum, teksty poważniejsze, dające do myślenia, mocniej osadzone w historii. Mniej przygody – więcej obyczajaju. Jeśli walka, to nie o skarb, ale o idee. To już było, potem nastąpiła zmiana i teraz mamy ochotę na kolejną.

PZ: Słuszna uwaga. Początki steampunku były trochę poważniejsze. Ale to, że potem steampunk stracił gdzieś pazur i przemienił się w przygodowe historie z wiekiem pary w tle, to w zasadzie nic dziwnego – chyba każdy gatunek literacki z czasem wytraca impet i nowatorstwo. Zresztą, nie mam nic przeciwko przygodowemu, gadzeciarskiemu steampunkowi, sam go czasem z przyjemnością pochłaniam. Byłe tylko istniały również ujęcia głębsze. Co do poststeampunku, przede wszystkim zgadzam się, że na swój sposób w nim żyjemy – nic tak skutecznie nie rozwiązało problemów XIX stulecia, jak wiek XX (który zaraz stworzył nowe, jeszcze gorsze). Jeśli chodzi zaś o rozwiązania literackie, to myślę, że najprostszą odpowiedzią na pytanie „co po steampunku” jest... dieselpunk. Nie tylko dlatego, że bawi się on konwencjami i estetyką początków XX wieku tak samo, jak steampunk robi to z wiekiem XIX – ale także dlatego, że dieselpunk to przede wszystkim wojna. Okrutna, rozszalała, niekończąca się wojna pełna coraz to bardziej wymyślnych machin do zabijania. Gdy skończy się węgiel i steampunk upadnie, przesiądziemy się na silniki Diesla i podpalimy świat. No dobra, trochę oszukuję. Dieselpunk jako gatunek ani nie wyrasta ze steampunku, ani nie stanowi jego logicznej kontynuacji. Poststeampunk musiałby wziąć cały steampunk, wszystkie jego napięcia, kwestie problematyczne, założenia i konwencje – po czym pójść z nimi o krok dalej. Pokazać, co z nich wynika i jaki świat można zbudować po naprawieniu błędów i wypaczeń „złotego stulecia”. Zastanawiam się tylko, czy bezkrwawy kres

steampunku w ogóle jest prawdopodobny. Mnie trudno to sobie wyobrazić.

AH: Może to dlatego, że już wiemy, że taki właśnie był? Uczymy się tego na lekcjach historii, oglądamy w filmach, czytamy w książkach? Rozbieramy na drobne mechanizmy społeczne, ekonomiczne, technologiczne prowadzące do takich a nie innych efektów. Obserwujemy i wyciągamy wnioski. Każda inna wizja zdawałaby się naiwnością. Z drugiej strony – chciałabym o takim właśnie bezkrwawym kresie, o rozwiązaniu prowadzącym do ery pokoju i dobrobytu przeczytać. Nawet jeśli miałabym się na końcu uśmiechnąć pod nosem i pomyśleć: „Ech, to dopiero fikcja”.

KF: Chciałam najpierw powiedzieć, że dla mnie najlepiej ilustruje poststeampunk wymarzona rzeczywistość futurystów. Ale szybko przyłapałam się na myśleniu, że z manifestu Marinettiego najchętniej zachowałabym tylko technologiczny optymizm i odwagę, zapominając o wpisanym weń kulcie wojny i silnej, agresywnej jednostki. Ale przecież mamy już książki opisujące najpełniejszą realizację futurystycznych idei – i są to utylitarystyczne dystopie science fiction. Wydaje mi się, że brutalny finał rewolucji przemysłowej wynikał z jej autodestrukcyjnej natury, z zachłanności, pożerania zasobów bez zastanowienia nad konsekwencjami. Z tekstów dziewiętnastowiecznych ewolucjonistów bije optymizm: znaleźliśmy zasadę progresu, teraz będziemy tylko lepsi, a dominacja człowieka na ziemi coraz bardziej efektywna. Wtórowali im właściciele fabryk, głusi na nawoływania Thoreau i innych wczesnych ekologów. Dopiero na progu XX wieku wprowadzono prawne regulacje mające na celu ochronę przyrody. Jeśli steampunkowa rewolucja ma przynieść ulgę, nie wojnę, musi zacząć nie od technologii, a od ramy poznawczej – i postawić w centrum takie wartości, jak zrównoważony rozwój, budowanie silnych więzi

społecznych, równouprawnienie. Nawiązując do tego, co powiedział Artur: po steampunku chciałabym zobaczyć solarpunk, inspirujący i dający nadzieję.

AN: Chociaż po przemyśleniu sprawy sądzę, że jeśli mamy nadal mówić o jakimś – punku, to nie pełen nadziei uśmiech (choćby i nieśmiały) byłby najbardziej adekwatną reakcją na dziedzictwo steampunku, a środkowy palec wyciągnięty w stronę przeszłości i przyszłości.

KF: Czyli rewolucja i rewolucja, i znów rewolucja. Ale pozwolę sobie jeszcze na chwilę wrócić do steampunku: czego Wam w tym nurcie obecnie najbardziej brakuje – jakich postaci, motywów, fabuł?

PZ: Bez wątpienia czeka gdzieś mnóstwo już napisanych genialnych pozycji, o których nic nie wiem... Na pewno jednak chciałbym poczytać steampunk pokazujący, jak ten złoty wiek technologii przejawia się na wsi. Sam na wsi dorastałem i słuchając różnych opowieści o tym, jak to drzewiej bywało, nie mogłem się nadziwić, jak ogromnie rozmaite maszyny (traktor, kombajn, dojarka, telewizor) zmieniły tam w ciągu jednego pokolenia życie ludzi. Steampunk to bardzo „miejski” gatunek i czytając go, można odnieść wrażenie, że świat składa się wyłącznie z wielkich metropolii pełnych cudów techniki, dookoła których rozpościerają się sioła tkwiące wciąż w głębokim średniowieczu. Serio? Żadnej rewolucji w rolnictwie dzięki parowym maszynom? Żadnych chłopów walczących o uwłaszczenie? Żadnych tarć obyczajowych między tradycją a nowoczesnością? Żadnych zrealizowanych na serio szklanych domów?

AN: Ja chciałabym steampunku zaangażowanego, buntowniczego, jeśli nie wręcz ikonoklastycznego, który w szerokiej perspektywie pokazywałby, jak to pięknie ujęła Anna, system naczyń połączonych, jakim jest społeczeństwo.

Jeśli natomiast miałbym wskazać jedną rzecz, na której zależałoby mi najbardziej, to byłoby to chyba sproblematyzowanie roli technologii. Nie chodzi mi o potępienie w czambuł – raczej o zniuansowane rozważania nad możliwymi drogami jej rozwoju, nad naszym do niej stosunkiem, nad wpływem, jaki wywiera na nas i resztę świata. Nad ceną, jaką skłonni jesteśmy zapłacić za jej używanie. Myślę, że to wszystko interesujące, ważne pytania i że dobrze byłoby, aby powstały różne artystyczne wypowiedzi związane z tymi zagadnieniami. Tego rodzaju rozważania nad alternatywnymi wizjami przeszłości, jakie prezentuje steampunk, mogłyby wtedy zaowocować różnorodnymi potencjalnymi wersjami przyszłości.

AH: A ja chętnie bym zobaczyła powieść z młodymi bohaterami walczącymi o dostęp do edukacji. Wiem, że na pierwszy rzut oka może to brzmieć mało zachęcająco, ale wyobrażam sobie, że dałoby się napisać przygodową historię spod szyldu YA z takim motywem.

KF: Bardzo Wam dziękuję za fascynującą rozmowę. Wygląda mi na to, że w steampunku jest jeszcze wiele historii czekających na opowiedzenie.

SUBIEKTYWNY LEKSYKON CIEKAWEGO STEAMPUNKU

Everfair – debiutancka powieść Nisi Shawl opisująca powstanie fikcyjnego państwa na terenie Konga w czasach belgijskiej kolonizacji. Shawl opowiada alternatywną historię, w której rdzenni mieszkańcy Konga zyskują dostęp do parowej technologii i wspólnie z irlandzkimi socjalistami i afroamerykańskimi misjonarzami próbują zbudować utopię.

Tancerze burzy – pierwszy tom serii Wojna Lotosowa australijskiego pisarza Jaya Kristoffa. Stanowi mariaż steampunku i japońskiej

kultury okresu feudalizmu, a przygodowej fabule towarzyszy mieszanina nowoczesnych wynalazków i sztywnego etosu samuraja.

Ektenia – steampunk z naciskiem na punk; powieść Emila Strzeszewskiego, wydana przez Powergraph w formie e-booka. Plastycznie odmalowana alternatywa historyczna, w której Państwo Zakonu Krzyżackiego nie uległo sekularyzacji i w XIX wieku toczy wojnę ze Wschodniobałtami, sięgając ku żydowskiej Kabale.

Arcanum: Przyprawienie o Maszynach i Magii – komputerowa gra fabularna z 2001 roku osadzona w świecie łączącym elementy klasycznego fantasy i realiów z okresu rewolucji przemysłowej, stworzona przez Troika Games. Gracz wciela się w bohatera, który przeżył katastrofę pierwszego na świecie sterowca i z tego powodu został uznany za bóstwo.

Syberia – gra przygodowa typu „point and click”, której bohaterką jest amerykańska prawniczka przybywająca do małej wioski w Alpach francuskich, aby sfinalizować sprzedaż nieczynnej fabryki zabawek-automatów. Na miejscu okazuje się, że nie będzie to takie proste. Kate rusza w podróż w poszukiwaniu ostatniego właściciela, a po drodze rozwiązuje liczne zadania, wymagające uruchamiania różnorodnej starej maszinerii pełnej przekładni i zębatek.

Wieki światła – powieść Iana R. MacLoda, pierwszy tom dylogii pod tym samym tytułem. Autor opisuje wpływ magii na rewolucję przemysłową i zmiany społeczno-ekonomiczne, jednocześnie czyniąc z niej kopalinę wydobywaną z głębi ziemi potężnymi maszynami, dzięki ciężkiej pracy narażających życie robotników.

Maszyna różnicowa – powieść autorstwa Williama Gibsona i Bruce’a Sterlinga z 1990 roku, której wydanie często utożsamia się z literackim początkiem steampunku.

Akcja osadzona jest w końcówce alternatywnego XIX wieku w Wielkiej Brytanii. Ku świetlanej przyszłości Imperium prowadzą członkowie Radykalnej Partii Industrialnej, a policja szuka przestępców z pomocą mechanicznych komputerów.

Czterdzieści i cztery – powieść Krzysztofa Piskorskiego z 2016 roku. Wizja dziewiętnastowiecznej Europy, w której energia próżni umożliwiła podróże do sąsiednich wymiarów oraz stworzenie broni masowej zagłady. Główna bohaterka, kapłanka tajemniczego bóstwa i wysłanniczka Juliusza Słowackiego, szuka po latach zemsty na człowieku, którego zdrada spowodowała upadek powstania listopadowego.

Łód – Jacek Dukaj mógłby źle przyjąć nazywanie jego powieści steampunkiem, jednakże skojarzenia same się narzucają. Młody warszawski matematyk rusza w podróż na daleką Syberię, by na zlecenie carskiej policji odszukać zaginionego ojca. Sprawa jest wagi międzynarodowej, gdyż Europę skuwa powoli zlodowacenie, pod którego wpływem zamarza nawet historia i ludzkie charaktery. W rolach głównych kolej transsyberyjska, cudowne maszyny profesora Tesli i przeziwne, mistyczo-anarchistyczne ruchy rewolucyjne. Arcydzieło.

Alkaloid – wydana pod pseudonimem polska powieść, której bohaterem jest znany skąd inąd Stanisław Wokulski. W swej steampunkowej wersji polski kupiec nie zajmuje się jednak umizgami do próżnej szlachcianki – zamiast tego woli być naukowcem i zmieniać oblicze świata przy pomocy wynalezionego przez siebie serum geniuszu. Wartka akcja, barwny świat przedstawiony, masa nawiązań do historii. Tylko sensu mogłoby być trochę więcej, ale cóż – nie można mieć wszystkiego... ■

KAROLINA FEDYK, ANNA HRYCYSZYN,
ARTUR NOWROT, PRZEMYSŁAW ZANKO



Dźwięki Starej Ziemi

Matthew Kressel

tłumaczenie Magdalena Grajcar

Ziemia ucichła, odkąd wszyscy przenieśli się na nową. Idę pustymi ulicami Nowego Paltz z maską tlenową ciasno zakrywającą twarz. Kwaśny deszcz zrasza mi skórę, a gęsta mgła zasłania próżniowo zapieczętowane witryny sklepów. W zeszłym tygodniu przenieśli na Nową Ziemię piramidy z Gizy. Tydzień wcześniej – Stonehenge. A jeszcze wcześniej Wersal i spory kawał Wielkiego Muru. NEU twierdzi, że przeniesienie pomniejszych monumentów kosztowałyby za dużo, więc siedemsetletnia ulica Huguenotów w Nowym Paltz pozostanie tutaj, a za kilka miesięcy, gdy planetarne lasery zaczną rozcinać Ziemię, zostanie posiekana na kawałki.

Pompuję nanoboty do krwioobiegu, żeby ulżyć mojemu artretyzmowi. Kiwam głową kilku znajomym maruderom. Codziennie o dziesiątej rano przechadzamy się po tych pylistych ulicach, w ramach małego aktu buntu przeciwko rozkazom przymusowej ewakuacji. Macham do Marty, lat dziewięćdziesiąt sześć, w stylowej i różowej masce tlenowej. Podaję rękę doktorowi Wu, który osobiście instalował mi wszczep czaszkowy,

kiedy byłem chłopcem. Uśmiecham się do Cordelii, lat sto trzydzieści trzy, widząc, jak truchta na swoich czterech mechanicznych nogach. Wszyscy mieszkamy w Nowym Paltz całe życie i wszyscy właśnie tu zamierzamy umrzeć.

Ktoś za mną wybucha śmiechem. Dawno już nie słyszałem tego dźwięku. Grupa nastoletków jedzie w moją stronę na starych turbocyklach, po popękanych chodniku. Zatrzymują się, a mnie ujmuje widok ich pełnych entuzjazmu, zaczerwienionych twarzy. Żadne z nich nie ma maski tlenowej, co jest niezgodne z prawem. Już ich lubię.

– Hej, szinhun – odzywa się jeden z chłopaków. – Wiesz może, gdzie są żaby?

Zanim jestem w stanie odpowiedzieć, atrakcyjna dziewczyna z techplantem na policzku zdmuchuje zielonego dreda znad oczu.

– Słyszeliśmy, że jakiś wankuzidi ma stary dom, gdzie trzyma masę żab – mówi.

Chłopak staje na tylnym kole, drugi bierze wdech mózgotrzepa z inhalatora. Trzeci zaciąga się cygalektrykiem i wydycha fluorescencyjny dym.

– Za domem mam staw z kilkoma żywymi żabami – odpowiadam.

– Xin! – wykrzykuje dziewczyna. – Może zabierzesz się z nami? Jestem Lin.

Te dzieciaki są na takim hajcu, że prawie szybują po orbicie, ale właściwie, co mam do stracenia?

– Abner – przedstawiam się.

I już po chwili obejmuję ją w pasie i gnamy w stronę mojego domu przez zniszczone drogi, z których od dziesiątek lat nie korzystał żaden pojazd. Czuję wiatr na twarzy i jest cudownie.

– Jesteśmy z Albany – mówi Lin. – Próbowaliśmy jechać starą międzymiastową, ale jak Juan zleciał po hicie koki, postanowiliśmy jechać dołem. Zajęło nam to yungyeh!

Ekran ochronny wokół mojej nieruchomości sprawia, że las migocze jak woda w słońcu. System działa na wysokiej wydajności, bo to kwestia honoru – w końcu sam zaprojektowałem tę cholerną technologię. Kiedy przejeżdżamy przez naładowany próg ekranu, zdejmuję maskę tlenową i biorę głęboki wdech. Dzieciaki uśmiechają się, czując żywną ziemię i rozkładające się liście.

– W Albany tak nie pachnie – stwierdza Lin.

Parkujemy cykle na wyrosniętej trawie i prowadzę dzieciaki do lasu za moim domem. Wpatrują się w wielkie klony i brzozy. Milkną.

– Żaby najgłośniejsz rechoczą o zachodzie słońca i przed deszczem – tłumaczę. – To wtedy samce próbują zaimponować samicom. – Dzieciaki chichoczą, wspinając się na gałęzie. – Jeśli naprawdę chcecie je usłyszeć, powinniście zostać aż do zmroku.

– Masz coś do jedzenia? – pyta chłopak. – Nie jedliśmy od wczoraj.

Szukam w domu i wracam z kilkoma gotowymi papkami, bo tylko to można ostatnimi czasy kupić na Ziemi. Dzieciaki drżą i chwijają

się, wdychając mózgotrzepa. Zielonowłosa Lin odchodzi w stronę drzew, by wymiotować.

– Wszystko z nią w porządku? – pytam jednego z chłopaków.

– Taa, Lin zawsze rzyga po pierwszym machu. Chcesz trochę? – Oferuje mi czerwony inhalator, ale odmawiam.

Siedzimy na brzegu stawu, stłoczeni na przewróconym pniu. Lin siedzi obok mnie, więc wbijam słomkę w jej porcję.

– Wszystko okej? – pytam.

– Taa, zawsze mną ciut trzepie, jak wciągam.

– To pewnie nie moja sprawa – mówię – ale czy wy przypadkiem nie powinniście być w szkole?

– Szkołę zamknęli cztery miesiące temu – odpowiada. – Nie miał kto uczyć.

– To co robicie całymi dniami?

Lin wyciera ślinę z policzka i wzrusza ramionami.

– Nie wiem. To, co teraz.

Jeden z chłopców też idzie wymiotować między drzewa.

– A ty? – pyta Lin. – Mieszkasz tu całkiem sam?

Przytakuję.

– To co ty robisz cały dzień? Przesiadujesz z żabami?

– Przez większość czasu po prostu próbuję zmusić ekran ochronny do działania.

– To taka twoja praca czy coś?

– Kiedyś tak. Przez pięćdziesiąt jeden lat byłem inżynierem od ekranów ochronnych. Zaprojektowałem nanofiltry, które utrzymują ekosystemy wolne od toksyn środowiskowych. Ale NRDC zwolniło mnie cztery lata temu.

– Dlaczego? To miejsce jest xin!

Uśmiecham się słabo.

– Bo toksofiltracja to już martwy biznes. Ludzi interesuje tylko budowanie nowego życia, a nie chronienie starego.

Wygląda, jakby zobaczyła mnie po raz pierwszy.

– To jak bardzo stare jest to miejsce, Abner? Te drzewa wyglądają ciutes wiekowo.

– Wiem, że kiedy mój przodek zbudował ten dom czterysta lat temu, to żabi staw już tu był.

Wzdycha.

– I to pieprzone NEU każe ci stąd spadać?

– Wszystkim każe.

Lin wrzuca kamień do stawu. Jakiś tuzin żab ucieka ze skrzekiem.

– Nie rób tak, proszę – mówię spokojnie, dotykając jej ramienia. – Bo sobie pójdą.

– Jak długo jeszcze? – pyta, patrząc na mnie życzliwie. Nie jestem pewny, czy mówi o żabach, czy o moim wysiedleniu.

– Niedługo.

Dzieciaki znowu są głodne. Trzymam kilka trudnych do kupienia wegesteków dla moich wnuków, ale od dawno ich tu nie było. Kiedy piekę steki na ruszcie, pośród drzew unosi się dym, a między gałęziami prześwitują promienie słońca.

Dzieciaki wdychają więcej mózgotrzepa i wyją ze śmiechu. Lin znowu wymiotuje. Gdy są już zmęczone, zauważam w ich zaczerwienionych oczach tę desperację, którą widziałem już u Cordelii, doktora Wu, Marty i innych maruderów. Bycie młodym nie znaczy, że nie osiąga cię żal.

– Przyjechaliście tu aż z Albany tylko po to? – zapytałem Lin.

– Tam nie ma nic prócz wieżowców i pyłu – odpowiedziała. – Żadnych prawdziwych drzew. Słyszeliśmy, że tu jest xin. Masz dzieci, Abner?

Tym pytaniem bierze mnie z zaskoczenia.

– Tak, syna i córkę. I dwoje wnuków. Trochę przypominasz mi moją wnuczkę, Rachael.

Milknie, by to przemyśleć.

– Często tu przychodzą?

– Ostatnio nie.

– Czemu nie? Ja bym przychodziła codziennie.

– Wyprowadzili się – mówię, wskazując na niebo.

Marszczy brwi, a jej ciało zapada się jak stare drzewo.

– My też się wynosimy.

– Na Nową Ziemię?

Odkasłuje.

– Nie-e, tam to tylko bogate dzieciaki. My lecimy na Wal-Mart Toyotę.

– Nie słyszałem o niej.

– Bo i skąd. Jest ciutes wiekowa, jedna z pierwszych orbitalnych. Ale trzeba pójść, gdzie cię poślą, bo jak nie to, no wiesz.

– Wiem – odpowiadam, wpatrując się w odbite w wodzie, odwrócone drzewa.

Noc dociera nad las i żaby zaczynają swe głośnie nawoływania. Ich skrzek zaczyna nas zagłuszać, więc dzieciaki milkną i słuchają. Błyszczące gwiazdy pojawiają się jedna za drugą i nie jestem pewien, czy się nie prze-słyszałem, ale żaby wydają się błagać je raz po raz: „Ratuj, ratuj, *ratuj!*”

Słuchamy przez jakiś czas, aż zaczynają cichnąć.

– Jest późno – mówię. – I daleko od Albany. Może zostaniecie? Mam mnóstwo wolnych łóżek.

Ruszamy więc do środka. Daję im świeżą pościel, nieużywaną od lat, a nocą słyszę jak szurają, pieprzą się i zaśmiewają. Nalewam sobie kolejne szklanki żytniej whiskey, aż tracę przytomność.

Późną nocą słyszę, jak ktoś za drzwiami szlocha, więc niezgrabnie wstaję z łóżka. Na korytarzu siedzi Lin, oczy ma czerwone jak rozżarzone węgle. Spogląda na mnie z dołu.

– Przepraszam – mówi, wycierając łzy. – Nie wiedziałam, że to twój pokój.

– Co tu robisz?

– Nic – odpowiada i wstaje.

– Wszystko okej?

– Po prostu rozmyślałam. Nie znasz nas, a mimo to wpuściłeś nas do własnego domu.

Wzruszam ramionami.

– To miejsce jest stworzone dla gości.

Dziewczyna wpatruje się w ściany.

– Musiało być tu pięknie, gdy było pełno ludzi.

Przytakuję.

– Było.

Lin stoi tam i ponownie przypomina mi moją wnuczkę, której nigdy nie widuję. Chcę ją przytulić i powiedzieć jej, że przyszłość będzie xin, że wszystko się ułoży. Ale jestem zbyt pijany, by kłamać.

– Jest późno, Lin. Idź spać.

Po policzku splywa jej łza. Ona sama przytakuje i odwraca się. Zamykam drzwi, czując, że przegapiłem coś ważnego. Ponowne zaśnięcie zajmuje mi wieczność.

Następnego ranka dzieciaków już nie ma. Dom wygląda, jakby przeszło przez niego tornado. Ale jedna z sypialni została uporządkowana, a na stoliku nocnym czeka na mnie wiadomość. „Żaby są piękne. Ty jesteś piękny. Dziękuję za idealny dzień. Lin.”

Trzymam kartkę w ręce i wpatruję się w puste podwórko za oknem. Już brakuje mi ich śmiechu.

Po raz pierwszy odwiedziłem Nową Ziemię kilka miesięcy przed rozkazem ewakuacji. W roli przewodnika wystąpił mój syn Josef. Zabrał mnie do rezerwatu Ishibuto-Mori, gęstego lasu deszczowego na północnej półkuli. Gigantyczne sekwoje zasadzone kilka lat wcześniej już urosły na setki stóp. Padlinożerne kwiaty zmodyfikowano genetycznie tak, by pachniały jak wata cukrowa, a deszcz pada codziennie dokładnie o drugiej po południu.

Przejrzyste ściany z pleksiglasu przytrzymały nas na bezpiecznym, brukowanym chodniku i prowadziły, niczym Dorotkę do krainy Oz, do Galerii Johna Muira. Był to

ogromny targ, gdzie prawdopodobnie przewidziano każdą możliwą ludzką zachciankę. Jedzenie, ubranie, biżuteria, pub, kino imersyjne, spa. Było tu wszystko, i to w samym środku lasu deszczowego. Holoprzewodnik powitał nas przy wejściu i dokładnie wyjaśnił, jakby przemawiał do dzieci, jak to Stara Ziemia przestała nadawać się do zamieszkania, jak pierwszy dom ludzkości został zniszczony na zawsze, bo Ci Przed Nami nie szanowali natury. Ale korporacja Ishubuto-Mori i wiele innych ciężko pracowały, by Nowa Ziemia uniknęła tego losu.

Razem z synem jedliśmy swoje ogromne hamburgery w ogródku Pfizera McDonalda, gdy Ziemia wzniosła się ponad korony drzew. Zauważyłem, że nikt nawet nie spojrzął w górę. Wróciliśmy do domu przed następnym planowanym deszczem.

Josef mieszkał z rodziną w rozległym apartamencie o wielu oknach, mieszczącym się na dziewięćdziesiątym siódmym piętrze trzystupiętrowej wieży. Mieszkania tak luksusowe jak to, powiedział Josef, wyrastały na całej Nowej Ziemi jak grzyby po deszczu. Poczułem ciepło na sercu, widząc moje wnuki, Rachael i Pima. Ostatni raz widziałem je na żywo kilka lat temu – nie odwiedzały już Ziemi. Tego dnia Pim obchodził swoje dwunaste urodziny.

Mój wnuk zdmuchnął świeczki i wszyscy zjedliśmy tort z papai. Kierowany poleceniami synowej błyszczący, mahoniowy android nalał nam kawy, przyniósł ciastka i wyniósł brudne naczynia. Czułem się jak zamożny biznesmen. Na Ziemi naturalne ziarno było absurdalnie drogie i trudne do zdobycia, ale na Nowej Ziemi występowało tak niezawodnie jak zaplanowany deszcz.

– Nie tylko Pim dziś świętuje – odezwał się Josef między łykami kawy. – Rach, powiedz dziadkowi.

Rozpromieniła się.

– Dostałam pełne stypendium na GE Sinopec!

– GE Sinopec?

– Orbitalnym uniwersytecie!

– To super! – wykrzyknąłem. – Pełne stypendium? Xin!

– W nagrodę postanowiliśmy kupić Rach małą międzyplanetarną rzutkę. Zaskakująco staniały.

– Mogę odwiedzać mamę i tatę w weekendy – oznajmiła Rachael. – I w niedzielę lecieć z powrotem. I jeszcze jest taki manewr, dziadku, Transfer Hohmanna, który przy małym zużyciu paliwa pozwala w kilka godzin dolecieć na Starą Ziemię. Na pewno polecimy tam z Levą, żeby z bliska popatrzeć, jak ją rozbierają.

– Rachael – upomniała ją Esther. – Zapytaj dziadka, czy chce więcej kawy.

– Ma kawę. I czy nie po to kupiłaś androida?

– Rachael, nie bądź niemila!

– Ale mamo, on ma pełny kubek!

– Rachael Kopperfeld!

– Dajcie spokój! – przerwałem im. – Tak, owszem, rozbierają Starą Ziemię. Żaden, pu-dźwa, sekret. Dlaczego przy mnie wszyscy unikają tego tematu?

– Bo za każdym razem, kiedy go poruszamy – zaczął Josef – zaczynasz narzekać, jak to niszczy twój dom.

Wpatrzyłem się we własnego syna.

– To kiedyś był też twój dom, jeśli w ogóle go pamiętasz.

Josef zmarszczył brwi.

– Tato, to było dawno temu. – Machnął ręką w stronę reszty swojego apartamentu. – Teraz *to* jest mój dom i chciałbym w nim przyjemnie spędzić urodziny Pima.

– Dziadku, czy dalej masz ten staw z żabami? – zapytał Pim.

– Tak! Co prawda ciężko było utrzymać toksyny z dala od niego, ale w letnie noce

żaby nadal rechoczą. Pamiętasz, jak wkładałeś je do pudełek, żeby wystraszyć babcię Shosh? Zachichotał.

– A Rachael wymyślała im głupie imiona i udawała, że wychodzi za nie za męż.

– W niektóre noce były strasznie głośne – dodała Rachael z uśmiechem. – Tak bardzo, że następnego ranka aż dzwoniło mi w uszach.

Potrząsnąłem głową i spojrzałem w dół, na talerz z ciastkami.

– Te bidulki nie mają pojęcia, że ich sta- rożytny dom niedługo zostanie zniszczony.

– Nie zniszczony – powiedział Josef. – Rozebrany. To różnica.

– Zginą niezliczone gatunki. Jak inaczej to nazwać?

– Trochę ich poumiera – przyznała Rachael. – Ale geoinżynierowie heroicznie pracują, żeby ocalić wszystkie udokumentowane gatunki.

– Heroicznie? – powtórzyłem. – Rachael, oni pozwalają zgnić kolebce ludzkości.

– Ja też kocham Ziemię, tato – dodał Josef. – Ale powietrze tam jest trujące. Ziemia toksyczna. Spędziłeś całe swoje pudziwne życie, próbując ją oczyścić, i po co? Po to tylko, żebyśmy patrzyli, jak mama powoli umiera od Toksu? – Przerwał i odetchnął głęboko. – Chcę lepszego życia dla moich dzieci, a na twojej Ziemi nie ma co na to liczyć.

Odstawiłem kubek.

– Od kiedy to jest *moja* Ziemia? Kiedyś była *nasza*.

Esther głośno siorbała kawę, dając znać, że nie podoba jej się ta rozmowa.

– Dziadku – wtrąciła Rachael. – Nie chodzi tylko o toksyny. Także o przeludnienie. Na stworzenie Nowej Ziemi zużyliśmy cały materiał z asteroid i Pasa Kuipera. Żeby stworzyć nowe kolonie, potrzebujemy płaszczą Starej Ziemi. A poza tym to przecież naturalne.

– *Naturalne?* – zapytałem, czując, jak brzuch zalewa mi fala gorąca.

– Tak. – Rachael wyprostowała się i spojrziała na swoją matkę, jakby przygotowywała się do tego tygodniami. – W żywych stworzeniach nowe komórki rodzą się ze starych, a potem te stare umierają. Ale życie trwa. Komórki twojego ciała replikowały się już dziesiątki razy. Stara Ziemia się nie kończy, dziadku. Odradza się. Stara komórka daje życie nowej. A kiedy ta stara umrze, jej części zostaną rozdzielone i zrecyklingowane. Tak wygląda życie. Ciało Starej Ziemi zniknie, ale jej esencja będzie żyć dalej.

Patrzyłem na moją rodzinę. Oni wszyscy chętnie wyrzuciliby beczenną Ziemię jak starą, niepotrzebną elektronikę. Zupełnie się z nimi nie zgadzałem.

Trzy dni po wizycie Lin parkuję samochód w centrum Albany. W mglistym deszczu mijam puste wieżowce, przewalające się z wiatrem gruzy i próżniowo zapieczętowane budynki, wypluwające chmury szarego pyłu. Na Livingston Avenue spotykam maruderkę, która przedstawia się jako Helen. Przy nogach drepta jej wyraźnie chory kociak.

– Nie zostało zbyt wiele dzieci – mówi Helen głosem stłumionym przez porysowaną maskę tlenową. – Zielone włosy i techplant w policzku, co? Tak, to na pewno Lin Bar-Martin. Córcia Yeounga. Szlają się z paroma liumangami. Jeśli dobrze pamiętam, jej ojciec brał udział w nanotestach.

– Naukowiec? – pytam.

– Gdzie tam. Testowali *na nim*.

– Och. A gdzie mieszkają?

– Nigdzie.

– Co masz na myśli? Jest bezdomna?

– Jakby się dało. Nie, miałyby gdzie mieszkać. Po prostu jej tu już nie ma.

– A gdzie jest?

– Na Wal-Mart Toyocie. Orbitalnej.

– Znaczy, na dobre?

– Gdzieś ty się uchowal, baichi? Nikt nie wraca na Ziemię.

– A co z jej przyjaciółmi? – Nienawidzę siebie za to, że nie potrafię przypomnieć sobie ich imion. – Są tu gdzieś?

– Od paru dni nie widziałam żadnych dzieciaków. Wyprawili już na Wal-Mart Toyotę wszystkie północne dzielnice miasta. Słyszałam, że jest tam okropnie. Porzucili planetę w połowie budowy, bo wynaleźli lepszy sposób budowania kolonii, używając nanobotów.

– Ale te dzieciaki były u mnie trzy dni temu!

– A dwa dni temu poleciały. Zabrała ich cała flota, jak na paradzie.

I wreszcie wiem, czemu te dzieci pojechały na rowerach i po niebezpiecznych drogach aż do Nowego Paltz. I wiem, skąd wzięła się wyraz oczu Lin, kiedy tamtej nocy płakała pod moimi drzwiami oraz uczucie, że coś przeoczyłem. To był jej ostatni dzień na Ziemi. Chcieli zobaczyć kawałek tej starożytnej planety, zanim opuszczą ją na zawsze.

– Dziękuję – rzucam Helen.

Głaszczę chorego kociaka i opuszczam to puste miasto. Kiedy docieram do domu, robi się już ciemno. Na podjeździe stoi dziwny samochód, a na werandzie siedzi jakaś młoda kobieta. Przez chwilę myślę, że to Lin, ale chwilę później rozpoznaję ciemne włosy mojej wnuczki.

– Cześć, dziadku.

– Rach, co ty tu robisz?

– Wpadłam się przywitać.

Przytulam ją na powitanie.

– Przeleciałaś taką trasę tylko po to? Czemu nie zadzwoniłaś? Przygotowałbym kolację.

– Zdecydowałam się na ostatnią chwilę.

– Świetne cię widzieć! Dobrze wyglądasz, Rach. – Wiklinowy fotel skrzypi, gdy siadam obok niej. – Co tam w szkole?

- Ciężko, ale poza tym xin. - Patrzymy na przerośniętą trawę, a wiatr szepece między drzewami. - Teren wygląda bardzo zdrowo.

- Staram się.

- Pamiętam, jak siedziałam ci na kolanach i opowiadałeś mi najdziwniejsze historie.

- Wziąłbym cię na kolana, ale chyba jesteś już na to za duża.

Uśmiecha się, ale tylko na chwilę.

- Dziadku, NEU potrafi zobaczyć z orbity nawet pchłę. Nie ma, gdzie się schować.

- Nie mam zamiaru się chować. Zostanę dokładnie tu, gdzie jestem.

- Zmuszą cię do wylotu.

Gdzieś za drzewami zafalował nadwyrężony fragment ekranu ochronnego.

- Może nie dam im do tego okazji.

- Dziadku... - Wkłada swoją ciepłą dłoń w moją. - W wielu rzeczach się nie zgadzamy. Obiecuj mi chociaż, że jak przyjdzie

czas, nie zrobisz niczego głupiego.

- Rachael...

- Obiecuj.

Patrząc na nią i widząc dziecko, którym kiedyś była; tę dziewczynkę, która poślubiła żaby i tańczyła pośród słoneczników.

- Przykro mi - mówię. - ale to nie jest twoja Ziemia. Nie zrozumiesz.

- Może rozumiem więcej od ciebie. - Zrywa się na nogi. - No, muszę lecieć.

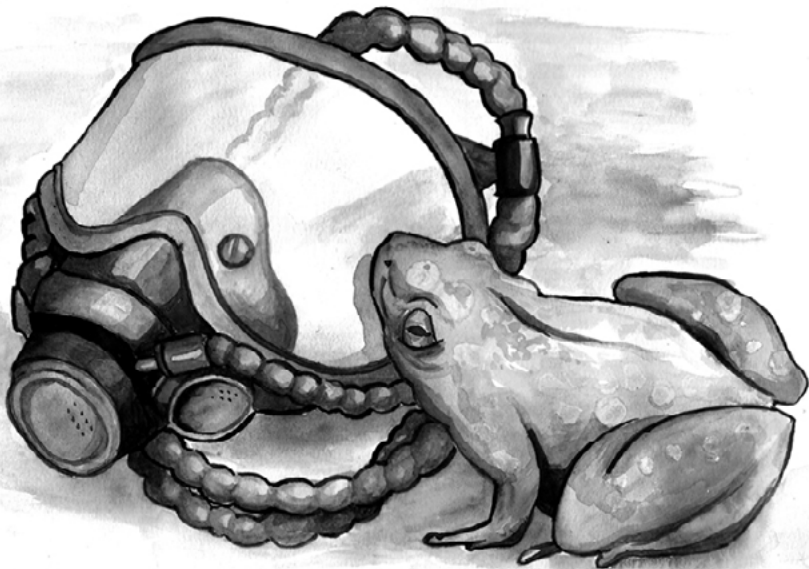
- Tak szybko? Dopiero dotarłaś.

- Rano mam egzamin.

Przytula mnie, ściskając odrobinę za mocno.

- Do widzenia, dziadku. Kocham cię.

Sekundy później jej rzutki wzbijają się już w niebo. Patrząc, jak się oddala, aż staje się kolejną z gwiazd. Z tyłu domu żaby rechoczą głośniejsz niż kiedykolwiek.



Siadam na mokrej trawie pod gwiazdami, tuląc do siebie butelkę żytniej. Wczoraj przetoczył się tędy kolejny huragan, efekt nowego kumpla grawitacyjnego Ziemi. Jeszcze dziesięć lat temu wypalonyby burzę laserem orbitalnym, ale Ziemia nie jest już tego warta. Ten huragan nie otrzymał nawet nazwy.

Burza wymyła pył, a księżyc i Nowa Ziemia ukryły się za horyzontem. Jakże piękne jest nocne niebo! Gwiazdy są tak jasne, że rzucają cienie; ich zarys tak wyraźny, że mógłbym zerwać je z nieba niczym jabłka. Na wschodzie wznosi się anielsko jasny Jowisz, a Droga Mleczna cudownie okala nieboskłon. Gdybym mógł skoczyć w niebo, zapadałbym się w nim po wieczność.

– Ashley – zwracam się do mojego wszczępu. – Puść „Wizyty wnuków, lato dziewięćdziesiątego ósmego”.

Przed oczami przeświecają mi się hologram. Mała Rach siedzi mi na kolanach i chichocze. Ptaki ćwierkają w letnim słońcu. Zapach róż. Delikatny powiew na policzkach, wszystko w ciepłym bezpieczeństwie dobrze działającego ekranu ochronnego.

– Czy możemy znowu usiąść przy słonecznikach? – pyta dużo młodszego mnie pięcioletnia Rach.

Promienie słońca przeświecają przez żółte płatki, kiedy idę za nią między rosnące na polu słoneczniki. Rachael siada na ziemi pod wielkimi kwiatami i mówi:

– Chcę mieszkać z tobą w twoim domu, dziadku. Nie chcę wracać do mojego.

Patrzę, jak patykiem rysuje w ziemi dom.

– Takim jak ten – dodaje.

– Ashley, puść „Sześćdziesiąte urodziny Shoshanny”.

Lata wcześniej Shosh otwiera stare dębowe drzwi naszego domu. Wszyscy krzyczą „Niespodzianka!”. Moja żona też krzyczy i podnosi ręce do twarzy, upuszczając

szklaną misę. Ta rozbija się i wszyscy nerwowo chichoczą. Po ziemistym policzku spływa jej łza szczęścia. Już wtedy było po niej widać oznaki Toksu.

Byłem świetny w usuwaniu najgorszych zanieczyszczeń ze środowiska, ale nawet cała ta wiedza nie wystarczyła, by ochronić przed nimi ciało mojej żony.

– Ty diable – szepcze do mnie, zawstydzona. – Myślałam, że zapomniałeś.

– Nigdy – oznajmiam.

– Niech to. Ta misa była droga.

– Wynagrodzę ci to.

– Och, tak?

Pochylam się, żeby ją pocałować i czuję jej miękkie usta nawet wtedy, kiedy nagranie już się kończy.

– Ashley, puść „Pierwsze kroki Josefa”.

Ten sam dom, dziesiątki lat wcześniej. Shosh, młodsza i zdrowsza, bez oznak Toksu. Mały Josef odważnie staje na nogi, robi dwa chwiejne kroki i upada. Shosh natychmiast publikuje holo w sieci, żeby wszyscy mogli zobaczyć. Podchodzi do mnie z dumą i uśmiecha się.

– Dzieci szybko się uczą. Już jest lepszy w chodzeniu od ciebie.

Moje dawne ja chichocze.

– Ashley, zatrzymaj.

Kolonja Google-Wang zstępuje z góry w moje pole widzenia. Te korporacyjne kolory poznałbym z miliarda kilometrów. Biorę następny łyk żytniej, a potem kładę się na mokrej trawie. Zimna wilgoć moczy mi plecy. W oddali migocze Bank Kolonii Zhong Guo. Choć znajduje się setki mil stąd, to i tak chyba słyszę, jak brutalnie sunie przez kosmos. Siedzę tak, patrząc w gwiazdy, aż pojawia się Nowa Ziemia i psuje mi tę cudowną noc.

Idę w stronę domu, w plastalowym pojemniku w jednej ręce i butelką z resztką żytniej w drugiej. W przedsiönku przelewam

płyn do plastalowego pojemnika, a odór węglowodoru przeżera mi się przez nozdrza.

Małą zapalniczką podpalam namoczoną szmatę. Wrzucam ją do środka domu. Przez chwilę pali się jak świeca, migocząc w sypialni. Cienie tańczą na starych ścianach niczym wspomnienia. Dopada mnie niepokój. Czy naprawdę tego właśnie chcę?

Jest już jednak za późno. Przedśionek wybuchą płomieniami, a ja odskakuję do tyłu. Już po kilku sekundach ogień ryczy głośniejsze, niż żaby byłyby w stanie. Gorąco parzy mi twarz, a dom płonie.

I w ten sposób niszczy dom, który cztery siedemnaście lat temu zbudowała moja prababcia sprzed piętnastu pokoleń.

Ekran ochronny jest wyłączony, więc związające się płomienie ognia strzelają w niebo. Kolumna dymu ciągnie się całe mile, podświetlana luną Nowej Ziemi. Kiedyś coś takiego spowodowałyby uruchomienie się setki botów tłumiących. Teraz jednak, czymże jest pożar, kiedy wszystko i tak niedługo będzie popiołem?

Mój wiekowy dom spala się w całości. Trochę to trwa. Siadam więc przy stawie. Żaby są cicho, może oglądają płomienie razem ze mną. Myślę o Rachael i obietnicy, którą jej złożyłem. Myślę też o Lin.

Kiedy o świcie przybywa policja, po domu zostały tylko zgłiszcza. Powietrze pełne jest sadzy, kiedy uzbrojeni mężczyźni czytają mi rozkaz ewakuacji. Zakuwają mnie w plastikowe kajdanki i wyprowadzają z posesji. Wsadzają do małego samolotu, a młody człowiek siedzący naprzeciw mnie, w pokaźnym policyjnym umundurowaniu, oferuje mi nano przeciw młodościom podczas kosmicznej podróży. Chciałem jeszcze raz spojrzeć na mój teren, kiedy będziemy startować, ale nie ma tu okien. To statek więzienny.

Zapłaciłem sporą grzywnę i dostałem nakaz uczestnictwa w zajęciach „integracyjnych”, po czym mnie wypuszczono. Wyglądało to rutynowo, podejrzewam, że byłem jednym z tysięcy. Josef wynajął mi apartament w jego bloku po jakiejś absurdalnej cenie i razem z Esther zaczęli co wieczór zapraszać mnie na kolację, jakby nic się nie stało. Rachael dzwoni od czasu do czasu, żeby zobaczyć, jak sobie radzę.

Kiedy nie uciekam z zajęć integracyjnych i nie wymyślam kolejnych wymówek, żeby tylko nie przyjść na kolację do Josefa i Esther, spędzam czas na patrzeniu, jak Ziemia rozkrajana jest niczym owoc; jak z jej soczystego wnętrza wyrwane są geometryczne kawalki, dziesiątki tysięcy kilometrów naraz.

Tego wieczoru mój teleskop i pasma danych zwracają się ku północnej półkuli.

– Już czas – ostrzega Ashy.

Podłączając się nielegalnie do satelit przez proxy, mam dostęp do baz danych geoinżynierów w czasie rzeczywistym. Zielone światelko miga dwukrotnie na moim holoekranie. Sygnał od nadzorca. Odzywa się we wszechmandaryńskim, tłumaczonym na ekranie, i mówi:

– EDHL-22, rozpocznij pierwsze cięcie wzdłuż południka, jak tylko będziesz gotowy.

Cisza przez pełną minutę. Następnie oślepiający błysk. Pomarańczowy krąg stopionego światła przesuwają się przez wiele minut na południe, wzdłuż siedemnastego południka i nawet z tej odległości jest tak jasny, że przyprawia mnie o powidoki. Cięcie ustaje, kiedy kalibrują się laserowe żyroskopy. Zostaje podjęte ponownie na linii czterdziestego równoleżnika, tuż pod opuszczonym Nowym Jorkiem.

Laser przez godzinę wykraja wielki prostokąt. Następnie promienie grawitacyjne wyciągają ów olbrzymi fragment. Stopione jądro ziemi kapie do jej środka jak lody. Utrzymywane za pomocą technologii, której

nawet nie próbuję zrozumieć, warstwy Ziemi nie zapadają się w nową przestrzeń, lecz zostają na miejscu. Rozgrzane do białości jądro jest, jak czytałem, sztucznie wychładzane o jedenaście i pół stopnia dziennie.

Zastanawiam się czy ktokolwiek z maruderów, na przykład Cordelia, Marta, doktor Wu albo Helen i jej kociak umknęli przymusowej ewakuacji. Czy powoli ulatując w niebo, myśleli, że lecą na spotkanie z Bogiem?

Przez kilka następnych godzin lasery tną wyrzeczany fragment na setki kawałków.

– Ten – mówi Ashley, podświetlając wskazany punkt w moim polu widzenia.

Kawałek ziemi, który był moim domem, zostaje wyekspediowany do Kolonii Trump-Dominguez. Według bazy danych zostanie wykorzystany jako przeciwwaga, by kolonia mogła pozostać w pożądanym stanie, to znaczy zwrócona w ziemską stronę. Cztery i pół miliarda lat, algi i antylopy, brontozaury i bizony, wełniste mamuty i lodowce, drzewa i dżdżownice i amfibiotyczne żaby. Wszystko to posłuży jako przycisk do papieru, żeby bogacze mogli po przebudzeniu zobaczyć swoją plastikową ziemię.

Tej nocy śnię o żabach, które krzyczą.

Mijają lata. Starej Ziemi już nie ma, zużyto wszystkie jej kawałki.

Dziś siedzę obok Josefa, Esther i Pima w amfiteatrze mieszczącym tysiące ludzi. Rachael właśnie została absolwentką GE Sinopec z licencjatem z Biologii Stosowanej. Siedzimy i słuchamy niekończącej się listy nazwisk. Rozmawiam trochę z Pimem. Obniżył mu się głos, a on sam wygląda już bardziej jak mężczyzna. Jest uprzejmy i stara się wyglądać na zainteresowanego, ale czuję, że dzielą nas całe wszechświaty. Wiem, że ten świat nie jest już mój.

Po ceremonii jemy kolację w drogiej restauracji, a niska grawitacja robi straszne rzeczy z moim żołądkiem. Rachael, ubrana

w swoją absolwencką togę, wpatruje się we mnie przez cały czas trwania posiłku.

– Dziadku – odzywa się wreszcie. – Wybierz się ze mną na przejażdżkę po kolacji. Chciałabym ci coś pokazać.

Jej matka się uśmiecha.

– Za dużo zjadłem. Jestem trochę zmęczony. Może następnym razem?

Josef posyła mi znaczące spojrzenie.

– Tato – mówi, jakby strofował dziecko. W końcu tym właśnie stałem się dla nich wszystkich.

Wzdycham.

– Co chciałaś mi pokazać?

Wychodzimy na zewnątrz i idziemy do jej rzutki. To przerażająco mały statek, a ja wchodzę do niego jak skazaniec na szubienicę. Nigdy nie lubiłem nieważkości. Próbuję nie pokazywać po sobie, że się trzęsę, kiedy opuszczamy GE Sinopec i nurkujemy w stronę Nowej Ziemi.

– Jako pracę dyplomową musieliśmy odtworzyć jakiś ekosystem ze Starej Ziemi – mówi Rachael. – To część bioprojektu, by ocalić tyle życia, ile tylko damy radę. – Oglądam jej twarz w odbitym świetle planety. Moja wnuczka jest piękna. Spod jej podwiniętego rękawa widzę błysk techplantu, którego kategorycznie zabronił jej ojciec. Uśmiecham się.

– Więc wybrałam twój ogródek – mówi.

– Że co proszę?

– A dokładnie jezioro za twoim domem, razem ze wszystkimi żabami.

Rzutka obniża się nad lasem liściastym i opadamy przez dziesiątki mil. Czuję się, jakbym zostawił żołądek w budynku uniwersytetu.

– Nie powiedziałam ci – wyjaśnia – bo wielokrotnie słyszałam już twoje zdanie na temat Nowej Ziemi. – Wstrzymuje oddech, a kiedy nic nie mówię, dodaje jeszcze: – I jeszcze dlatego, że wcale nie byłam pewna, czy mi się uda.

– Czy co się uda? – pytam. Pędzimy nad polami chyłcej się trawy, błotnistymi bagnami i gęstymi lasami.

– Pokażę ci.

Łądujemy na polanie przy gęstwinie. W błocie widać głębokie wgniecenia, pamiętki po wielu poprzednich lądowaniach. Słońce wisi nisko nad horyzontem, jego pomarańczowe światło przedziera się między drzewami. Rachael prowadzi mnie do lasu, krętą ścieżką w dół, zatrzymując się, by mieć pewność, że nadal za nią idę albo żeby ostrzec mnie przed zdradliwą gałęzią czy korzeniem. Powietrze pachnie tutaj mierzwą, ziemią i obfitością życia. A ona uśmiecha się i nagle jest tak, jakby nadal była małym dzieckiem, prowadzącym mnie na pole ze słonecznikami.

I wtedy je słyszę.

Żaby. Tysiące żab, rechoczących dziwnymi głosami. Zbliżamy się do małego jeziora, niewiele różniącego się od tego, które niedługo istniało w moim ogródku.

– Przyleciałam do twojego domu, kiedy wiedziałam, że cię nie będzie. – Rachael patrzy na mnie przeprasząco. – I zebrałam kilka... okazów. To nie są oczywiście te same żaby – dodaje. – Mają geny lepiej dostosowane do tego środowiska. Ale są ich bezpośrednimi genetycznymi potomkami. Technicznie są to prawnuki twoich żab.

Ich rechot rozpala wspomnienia tysięcy letnich nocy.

– Zrobiłam to do szkoły, oczywiście – mówi Rach. – Ale też dla ciebie, dziadku. Pamiętam, jak siedzieliśmy obok twojego jeziora w letnie wieczory i słuchaliśmy żab. Byliśmy wtedy wszyscy razem i to były jedne z najszcześniejszych dni, jakie pamiętam. Chciałam przenieść odrobinę tego tutaj, na Nową Ziemię. Dla ciebie. A teraz, kiedy już ustabilizowałam populację... i zdałam – śmieje się – wreszcie mogę ci to pokazać.

Trwam w osłupieniu.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Powiedz: tak. – Macha ręką, a w moim polu widzenia pojawia się długi tekst dokumentu.

– Co to jest??

– Akt własności – mówi. – Wykorzystałam kilka znajomości w szkole i trochę pomogli mi mama i tata. No dobra, *bardzo* pomogli. Ale kupiłam ten teren. A teraz przekazałam go tobie. Te piętnaście hektarów jest twoje, dziadku. To mój prezent.

Czuję się, jakby ktoś mnie ogłuszył.

– Rach, tu jest pięknie. – Sięgam, by ją przytulić.

Kiedy mnie obejmuje, szepcze mi do ucha, tak, jak robiła to w letnie noce na w randzie, tak dawno temu.

– Pomyślałam, że może chciałbyś zbudować tu dom.

Żaby rechoczą. Ich głosy są inne, odrobinę dziwne. I drzewa wydają się stać nieco zbyt porządnie. To nie jest moja Ziemia. Nigdy nią nie będzie. Ale myślę o zielonowłosej Lin i jej przyjaciołach, o Pimie, Josefie i Esther, i o Rachael – i wyobrażam sobie, jak wszyscy oni przybywają z wizytą.

– Tak – odpowiadam. – Wielki dom, z mnóstwem miejsca dla gości. ■

MATTHEW KRESSSEL – AMERYKANIN, KILKUKROTNIENOMINOWANY DO NEBULI ZA OPOWIADANIA I DO

WORLD FANTASY AWARD ZA REDAKCJĘ.

JEGO TEKSTY UKAZYWAŁY SIĘ W WIELU ANTOLOGIACH I CZASOPISMACH, JAK LIGHTSPEED, IO9.COM, APEX, CLARKESWORLD CZY INTERZONE.

WRAZ Z LEGENDARNĄ REDAKTORKĄ ELLEN DATLOW PROWADZI COMIESIĘCZNE SPOTKANIA Z AUTORAMI, KTÓRZY ODCZYTUJĄ FRAGMENTY SWOJEJ TWÓRCZOŚCI W SŁYNNYM BARZE KGB W NOWYM JORKU.

POZA PRACĄ Z TEKSTEM MATTHEW ZAJMUJE SIĘ PROJEKTOWANIEM STRON INTERNETOWYCH (W TYM CZASOPISM FANTASTYCZNYCH, JAK STRANGE HORIZONS CZY BENEATH CEASELESS SKIES). JEST ZAKOCHANY W ORYGINALNYM „ŁOWCY ANDROIDÓW” I NIE ZAWIÓDŁ SIĘ NA NOWYM.

Brzaskun

Radosław Dąbrowski

Co roku jest trudniej. Słabnie pamięć, szwankują ciała. Jeszcze niedawno było nas piętnaście. W grudniu odeszła Jadzia, miesiąc później Ela. Namęczyłyśmy się jak nigdy wcześniej przy ich powtórnych pogrzebach. Wykradłyśmy ciała z cmentarzy, ułożyłyśmy stosy, pilnowaliśmy ognia podczas ceremonii.

Czterdzieści lat wcześniej trzeba było się mocno nagimnastykować, by wymyślić przekonujące powody do przeprowadzki. Bolały docinki mężów, dzieci, krewnych i znajomych, kpiących z marzeń o życiu w altance. Tylko my wiemy, ile nerwów kosztowała zamiana ogródków działkowych na te położone dookoła ukrytej w labiryncie alejek sadzawki. Pośrodku jej mętnej tafli znajduje się wysepka, rośnie tam samotna brzoza.

Przygotowania do najkrótszej nocy zaczynamy, gdy z południa wracają pierwsze klucze dzikich gęsi. Cztery miesiące to niewiele

czasu. Pilnujemy stawu, lecz wciąż znajdujemy tam śmieci. Wyganiają naszych schorowanych mężczyzn, by wyławiali beczki, pralki, kuchenki i lodówki. Marudzą, ale nakładają wodery i wchodzą do lodowatej wody. Cierpią potem na reumatyczne bóle. Wcieramy im w kolana, kostki i łokcie rozgrzewającą końską maść.

Doroczna narada odbywa się wieczorem przed pierwszym dniem wiosny. Siedząc przy stole, rozważamy, czy czas już wtajemniczyć młodsze kobiety. Ponieważ z wiekiem rośnie podejrzliwość, odrzucamy wszystkie kandydatury. Jesteśmy ostatnimi, które strzegą sekretu, bez nas zostanie zapomniane, ale tak chyba będzie lepiej. Nasze wnuczki, ogłuszone muzyką płynącą ze słuchawek, wpatrzona w ekrany telefonów, nie umieją słuchać. Ogień szumi wewnątrz żelaznego piecyka. Na zewnątrz pada deszcz. Podsumowujemy postęp prac, popędzamy spóźnialskie. Żartujemy, że przypomina to wyprawianie wesela.



Wszystko dla Niego. To Jego spotkali tysiące lat temu pogańscy kapłani. Przeraził ich i zadziwił. Zazdrościli Mu, więc zaczęli Go wyśmiewać. Umniejszali Jego rolę, przedstawiając jako żalosego chochlika. Misjonarze obalający posągi słowiańskich bożków, by na ich miejscu wznosić krzyże, skazali Go na zapomnienie. Tylko my pamiętamy, kim naprawdę jest i co robi.

Jeszcze dwa miesiące. Posiane przy stawie kwiaty pięknie zakwitły. Maserujemy z kijkami, ćwiczymy, jeździmy rowerami. Chcemy schudnąć, wyprostować plecy, odzyskać kondycję. Uważnie oglądamy prognozy pogody. Czekamy niecierpliwie. Czasem wstawiamy nad ranem, przypominawszy sobie o przeocznym detalu i rażno zabieramy się do pracy.

Pachnie bez. Obficie kwitnące krzewy wyglądają w ciepłym półmroku niczym eksplozje fajerwerków. Słowiki przekrzykują długie, nocne psów rozmowy. Kragły, pomarańczowy księżyc wspina się ponad korony drzew. Wieczorna bryza szeleści listkami. Odległe światła miasta migocą w rytm cykania świerszczy. Można głęboko odetchnąć, uśmiech rozjaśnia twarze. Mężowie, dzieci i wnuki jak co roku są gdzie indziej. Myślą, że to taki rodzinny zwyczaj. Może to Jego sprawka, ale w tę noc zawsze jesteśmy na działkach same.

Podobnie jak w przypadku pogrzebowych stosów lub narady przed nadejściem wiosny, robimy to samo, co nasze zmarłe poprzedniczki. Rozpalamy ognisko, rozkładamy na trawie obrusy. Przynosimy potrawy, ale nie te, które nam najlepiej wychodzą. Jemy i pijemy wyłącznie to, co nam najbardziej smakuje. Starannie uczesane, umalowane, z pięknie zrobionymi paznokciami, ozdobione wiankami, odziane w najładniejszą,

koronkową bieliznę, odkryte białymi szlafrokami, uczujemy przy stawie. Śmiejemy się, podśpiewujemy razem z radiem. Tematem numer jeden jest, jak zawsze, On. Rumienimy się, oczy nam błyszczą.

Wznosimy toasty na cześć Jagi, od której wszystko się zaczęło. To ona zaszła na wysepce brzozę zaraz po przyjeździe z Kresów. Uparcie nazywała Go Świtoniem, a nie Brzaskunem. Słyszając to imię, pluła za siebie, przykładała palec do ust, nakazując, byśmy milczały. Opowiadała o starych kobietach z czasów swojego dzieciństwa. Twierdziły, że Świtoń przynosi kobietom lubieżne sny i odpowiada za poranne wzwody u mężczyzn.

Nawet po przeszło czterdziestu latach wajemniczenia trudno jest przewyciężyć wstyd. Zdejmujemy szlafroki, wchodzimy do wody i znów nie wierzymy własnym oczom. Pomarszczone, obwisłe ciała nagle młodnieją. Oglądamy gładką skórę, gładzimy dłońmi płaskie brzuchy, jędrne uda, piersi, pośladki. Znika ból, smutek, żal. Ośmielone wypitym alkoholem oceniamy nawzajem swój wygląd. Ochlapujemy się wodą. Chichoczymy, krew żywiej krąży. Uśmiechnięte podchodzimy do siebie bliżej. Zachłannie wykorzystujemy każdą chwilę. Pozwalamy biodrom falować, by ukoić szalającą we krwi burzę.

Oto jest! Zwabiony naszymi igraszkami wylania się zza brzozy. Nagi, muskularny, brodaty, pozbawiony oczu. Tańczy dla nas. Ma potężny wzwód, napręża mięśnie, wykrzywia twarz w grymasie nadludzkiego wysiłku. Każdy Jego ruch to walka ze złem, żerującym pod osłoną nocy. Chwyta je zakrzywionymi niczym szpony palcami, dusi, rozszarpuje, odpycha. Wchodzi do wody i przyzywa nas w szeroko otwarte ramiona. Taka jest cena za ofiarowaną na moment

młodość. Dyszemy, jęczymy. Czerń nocy zaczyna topnieć. Brzaskun unosi głowę, drży i nieruchomieje. Jego wskazujący palec celuje w niebo. Wschodzi słońce. Czujemy niewysłowioną ulgę, wielki spokój. Przymykamy powieki, a potem już Go nie ma. Znowu wygrał.

Wstydliwie zasłaniamy szlafrokami błyskawicznie starzejące się ciała. Przymykając do altanek, pochylamy głowy. Ukradkiem ocieramy łzy, same nie wiemy, czy to ze szczęścia czy smutku. Za rok znów wejdziemy po północy do stawu. Przywołamy

Brzaskuna, by złożyć Mu ofiarę z siebie samych. Tylko On, ślepiec stale obcujący z ciemnością, znający jej sztuczki, może nas obronić. Ktokolwiek zobaczy, ten zrozumie. Przypomni sobie zaklętą w Jego tańcu, starszą niż język, najprostszą, najważniejszą historię. ■

RADOSŁAW DĄBROWSKI – PSYCHOGEOGRAF
NADUŻYWAJĄCY LITERY „B” I POPKULTURY. JEGO
OPOWIADANIA ZNALEŻĆ MOŻNA W ANTOLOGIACH, M.IN.
„OSTATNI DZIEŃ PARY II” ORAZ NA ŁAMACH PISM
PUBLIKUJĄCYCH FANTASTYKĘ I GROZĘ. PREZENTOWANE
U NAS OPOWIADANIE POCHODZI Z KONKURSU
SŁOWIAŃSKIEGO, W KTÓRYM OTRZYMAŁO WYRÓŻNIENIE.

PARTNERZY

Nie czytasz?
Nie idę z Tobą
do łóżka!

Ecce Homo

Leszek Bigos

1

- Ukrzyżuj! Ukrzyżuj go!
- Na krzyż z nim!
- Precz!

Poncjusz Piłat powiódł wzrokiem po zgromadzonych na rozległym dziedzińcu przed Pretorium. Brodate twarze spalone słońcem, napięte i wykrzywione w karykaturalnych skurczach nienawiści. Usta porozciągane do granic w chrypliwych krzykach. Oczy, w których mógł odczytać wyrok, jaki za chwilę miał wydać.

Fanatyczna energia kryła się pod jeziorem żółtych i brązowych płaszczy, których rogi zdobiły frędzle, świadczące o pobożności i cnocie. Ci z najdłuższymi frędzlami krzyczeli najgłośniej i podburzali tłum. Było już po południu, lecz pod chroniącymi głowy ludzi płótnami *kufiji* panowała taka temperatura, jakby słońce w zenicie rozpalało kamienistą Pustynię Judejską. Piłata otaczała ślepa żądza mordu i zbiorowe szaleństwo skąpane w kurzu i zapachu ludzkiego łoju.

„Dlaczego faryzeusze musieli przyprowadzić mi tego przybędę akurat dziś, w przeddzień Szabatu? Nie chcieli skalać się, pokrwawić sobie frędzli? Mam przybić go do drzewa, by oni mogli jutro z uśmiechem nałożyć świeży *tales*, odmówić osiemnaście błogosławieństw i wznosić do nieba czyste ręce?”

Plecy Poncjusza zeszywniały już dawno, a kostniejący lęk z wolna piał się w górę. Namiestnik oddychał płytko, wyschnięte gardło zdawało się samo zaciskać pod naporem nie-widzialnej siły.

- Którego z tych dwóch chcecie, żebym wam uwolnił?

- Barabasz! - krzyczeli Żydzi. - Uwolnij nam Barabasz!

Piłat obejrzał się na więźniów. Jezus w purpurowym płaszczu i koronie z ciernia wyglądał na pogodzonego z losem. Po opuchliznach i siniakach na jego twarzy spływały strugi krwi. Patrzył na tłum wzrokiem pełnym współczucia, jakby to nad ich głowami wisiał wyrok śmierci. Piłat miał ochotę podejść, strzelić go w twarz i wrzasnąć: „opamiętaj się wreszcie!”

Barabasz z kolei stał jak wryty, jakby bał się ruszyć, żeby to, co widział, nie przyszło jak sen. Widać było jednak, że rozpierała go energia: miał ochotę pić, tańczyć, krzyczeć! Tańczyły tylko jego sprytnie oczy: żyłaste ciało, które przyjęło swoją porcję razów podczas przesłuchania, czekało cierpliwie.

- Cóż więc mam uczynić z Jezusem, którego nazywają Mesjaszem?

- Na krzyż z nim! Na krzyż!

Fala ogłuszających wrzasków spiętrzyła się i Piłata zdjął lęk, że przygniecie go,

wydusi powietrze z płuc już na zawsze. Z trudem wziął głęboki oddech jakby na przekór, na wszelki wypadek, aby choć trochę opóźnić moment, kiedy strach przed gniewem tłuszczy wykwitnie w końcu na jego twarzy.

– Cóż on złego uczynił? Nie znalazłem w nim nic zasługującego na śmierć.

– Ukrzyżuj!

– Na krzyż!

– Czyż króla waszego mam ukrzyżować? – spytał Poncjusz.

– Poza Cezarem nie mamy króla – odpowiedział któryś z kapłanów.

Piłat wspomniiał na słowa, które padły wcześniej: „Jeżeli Go uwolnisz, nie jesteś przyjacielem Cezara. Każdy, kto się czyni królem, sprzeciwia się Cezarowi”. Pomyślał: „Czy warto stawać w obronie człowieka, który sam wydaje się nie przejmować swoim losem?”

Spojrzał jeszcze raz na Jezusa. Ten zwrócił ku niemu twarz, a jego oczy mówiły: „czyń swoją powinność”. Piłat zacisnął zęby. Obrócił się i skinął ręką na służkę, która przyniosła misę pełną wody. Namiestnik sięgnął do niej, aby umyć ręce i uwolnić się od odpowiedzialności, kiedy nagle...

Nie.

Nie tym razem.

Nie ugnę się przed nimi.

Odesłał służkę ruchem ręki. Zgromadzeni w pobliżu faryzeusze i saduceusze wstrzymali oddechy w niedowierzaniu. Widząc ich reakcję, Piłat nabrał pewności siebie, a jego twarz stężała. Wystąpił do przodu, uniósł ręce i trzymał je, dopóki tłum nie umilkł, po czym przemówił donośnym głosem:

– Nie znajduję żadnej winy u Jezusa z Nazaretu. Od teraz jest wolnym człowiekiem i niech nie spotka go żadna krzywda. Com powiedział, powiedziałem.

Cisza na placu była tak przejmująca, że można było usłyszeć zgrzyt sandałów Piłata

o marmurową posadzkę, gdy odwracał się w stronę Pretorium. Po chwili tłum eksplodował, a szpaler legionistów z tarczami i włóczniami z trudem odgradzał go od schodów. Gardłowe wrzaski i złorzeczenia atakowały uszy Piłata, lecz nie robiły już na nim żadnego wrażenia.

– Do lochu z nim. – Wskazał na Barabasa, po czym przeniósł wzrok na Nazarejczyka. – Zdejmijcie z niego te przekłete ciernie, obmyćcie go i przyprowadźcie do mojej komnaty.

Twarz Chrystusa zamarła gdzieś pomiędzy niedowierzaniem, ulgą i lękiem. Kiedy Piłat zniknął w podcieniach Pretorium, Jezus przylpnął sobie drżenie swojego ciała, skomlący płacz i modlitwy, które zanosił do Ojca w Ogrodzie Oliwnym, myśląc, że teraz wie, co oznacza przemożny ludzki strach. Jednak nie. Nigdy w życiu nie bał się tak bardzo jak teraz, patrząc na wrzącą z nienawiści tłuszcze.

2

Straż powiodła Jezusa do lochu, gdzie rozebrał się do naga, po czym wylali na niego trzy cebry wody i rzucili stary strzęp lnianej tkaniny do wytarcia. Następnie dali mu jego własne zakrwawione szaty i zaprowadzili do Piłata.

Sala *triclinium* była przestronna, ze ścianami z rzeźbionych kamiennych bloków, gładką marmurową posadzką i wieloma *klinai*, które stały puste. Namiestnik leżał na lewym boku na jednej z nich, podpierając głowę, a w prawej dłoni trzymał puchar, który właśnie napelniała bladokóra niewolnica. Na niskim stoliku stał półmisek pełen pasów pieczonej jagnięciny zawijanej z kozim serem oraz obrane ćwiartki pomarańczy i kandyzowane daktyle bez pestek.

– Jesteś głodny? Król żydowski też musi coś jeść – głos Rzymianina odbijał się od pustki w pomieszczeniu i powracał.

Jezus nic nie odpowiedział. Piłat wzruszył ramionami i odprawił dziewczynę. Zostali sami.

– Intrygujesz mnie, Galilejczyku. Sam fakt, że te faryzejskie żmije z taką zapiekłością pragnęły cię zgładzić, był dla mnie wystarczającym dowodem twojej niewinności. By wyjść tak, jak przyszedłeś, wystarczyły dwa słowa z twoich ust: „jestem niewinny”. Zamiast tego, śmiałeś prowokować mnie. „Nie miałbyś żadnej władzy nade mną”... – Piłat pokiwał głową z niedowierzaniem. – Wiedziałeś dobrze, czym grozi rzucanie takich słów w twarz namiestnika rzymskiego na oczach całego dworu.

Wrzucił sobie do ust daktyla i zapytał, przezuwając:

– Dlaczego chciałeś umrzeć?

Jezus nadal milczał.

Twarz Piłata zasnuła się cieniem. Wstał i zbliżając się do Jezusa, mówił:

– Donoszono mi o znakach, które czynisz. Ślepym wzrok dajesz, oczyszczasz tředowatych, wypędzasz złe duchy. Popatrz mi w oczy. – Staął twarz w twarz z Nazarejczykiem. – Moja żona obudziła się wczoraj w nocy na wpół żywa ze strachu. Śniła straszne sny z twoim udziałem, choć nie widziała cię wcześniej na oczy. Ostrzegala mnie przed tobą. Czy to ty zesłałeś na nią te koszmary, abym cię skazał?

Jezus nic nie odpowiedział.

– Zaczął się szabat, żaden Żyd nie powinien podnieść na ciebie ręki. Mimo to, dla pewności, dam ci eskortę do bram miasta. Przejdiesz przez nie po raz ostatni w życiu.

Na twarz Jezusa wstąpiło zaskoczenie. Napisane było przecież, że Syn Człowieczy nie może zginąć poza Jerozolimą.

– Będzie, jak rzekłeś.

Piłat skrzywił się w pogardzie.

– Precz.

3

Było już po zmroku. Za bramą Jerozolimy czekali dwaj uczniowie, którzy wcześniej z napięciem obserwowali proces na dziedzińcu Pretorium.

– Rabbi, uchodźmy stąd czym prędzej! – gorączkował się Jan, którego młodzieńczą brodę można byłoby ogolić drewnianą łyżką. – Całe miasto podburzone przeciw tobie! Po szabacie będą szukać samosądu!

– Mamy więc cały dzień, prawda? – odparł Jezus z uśmiechem. – Przestańcie się tropić, jakby wam wszystkie ryby na straganie skisły.

– Panie, wkrótce faryzeusze zatrują swoim jadem całą Judeę – dodał Piotr z troską. – Udajmy się do Betanii, tam będą czekać na nas inni uczniowie. Rozmawiałem z Łazarzem, Martą i Marią, udzielił nam schronienia. Stamtąd możemy udać się do Galilei lub Cezarei, tam poczekamy, aż gniew ludu ucichnie.

– Dziś gniew, jutro płacz. Zamiast się bać, lepiej ich pożałujcie, bo przypieczętownowali swój los. Pogańskie stopy zdepczą świątynię Jeruzalem, przewrócą każdy kamień i splugawią każde łono. Ci, co dzisiaj pokazali kamienne serca, jutro będą kamienie jeść.

To powiedziawszy, zdjął sandały i strząsnął z nich kurz w kierunku miasta. Uczniowie tylko raz widzieli swojego mistrza w gniewie: gdy wypędzał kupców właśnie ze świątyni w Jerozolimie. Wówczas targała nim pasja. Teraz jego prawdziwa twarz kryła się za maską obojętności, jak wówczas, gdy dogorywa twój wierny pies i musisz go dobić, a nie chcesz okazać słabości na oczach żony i dzieci.

– Chodźmy – powiedział Chrystus.

Szli w całkowitych ciemnościach, zdani na gwiazdy. Betania była oddalona o piętnaście stadiów na północny wschód od Jeruzalem. Po kilku godzinach marszu, w środku nocy, zapukali do drzwi Łazarza.

Gdy weszli do środka, Maria i Marta z płaczem przypadły Jezusowi do stóp. W izbie byli też: Łazarz, bracia Piotra i Jana – Andrzej i Jakub, Filip z Betsaidy, Tomasz, Mateusz

i Szymon Kananejczyk. Wszyscy bardzo się ucieszyli na widok mistrza, każdy chciał go objąć, dotknąć, by przekonać się, że to nie sen. Znać było po nich, jak bardzo byli zdenerwowani. Jezus wejrzał na swoich uczniów i oblicze mu posmutniało.

– Czekamy jeszcze na... – zaczął Jakub zwany Większym, brat Jana.

– Nie czekamy. Bartłomiej, Juda Tadeusz i Jakub, syn Alfeusza, nie wytrzymali tej próby – przerwał mu Jezus. – Nie smućcie się jednak. Nieważne, jak mocno będą potrząsać sitem: przez oka wypadnie tylko żwir niegodny tego, by na nim budować. Ostaną się prawdziwe skały.

Spojrzał na Piotra, którego ogarnął wstyd. Wszyscy wiedzieli już bowiem, co wydarzyło się poprzedniej nocy, nim kur zapiał. Piotr otworzył usta, by zapewnić, że nigdy więcej... lecz zaraz je zamknął.

– Nauczycielu... – zagadnął Tomasz, który najszybciej otrząsnął się z uniesienia, a potem pogrążył w zagadkowej melancholii – gdy zostałeś pojmany, gdy zabrali cię przed oblicze arcykapłana, Heroda Antypasa, Piłata – westchnął – zdążyliśmy pogodzić się już z twoją śmiercią. Proroctwa i przepowiednie, które nam objawiłeś, o swoim losie, o śmierci za grzechy, powstaniu z martwych i zbawieniu świata, nabrały sensu. Byliśmy zagubieni jak szczenięta w lesie, ale kiedy dotarło do nas, że twoja ofiara jest prawdziwa, wszystkie słowa twojej nauki ułożyły się w całość! Zrozumieliśmy, uwierzyliśmy! Teraz, gdy powróciłeś... Wiesz, że nikt nie cieszy się tak jak my, Rabbi, ale nie wiemy, co myśleć. Po co było to wszystko? Co teraz?

Jezus podszedł do Tomasza i położył mu rękę na ramieniu.

– Czego ode mnie oczekujesz, Tomaszu? Ran, w które mógłbyś włożyć ręce? Nie martw się, doczekasz jeszcze swojej ofiary. Prędejsz, niż byś chciał.

Zwrócił się do wszystkich:

– Co ja widzę? Macie miny, jakby wam jaki skazaniec z krzyża uciekł! – Izbę wypełniły stłumione, nieśmiałe śmiechy. – Cieszymy się chwilą, póki trwa. Łazarzu, pozwól nam się wzmocnić i wypocząć, czeka nas długa droga. Z woli Ojca, moje posłannictwo jeszcze nie skończone. Przygotuj też jedno dodatkowe nakrycie i miejsce do spania.

Łazarz zdziwił się, lecz nic nie powiedział. Maria i Marta usługiwały Jezusowi i uczniom. Wszyscy w spokoju jedli pieczoną jagnięcinę i chleb, a po wieczery rozmawiali tak, jakby wczorajszych wydarzeń w ogóle nie było. Śmiali się, żartowali, aż w końcu dopadło ich znużenie. Sposobili się na spoczynek, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Trwoga wypełniła ich serca, lecz Jezus uniósł uspokajająco rękę:

– Przyjacieł.

Łazarz otworzył drzwi: stał w nich faryzeusz Nikodem, cały w pyle drogi, z widoczną zadyszka. Zaskoczony Łazarz zaprosił go do środka, Marta podała jedzenie i wino. Uczniowie pozwolili mu zjeść, lecz zgromadzili się wokół niego wyraźnie zaniepokojeni. Nikodem posilił się, po czym westchnął głęboko.

– Po wyroku Piłata Kajfasz zwołał nadzwyczajne zebranie Sanhedrynu. Nie było to trudne, gdyż większość członków przebywała w Jerozolimie. Oglądanie twojego ukrzyżowania miało być dla nich prawdziwym świętem. Nie muszę chyba mówić, jak dalece byli niezadowoleni.

Uczniowie spojrzeli po sobie, a Nikodem kontynuował:

– Przybywam prosto z obrad. Sanhedryn nałożył *szam-tę* na ciebie, panie, a także na twoich uczniów i na wszystkich, którzy wam sprzyjają. Ktokolwiek uwierzy w twoje nauki lub choćby udzieli wam schronienia, zostaje bezwarunkowo usunięty z synagogi i winien jest śmierci jako heretyk.

– Jak to możliwe? Nie boją się reakcji ludu? – wściekł się Piotr.

– Już nie – odparł Nikodem. – Sympatia tłumu złudna jest jak przychylność jawnochrześcijan. Faryzeuszom udało się rozpętać żądzę krwi, która nie została zaspokojona, przeto łatwo było wmówić ludziom, że uniewinnienie ciebie, Rabbi, to niesprawiedliwość, a do tego gwałt na tradycji. W końcu Piłat nie uwolnił Barabasa, czyli sprzeciwił się woli ludu podczas święta. Kiedy tu siedzimy, z ust do ust płynnie pogłoska, że jesteś, panie, stronnikiem Rzymu, poplecznikiem znieprawionych okupantów, przysłałym, by siac ferment i podzielić cały zbór żydowski, by łatwiej było im go kontrolować. Taką wykładnię będą głosić faryzeusze w każdej synagodze, od Beer-Szeby po Antiochię.

Uczniowie pobledli, a ich oczy uciekły w stronę Chrystusa.

– Nieważne, jak mocno będą potrząsać sitem... – wspomniał Jezus, patrząc na Tomasa. – Dziękuję za nowiny, Nikodemie.

– Rabbi, ja... ja także głosowałem za *szam-tą*. Mój głos i tak nic by nie zmienił, a nie chciałem się zdradzić jako twój stronnik, by móc bez podejrzeń przyjechać i cię ostrzec.

– Wiem. Zawsze będziesz mi przyjacielem i czeka na ciebie miejsce w domu mego Ojca.

Nikodem nie odpowiedział, tylko uklonił się, opuszczając wzrok.

– Kładźcie się, trzeba nabrać sił. Wyruszamy przed świtem – powiedział Jezus.

Nikt, poza nim, nie zmrużył tej nocy oka.

4

Jezus z uczniami opuścił rano miasto i zaprowadził ich w góry, gdzie nie rosło nic poza rachitycznymi, kolczastymi krzewami. Uderzył laską w skałę i natychmiast trysnęła z niej woda.

– Poczekajcie tu na mnie. Ja udam się na szczyt, aby się modlić.

– Nauczycielu, a co będziemy jeść? – spytał Filip.

– Wiara niech będzie waszym pokarmem – odpowiedział zagadkowo Chrystus i odszedł.

Uczniowie pozostali sami na przełęcz. Po chwili poszli nazbierać chrustu, każdy w swoją stronę, aby było z czego rozpalić ognisko na noc. Pod wieczór ich puste brzuchy dały o sobie znać.

– Wiara nie jest tak sycąca, jak myślałem – rzekł Tomasz, strzyknąwszy śliną w ognisko.

– Nie bluźnij – napomniał go Piotr. – Jeszcze wątpisz? Po tym wszystkim, co widziałeś?

– Po prostu nie podoba mi się myśl, że gdziekolwiek pójdziemy, możemy znaleźć śmierć.

– Lepiej nam umrzeć z nim, niż żyć bez niego – wtrącił Jan gorliwie.

– Młody jesteś i głupi – przerwał mu Jakub. – Zostawiliśmy za sobą całe życie, a przychodzi nam szczeznąć samotnie w górach – dodał, grzebiąc patykiem w ogniu.

– Czego aż tak ci brakuje, bracie? Łatania sieci? Oprawiania ryb? – odparł z wyrzutem Jan.

Rozgorzała kłótnia, którą przerwał... odgłos beczenia. Apostołowie z zaskoczeniem spostrzegli jednorocznego kozioroźca, stojącego na krawędzi kręgu światła, które rzucało ognisko. Koźlą w milczeniu weszło między uczniów. Andrzej bez namysłu wyjął nóż, podciął koźlęciu gardło i podstawił pod nie naczynie, do którego spływała krew. Uczniowie oprawili zwierzę, upiekli je na ogniu i najedli się do syta.

Nikt się już tego wieczora nie odezwał. Milczenie zgęstniało tak nieznośnie, że czym prędzej udali się na spoczynek. Przez następne dni patrzyli na siebie podejrzliwie, czasem oddalali się dwójkami, by szeptać w ukryciu. Przeważnie jednak chodzili po

chrust samotnie i tak też spędzali czas. Jedynie, co łączyło ich, to spotkania przy strumieniu bijącym ze skały, gdzie pili i kąpali się, oraz wieczory, kiedy o tej samej porze przychodziło do nich koźle, które jedli. I tak przez tydzień.

Ósmego dnia rano Jezus zszedł z góry i stanął między śpiącymi jeszcze apostołami. Obudzili się i spostrzegli jego smutne oczy i zobojętniałą twarz.

– Idziemy do Kafarnaum – powiedział i ruszył, nie czekając. Uczniowie w pośpiechu zwinęli obozowisko i poszli za nim.

5

Szli na północ doliną Jordanu, unikając większych miast. Jezus nauczał w wioskach rybackich Samarii, nie zważając na ich pogaństwo.

– Czemu szemracie? – pytał Jezus uczniów. – Co waszym zdaniem jest milsze Bogu: odnaleźć jedną zbłąkaną owcę z własnego stada, czy pozyskać dziesięć nowych owiec, by dalej się mnożyły na jego chwałę? Przez swoją próżność i ślepotę, stracili Żydzi wysokie miejsce przy stole w Królestwie

Niebieskim. Teraz każdy, kto zechce oddawać cześć Panu, może dostąpić wiecznej nagrody. Ile razy wam powtarzałem, że ostatni będą pierwszymi?

Żaden z uczniów nie odpowiedział.

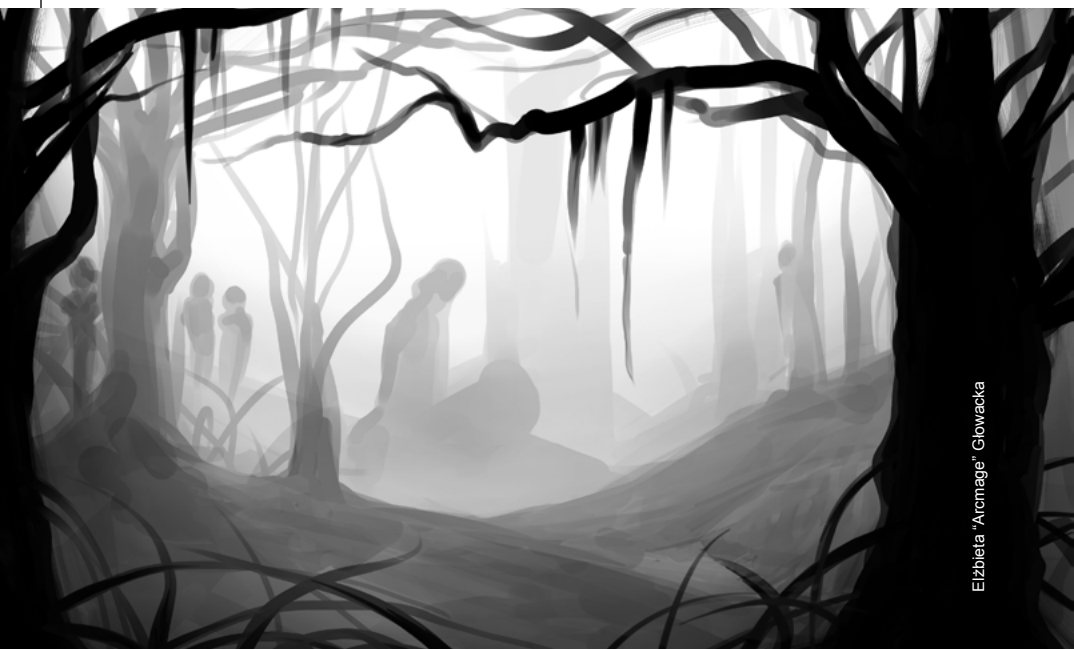
Dotarli w końcu do Galilei. Odbili na zachód i udali się w stronę Nazaretu. Wieść dotarła tam z wyprzedzeniem, toteż Maria, matka Jezusa, wybiegła mu na spotkanie. Upadła synowi do stóp i zapłakała gorzko.

– W myślach pochowałam ja ciebie już kilka razy. Błagam, nie wchodź do miasta, faryzeusze mówią o tobie straszliwe rzeczy w synagogach, ludzie na ulicach złorzeczą.

– Jeszcze nie czas na mnie. Nie tutaj i nie teraz. Zaufaj.

– Błagam cię, dwa tygodnie temu tłum ukamienował Judę, ciotecznego brata twego, tylko przez to, że był z tobą spowinowacony. Na mnie też nastawali! Nie idź! – Objęła jego nogi i nie chciała puścić. Jezus podniósł ją i spojrzał wymownie w oczy. Niechętnie odsunęła się i weszła do miasta.

Żydzi stawali na ich widok i wołali do Marii:



– Nie masz wstydu, by wprowadzać między nas tego zdrajcę?

– Zapomnieliście już, jak wzrastał z wami i dzielił codzienne trudy? Winniście witać go jak dawno niewidzianego krewnego! – odpowiadała. Stopniowo za nimi utworzył się spory tłum, który Jezus prowadził prosto do synagogi. Gdy doszli do wrót, wejście zastąpiła im grupa mężczyzn, którym przewodził szeregowy kapłan – *kohen*, w wysokim turbanie i długim płaszczu z niebieskiej wełny, ale bez *choszenu* – rytualnego napierśnika.

– Nie masz wstępu do środka, synu Józefa. Czyżbyś nie wiedział, że Sanhedryn nałożył na ciebie *szam-tę*? Odwróć się i wracaj, skąd przyszedłeś, inaczej wszyscy popadnie-my w niełaskę przez ciebie.

– Co jest napisane na diademe arcykapłana? – zapytał Chrystus.

– „Poświęcony dla Jahwe” – odparł *kohen*.

– Cóż więc wart jest nakaz Sanhedrynu? Czy owca może podnieść rękę na swego pasterza?

– Zbluźnił! – *Kohen* rozdarł swoje szaty, podniosła się wrzawa. Uczniowie przestraszyli się, gdy wokół nich zacieśnił się pierścien wściekłych ludzi. Jezus, cały czas stojąc przodem do wrót, przemówił tak, że mimo hałasu usłyszał go każdy, jakby stał obok i mówił prosto do ucha.

– Synagoga bez Boga nie różni się niczym od zagrody dla świń. Lepiej niech posłuży jako budulec na schronienie dla ludzi i zwierząt, jeżeli nie ma w niej miejsca dla Syna Człowieczego.

Powiedziawszy to, odwrócił się, a powietrze przeszył wielki huk i ziemia zatrzęsa się. Ściany synagogi pękły na pół. Potem nastąpiło kolejne tąpnięcie, potem znów i znów, aż synagoga zapadła się w sobie i zawałiła tak, że pozostała po niej wielka góra gruzu. Tłum przeraził się i rozstał, a Jezus z uczniami przeszli między nimi i udali się z powrotem

w kierunku bramy miasta. Gdy wyszli, Jezus zobaczył, że towarzyszy im Maria.

– Co tu robisz, matko?

– A dokąd mam pójść? Dla mnie tam już nie ma życia.

Jezus skinął głową ze zrozumieniem. Udali się w kierunku Kafarnaum.

6

Gdy zbliżali się, Jezus przywołał swoich uczniów. Znali oni miasto, gdyż niemal wszyscy wychowali się nad Jeziorem Genesaret i często przyjeżdżali do Kafarnaum na targ rybny.

– Wejdźcie do miasta i znajdźcie dom rzymskiego setnika, któremu swego czasu uzdrowiłem sługę.

Poszli więc, a Jezus pozostał sam na sam z Marią. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Dom setnika był położony na obrzeżach miasta i wyglądał bardzo okazale jak na rangę oficera. Przybytek był niski, ale rozległy, otoczony murem, urządzony na modłę rzymską, z przyległymi ogrodami, w których rosły drzewka pomarańczowe i figowce, a także przyszyżone krzewy róż. Gdy straża doniosły setnikowi o grupie Żydów proszących o widzenie, ten bardzo się zdziwił.

– Witaj, panie – powiedział Piotr. – Nasz Nauczyciel przysłał nas, abyśmy wywieździeli się o zdrowie twego sługi.

Setnik zrozumiał. Zaprosił uczniów do ogrodu, usiedli przy małej fontannie.

– Od tamtej pory nie miał nawet przeziębienia – odpowiedział uczniom. Setnik musiał wrócić do domu niedawno, wciąż bowiem miał na sobie mundur, a pod pachą trzymał swój hełm z pióropuszem.

– Nasz Nauczyciel prosi cię o przysługę, panie. Powiedział nam bowiem, że takiej wiary jak u ciebie nie widział nawet w Izraelu.

Setnik wyprostował się, a życzliwość znikła z jego twarzy.

– Jutro nasz Nauczyciel chciałby wejść do Kafarnaum i nauczać w synagodze. Nie chciałby jednak, aby z jego powodu tłum się wzburzył się. Prosi więc, abyś przydzielił część swoich legionistów do ochrony świątyni.

Setnik zaszepcił się, widać było, że toczy wewnętrzną walkę. W końcu powiedział:

– Wieści roznoszą się szybciej, niż myślicie. Ludzie szemrają, wiedzą, co się stało w Nazarecie. Dlatego cieszę się, że wasz Nauczyciel wysłał was przodem. Mam swoich szpiegów tu i ówdzie i wiem bez żadnych wątpliwości, że kiedy tylko wasz Nauczyciel się pojawi, Żydzi go ukamienują bez procesu.

Uczniowie spojrzeli po sobie z przerażeniem.

– Kocham waszego Nauczyciela, zawsze będę jego dłużnikiem, ale przede wszystkim muszę pilnować porządku w mieście. Dlatego nie mogę wyrazić zgody na to, by się tu pojawił – stwierdził z żalem setnik. – Obawiam się, że podobnie jest już w całej Galilei. Trzymajcie się z dala od miast, a najlepiej przebijcie się do Fenicji, gdzie nie sięga władza faryzeuszów.

Zapadła cisza. Z czasem stała się tak niezręczna, że setnik postanowił ją przerwać.

– To wszystko, co mam wam do powiedzenia. Legioniści odprowadzą was do bramy.

Gdy uczniowie wyszli na ulicę, odezwał się Jan:

– Wracajmy szybko, musimy ostrzec Pana!

– Wolnego, Janie – odparł jego brat, Jakub. – Myślę, że przemówię w imieniu wszystkich, jeżeli powiem, że nasz udział w tej sprawie dobiegł końca.

– C...co?

– Nie wiem, czy zrozumiałeś, co powiedział setnik. To koniec. Wszyscy wyznawcy opuścili naszego Nauczyciela i żadne cuda, żadne uzdrowienia tu nie pomogą. Jedyne, co nas z nim czeka, to śmierć.

– Ja tu zostaję – dodał Mateusz. – To moje rodzinne miasto, może uda mi się wrócić do

starej pracy jako poborca ceł. Wiem, że Filip wraca do Betsaidy, Tomasz ucieka z Szymonem do Tyru.

– Jak szczury z tonącego statku... – powiedział Piotr z pogardą. – Nie jesteście godni zaufania, jakim obdarzył was Nauczyciel.

– Bracie, skończ z tym – odezwał się Andrzej. – Tu się wychowaliśmy, tu jest nasze miejsce. Możemy wrócić do ojca, do łowienia ryb. Całe życie przed nami.

W oczach Piotra stanęły łzy. Nagle zerwał się z krzykiem i uderzył brata pięścią w szczękę. Jan rzucił się na Jakuba. Wywiązała się bójka, dwóch przeciw sześciu. Wynik mógł być tylko jeden.

– Głupcy! Przez was jeszcze nas aresztują – syknął Jakub do ucha Jana, którego wraz z Tomaszem i Filipem przygwoździli do ziemi. Obok leżał podobnie obezwładniony Piotr. – Zaraz cię puszczę, braciszku, nie rób niczego głupiego. Od niedawna jesteś dorosły, zrobisz więc, co zechcesz. Powiem ojcu, że zginąłeś podczas rozruchów w Nazarecie.

Jan szarpnął się i krzyknął z bezsilności, lecz nic to nie dało.

– Właśnie tak. Nie opieraj się – powiedział Jakub, rozluźniając uścisk. Piotr i Jan poturbowani wstali z ziemi.

– Żegnaj, bracie – powiedział Jakub, po czym cała szóstka oddaliła się. Słońce zaszło, przykrywając mrocznym całunem wściekłość pozostałych na ulicy apostołów. W końcu Piotr położył rękę na ramieniu Jana.

– Wracajmy.

7

Tymczasem na pustynnej równinie, jakieś dziesięć stadiów od Kafarnaum, Jezus wciąż rozmawiał z Marią. O swoim dzieciństwie, o tym, jak niesfornym był dzieckiem. Ile sprawiał kłopotów. Ile przysporzył trosk. Jak bardzo, ale to bardzo, ją kochał i jak bardzo brakowało mu Józefa, który umarł, gdy Jezus był jeszcze nastolatkiem.

Opowiedział matce o wszystkich niezwykłych rzeczach, jakich doświadczył i jakich był sprawcą podczas swojej posługi. O niezwykłych przejawach wiary i bezinteresownej miłości ze strony tych najmniejszych i o równie bezinteresownej podłości. Przeprowadził ją przez wszystkie cierpienia, które stały się jego udziałem, ona zaś wyrzuciła z siebie całą tęsknotę, która ciążyła jej na sercu przez te wszystkie lata. Popłakali się oboje. Wielokrotnie. Z żalu. Ze śmiechu. I tak przez wiele godzin, aż sami nie zauważyli, kiedy zaszło słońce.

– Już czas, matko.

– Czas na co?

– Czas na ciebie. Musisz odejść.

Maria odsunęła się od niego i wstała.

– Nie. Nie znowu. Nie po to cię odzyskałam, żeby teraz...!

Wybuchła płaczem. Padła na kolana i łkała tak, że można było przysiąc, iż nocne niebo jeszcze bardziej pociemniało. Jezus z największym trudem powstrzymał się, by nie rozpaść się na jej oczach. Przełknął olbrzymią gulę, która urosła mu w gardle. Wstał, podszedł do matki i położył dwa palce prawej dłoni na jej czole.

Maria przestała płakać. Przestała cokolwiek odczuwać. Klęczała tylko i patrzyła w dal pustymi oczami.

– Musiałem. Wybacz – powiedział Jezus. Podszedł do matki, podniósł ją, objął i powiedział do ucha:

– Pójdiesz teraz nad jezioro. Będzie tam stała łódź, a w niej rybak, który powie, że czekał właśnie na ciebie. Przeprowadzi cię na południowy brzeg. Tam spotkasz karawanę. Kupcy także powiedzą, że cię oczekiwali. Odwiożą cię do Jerycha albo nawet dalej, gdziekolwiek będziesz chciała. U kresu podróży będzie czekał na ciebie pusty dom do zasiedlenia, obora pełna zwierząt, które dadzą ci żywy karmienie, i mężczyzna, który weźmie cię w opiekę. Osiedlisz

się i doczekasz kresu swoich dni w szczęściu, nieświadoma niczego. – Jezus resztką sił próbował zapanować nad łamiącym się głosem. – Wkrótce się spotkamy, naprawdę niedługo. Obiecuję. – Pocałował ją w czoło. Tego było już za wiele: poczuł, jak pęka mu serce. Wziął matkę w objęcia i rozplakał się: strach, żal i rozpacz wybuchły przez strumienie łez, które spływały mu po twarzy i wsiąkały w szaty kobiety.

Po kilku minutach opanował się. Rozluźnił uścisk, a Maria bez słowa odwróciła się i poszła przed siebie. Jezus spojrział w niebo.

– Ojczy, jeśli chcesz, daj mi proszę ten kielich. Niech to się stanie. Niech to się wreszcie skończy.

8

Po około pół godzinie, Jezus ujrzał w ciemnościach sylwetki dwóch uczniów.

– Odeszli, Rabbi. Wszyscy cię opuścili. – Ze łzami w oczach powiedział Jan.

– Odeszli, bo pozwoliłem wam wszystkim odejść.

– Nauczycielu, co mówisz!? – zapytał zdziwiony Piotr.

– Mielicie wybór. Wolny wybór. Cieszę się, że akurat wy dwaj do końca chcieliście związać ze mną swój los.

Piotr i Jan zamarli w zaskoczeniu. Jezus skinął głową, wskazując spojrzeniem za plecy uczniów.

– Idą.

Apostołowie obejrzeni się. W oddali zaczęły pojawiać się pojedyncze światła pochodni: dwie, cztery. Dwadzieścia.

– Śledzili nas! – zawołał z przerażeniem Jan.

– Bójka na ulicy... musieli nas wtedy rozpoznać! To nasza wina, Rabbi! – rozpaczal Piotr.

– Uciekajmy!

– Piotr ma rację, jeszcze mamy radę im ująć! Nauczycielu, biegnijmy...

Jezus przyłożył palec do swych ust. Uczniowie zamilkli.

– Czas na nas – powiedział Nazarejczyk. Piotr i Jan drżeli ze strachu. Chrystus także. W tej chwili stali się sobie bliżsi niż kiedykolwiek. Jezus podał im ręce, uklękli, zamknęli oczy.

– Są tam!

– Śmierć heretykom!

– Śmierć sługusom Rzymu!

Jezus zapytał:

– Pamiętacie, jak was uczyłem?

– Pamiętamy – odpowiedział Jan.

– Ojciec nasz, który...

– ... jesteś w niebie, niech się święci Twoje imię. Niech...

– ... przyjdzie Twoje Królestwo, niech się spełni...

– ... Twoja wola jak w niebie...

– ... Tak i na ziemi.

Wtedy spadły na nich pierwsze kamienie.

9

Był środek nocy, kiedy Chrystus odzyskał przytomność. Czuł, że ma otwartą czaszkę i połamane kończyny. Z trudem rozejrzał się: światło księżycy padało na ukamienowane zwłoki Piotra i Jana. Spojrzał przed siebie. Zobaczył stopy obute w znoszone sandały. Z największym wysiłkiem podniósł głowę, by ujrzeć postać w jaskrawoczerwonym płaszczu. Jej twarz była gładko ogolona, włosy skrywał płytki kaptur. Galilejczyk dostrzegł też łagodne, wręcz współczujące błękitne oczy. Postać usiadła przed Jezusem, krzyżując nogi.

– Tak lepiej? Nie chodzi mi o to, byś się męczył.

– To ty... – wykrztusił Chrystus. – To od początku byłeś ty...

– Tak. To ja – odparł Lucyfer. – Przykro mi, że to musiało się tak skończyć, ale nie zostawiłeś mi wyboru.

Jezus zachłysnął się krwią, która od razu zmatowiała na ciepłej jeszcze skale.

– Nie mogłem dopuścić do zbawienia.

Gdyby ci się udało, to byłby początek mojego końca. Nie wiedziałem tylko, co mogę zrobić, jak poradzić sobie z twoją mocą wyrzucania złych duchów – tłumaczył Szatan. – W końcu zrozumiałem swój błąd. Nie sposób pokonać dobra złem, jedyny sposób, to dobro... przechrzyć.

Jezus oddychał coraz płycej. Wiele czasu mu już nie zostało.

– Doszedłem do wniosku, że jedynym czego nie możesz mi zabronić jest czynienie dobra – kontynuował Lucyfer. – Kiedy stanąłeś przed namiestnikiem, wiedziałem już, co zamierzasz i co muszę uczynić. Wstąpiłem na moment w Piłata i zrobiłem to, co powinien zrobić szlachetny człowiek i sprawiedliwy sędzia. Uniewinniłem niewinnego człowieka. Reszta dokonała się sama.

Chrystus próbował się zaśmiać, lecz jedynie zarzęził, plując krwią.

– Wiesz, że tylko odroczyłeś swój koniec? – wyszeptał. – Wróć tu.

– Wiem. Wrócisz i to niejedyn raz. – powiedział spokojnie Lucyfer. – Pamiętasz, kiedy kuśiłem cię wtedy, na pustyni? Że oddam ci we władanie całą ziemię, jeśli tylko oddasz mi pokłon? Mam nadzieję, że następnym razem będziesz odrobinę mądrzejszy.

Nachylił się i wyszeptał Jezusowi do ucha:

– Kiedy wrócisz, będę na ciebie czekał. To mój świat i ci ludzie należą do mnie.

– Wróć – powtórzył Jezus. Na więcej nie miał siły.

– Muszę już iść. Pozdrów ode mnie swego Ojca – syknął Szatan. Wstał i odchodząc, rozpląnął się w powietrzu.

Jezus zacisnął powieki, spod których wyciekła słona, wilgotna strużka. Nagle wyprężył się i ze wszystkich sił wykrzyknął w niebo:

– Eli, Eli, lama sabachthani!?

Po tych słowach wyzionął ducha. ■

LESZEK BIGOS

Miedź brzęcząca

Anna Grzanek

Mężczyzna stał przy oknie. Choć zapadał już zmierzch, na wschodnim niebie widać było krwawą lunę. Linie horyzontu co rusz rozświetlały wybuchy. Przytłumiony odgłos wystrzałów dało się słyszeć nawet w rezydencji Rieslingów, położonej na przeciwległym krańcu miasta.

Po długich miesiącach stawiania przez Rike rozpaczliwego oporu wojna dotarła aż tutaj. Front zatrzymał się na bastionach stolicy.

Mężczyzna zaciskał usta w wąską kreskę. Wodził niespokojnym wzrokiem tam i z powrotem wzdłuż płonącego widnokregu.

– Ekscelecjo? – Z zadumy wyrwał go głos lokaja. – Czy życzy pan sobie jeszcze herbaty?

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo. Żadna wojna nie potrafiłaby zburzyć spokoju starego sługi. Przeżył ich już trzy.

– Tak, Alfredzie. Przygotuj świeżą herbatę i nakrycia. Dla dwóch osób. Podaj też ciasteczka cytrynowe.

Lokaj skłonił się i wyszedł. Gdy statecznym krokiem siedemdziesięciolatka pokonywał wyłożony miękkim dywanem korytarz, przed oczami mignął mu czarno-biały kształt. Oswojona sroka przysiadła na parapecie okna i zaskrzeczała głośno.

Po chwili pod nogi staruszka wpadł siedmioletni chłopiec, omal go nie przewracając.

– Paniczu Deinhard! – zawołał lokaj. – Niechże panicz uważa na schodach. Zresztą powinien panicz już od dawna leżeć w łóżku.

Chłopiec uśmiechnął się promiennie.

– Niebo się błyszczy – zauważył, wdrapując się na parapet. Sroka przysiadła mu na ramieniu. Była wyraźnie niespokojna, co chwila wydawała z siebie krótkie skrzeki i biła powietrze skrzydłami. – I brzmi. Czy będzie buzia?

– O tak, paniczu – westchnął Alfred, zerkając na krwawiący horyzont. – Prawdziwa nawałnica.

– Nie lubię buż – oświadczył chłopiec, zeskakując z powrotem na karmazynowy dywan. – Możesz zrobić tak, żeby jej nie było? Obiecuję, że wtedy pójde spać!

– Bardzo bym chciał, paniczu, ale obawiam się, że tej burzy nie da się uniknąć.

Chłopiec obejrzał się przez ramię. Nie sprawiał wrażenia przestraszonego, raczej niezadowolonego z faktu, że coś idzie nie po jego myśli.

– Tatusz będzie potrafił – orzekł. – Tatusz potrafi wszystko. Zatrzyma buzię, jeśli go poproszę.

Pobiegnął w głąb korytarza. Alfred spoglądał za nim przez chwilę.

Zerwał się wiatr, który szarpnął okiennicami. Lokaj zadrzał, rozcierając chude ramiona.

To nie był zwyczajny wieczór. Stary sługa powiedziałby, gdyby tylko ktoś go zapytał o zdanie, że w powietrzu wisi coś więcej, niż tylko wojna.

– A więc podjąłeś decyzję.

Głos dobiegł z cienia w kącie pokoju. Wydawałoby się, że nikogo tam nie ma, jednak po chwili z mroku wyłoniła się sylwetka młodego, ciemnowłosego mężczyzny w garniturze.

– Ekscelencjo. – Nieznajomy wykonał głęboki ukłon, choć jego twarzy nie opuszczał ironiczny uśmiešek.

Lord Riesling wskazał przybyszowi miejsce po drugiej stronie stołu. Sam siedział w przypominającym tron fotelu na lwich łapach. Herbata parowała już w filiżankach z cienkiej jak papier porcelany. Ogień kominka oraz łuna frontu stanowiły jedyne oświetlenie pokoju.

Przybysz rozsiadł się wygodnie, upił łyk gorącego napoju.

– Ładny domek – ocenił, wodząc dookoła wzrokiem. – Dzieła sztuki, jedwabie, atłasy, kryształ, heban, mahonie, dęby. Wygląda na to, że masz wszystko, Ekscelencjo. No, prawie wszystko. Dobre zdrowie. Rosnący jak na drożdżach syn. Władza. Gdyby nie to – tu przybysz niedbale wskazał widok za oknem – trudno byłoby mi cię zdobyć. Bóg, ha, ha, świadkiem, że próbowałem nie raz i nie dwa.

– Zabrałeś mi żonę – odpowiedział martwym głosem Lord Riesling.

– Za to dałem ci dziecko – odparował ciemnowłosy.

– ...ale nawet jeżeli dotąd było trudno, wreszcie ci się udało.

– Udało się – powtórzył przybysz. Nieprzyjemny uśmiech na jego twarzy rozszerzył się drapieżnie. – Wreszcie.

Jego Ekscelencja milczał. Obserwował, jak nieznajomy wyjmując ze skórzanej teczki dwa arkusze papieru.

– Domyślasz się chyba, jakie są zasady. Podpisz tu i tu, a marszałek Cassano zdąży z odsieczą. Bitwa będzie straszna, o tak, ale wreszcie generał Krig podkuli ogon i poda tyły. Sytuacja odwróci się o sto osiemdziesiąt stopni. Odeprzecie przeciwnika do granicy, i dalej. Wojenna zawierucha ominie twój dom i twoją rodzinę. Ach, nie masz czym podpisać? Proszę. – Przybysz z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął czarne pióro ze złożoną skuwką.

Lord Riesling wziął jeden egzemplarz umowy i przeczytał go uważnie, a potem jeszcze raz. Spojrzał przybyszowi głęboko w oczy, ale zobaczył w nich tylko ciemność.

– Mojemu synowi nic się nie stanie – zastrzegł dla pewności. – Niezależnie od tego, jak rozwinie się sytuacja. Ta wojna go nie dotknie.

– Twojemu synowi nic się nie stanie – przytaknął bez entuzjazmu ciemnowłosy. Szybko jednak rozchmurzył się. Będą inne wojny.

Jego Ekscelencja sięgnął po pióro i złożył zamasyisty podpis na obu egzemplarzach umowy.

Ogień w kominku zapłonął żywiej, gwałtowny podmuch wiatru wpadł przez otwarte okna do gabinetu. Drzwi rozwarły się na oścież pchane jego siłą.

Przybysz obejrzał się przez ramię, marszcząc brwi, po chwili jednak potrząsnął głową, jakby odganiając natrętną, przykrą myśl.

– Dokonało się – rzekł, odwróciwszy się na powrót do Lorda Rieslinga.

Stanęli obaj przy oknie, w zadumie obserwując horyzont. I tylko jeden z nich spostrzegł, jak z korytarza do pokoju wpadł ledwo uchwytny kształt. Czarno-biały ptak bezszelestnie podfrunął do stołu, chwycił wieczne pióro, połyskujące w blasku ognia, i zniknął za drzwiami. W progu stanął mały chłopiec, rzucił uważne spojrzenie na stojące przy oknie postacie, a potem i on przepadł. Gruby dywan stłumił jego kroki.

Ciemnowłosy uśmiechnął się do własnych myśli.

– Czy czujesz ulgę? – zapytał, stając tuż za plecami Jego Ekscelencji. – Cieszysz się z tego, co zrobileś? Uważasz, że podjąłeś właściwą decyzję? Czy teraz zaznasz spokoju?

– Nigdy nie zaznam spokoju – odrzekł Lord Riesling. Więcej wyrzec nie zdołał, gdyż obcy chwycił jego głowę w dłonie i przekręcił gwałtownie. Pękające kręgi wydały obrzydliwe chrupnięcia, które niemal utonęło w kanonadzie wystrzałów.

– Zaiste – potwierdził ciemnowłosy.

Ciało upadło na dywan ze stłumionym łoskotem.

– Umowa obejmowała zwycięstwo Rike w wojnie, nie twoje długie i szczęśliwe życie – dodał jeszcze prawie przeproszającym tonem. – A ja bardzo nie lubię czekać.

Podszedł do stołu, schował do teczki jeden podpisany przez Jego Ekscelencję arkusz papieru, drugi wrzucił do kominka. Rozejrzał się jeszcze, by sprawdzić, czy o niczym nie zapomniał. Ruszył do kąta, z którego uprzednio się wyłonił, i zniknął.

W oddali bitwa właśnie osiągnęła apogeum, stając się najbardziej krwawą batalią całej wojny. Tamtej nocy Piekło zebrało na prawdę obfite żniwo.

– Deinhard, Deinhard! – krzyczała markiza Henrietta. Nie doczekała się jednak odzewu. – Chłopak na pewno jest w ogrodzie – powiedziała zrezygnowana.

Tereny zielone wokół rezydencji rozciągały się na stu hektarach. Jeśli Deinhard nie chciał zostać znaleziony, nie było siły, która potrafiła by go sprowadzić z powrotem do domu.

– Alfredzie, zrób coś...

Stary sługa tylko uśmiechnął się dobrotliwie.

– Pan wybaczy, panie Jeger – powiedziała markiza, odwracając się do nowego

guwernera swojego siostrzeńca. – To dobry, ale niepokorny chłopak. Zawsze chodzi własnymi drogami. Wie, że o trzeciej powinien wrócić na zajęcia...

Młodzieniec w czarnym garniturze skłonił się lekko.

– Nic nie szkodzi, proszę pani – zapewnił. – Jeśli trzeba poczekać, aż panicz wróci, to poczekam.

Lokaj skrzywił się. Ulizany dandys nie przypadł mu do gustu. Tutaj, w rezydencji, wszyscy żyli niemal jak rodzina. Choć bydynek był wielki, do jego obsługi zatrudniono minimalną możliwą liczbę osób – stary Lord Riesling nie lubił tłoku. Nowy guwerner pasował do otoczenia jak wianek do galowego munduru.

Ale cóż poradzić? Jego Ekscelencja nie już od czterech lat i decyzje podejmowała markiza Henrietta, jedyna żyjąca krewna ostatniego męskiego potomka rodu Rieslingów.

Tymczasem Deinhard, ukryty za bukszpanowym żywopłotem, przyglądał się, jak synowie ogrodnika znęcają się nad rudym kociakiem.

Było ich trzech, a każdy dzierzył w dłoni zaostzony patyk. Za każdym razem, gdy kotek próbował znaleźć lukę między otaczającymi go prześladowcami, natykał się na bolesne dźgnięcie. Miauczał rozpaczliwie, utykał na jedną łapkę i krwawił. Synów ogrodnika niezmiernie to śmieszyło. Wrzeszczeli, pozorowali ataki na oszalałe ze strachu zwierzę, kłuli je coraz mocniej, najwyraźniej zdecydowani, by nie pozwolić ofierze przeżyć. Nie byłby to pierwszy taki kot w ich karierze.

Deinhard obserwował wszystko zza krzaków, dumając nad pewnym zjawiskiem, które miało miejsce tylko w jego głowie.

Idź, mówił bezcielesny głos, którego chłopiec nigdy wcześniej nie słyszał. Idź, zabaw się. Poczuj krew. Rozpal w sobie płomień. Zobacz, jak dobrze jest mieć władzę nad czyimś życiem!

Sroka siedząca na ramieniu chłopca zaszczerzała. Synowie ogrodnika nie zwrócili na nią uwagi. W lesie dookoła kryło się mnóstwo ptaków.

– Wiem, Engill – szepnęła Deinhard. – Rozumiem.

Prawdę mówiąc, chciało mu się trochę śmiać. Głos, który słyszał, mówił rzeczy głupie i pompacyjne, w dodatku wygłaszał je protekcyjnym tonem. A jedenastolatkiem nie lubią, gdy ktoś im mówi, co robić. Poza tym nie widział powodu, dla którego dręczenie kociąt miało mu sprawiać przyjemność.

– Hej, wy! – krzyknęła, przedzierając się przez dziurę w żywopłocie. – Zjeżdżać mi stąd! Ale już!

Synowie ogrodnika – dwanaście, dziewięć i siedem lat – obejrzeni się zdezorientowani. Kierując się chłopięcą logiką, odwrócili się jak jeden mąż, wystawiając zaostrome kijki w stronę intruza. Dopiero po kilku sekundach rozpoznali w nim młodego panicza. Ranny kotek, korzystając z okazji, uciekł w krzaki.

– Zjeżdżać! – powtórzył Deinhard, zakładając ręce na piersi. Nieświadomie naśladował gest, który podpatrzył niegdyś u ojca. Nawet cały w liściach, z zadrapaniami na rękach i poobijanymi kolanami, wzbudzał respekt. Szacunek budziło też ptaszysko, które wiecznie siedziało mu na ramieniu. Wszyscy w rezydencji, poza Alfredem, bali się sroki Deinharda, a inne dzieci nigdy nie przepadały za młodym paniczem.

Synowie ogrodnika spojrzeli po sobie, bez słowa rzucili na ziemię patyki i odeszli, niby to nonszalancko, a jednak co rusz ogłędając się za siebie. Jakby w strachu, że coś za nimi podąży.

Deinhard został na placu boju sam. Nawet do głowy mu nie przyszło, że dużo ryzykował, stając w pojedynkę przeciwko kilku oponentom. Nie umiał się bać. Nie nauczone go przegrywać.

– I co, to już? – Chłopiec wzruszył ramionami. – Mam nadzieję, że kotkowi nic się nie stało. – Sprawdź to – poleciał.

Niechętnie, bo niechętnie, ale sroka zerwała się z jego ramienia i pofrunęła w głąb ogrodu. Głos nie pojawił się więcej.

Nowy guwerner siedział na szerokim, marmurowym parapecie. Spoglądał w stronę zachodzącego słońca, wspominając, jak nie tak dawno temu oglądał z okien tej samej rezydencji zupełnie inną czerwoną łunę. Uśmiechał się, na poły zirytowany, na poły usatysfakcjonowany.

Nagle tuż za nim ktoś się odezwał.

– Chyba śnisz, jeśli sądzisz, że pozwolę ci tu zostać w tej postaci.

To nie mogła być kwestia wypowiedziana przez kogoś z krwi i kości.

– Och? – Mężczyzna w czarnym garniturze skrzywił się. Nie spojrzął za siebie. – Widzę, że zostałem daleko w tyle. Zjawiłem się późno, ale mam nadzieję, że nie za późno. Zdążę jeszcze młodego Deinharda tak wiele nauczyć...

Odpowiedziała mu cisza.

– Masz inne zdanie, jak wnoszę z twojej reakcji. Rozumiem. Dobrze wiesz, że jesteś tu już dość długo, by go sobą skazić. By zabić w nim to, co najważniejsze. Chcesz sprawić, by dla niczego nie miał uczuć, by się nie przywiązywał. Chcesz mu zabrać serce, duszę. I to w podlegszy sposób niż ja. Jeśli już tego nie zrobiłeś.

Cisza była jakby głośniejsza niż przedtem.

– Jak wolisz. Wszystko jedno. Mam wiele postaci.

Nowy guwerner – ku rozpaczy markizy – zniknął następnego dnia, tłumacząc się rodzinnymi zobowiązaniami. Niełatwo było znaleźć kogoś odpowiedniego, kto nie dość, że wykazałby się wiedzą i umiejętnościami, to jeszcze potrafiłby znieść trudny charakter Deinharda.

Guwerner zniknął, pojawił się za to kot. Wielki, bury i pęgowany. Przybył nie wiadomo skąd i nie wiadomo jakim sposobem wkraść się w łaski kucharza. Zanim sprawujący pieczę nad poczynaniami służby w całym domu Alfred spostrzegł, kocur niejako wpisał się w życie codzienne rezydencji.

Okazał się przyjaznym pieszczochem, zawsze łasym na kawałek kiełbasy oraz garść czułości. Sceptyczny w stosunku do niego pozostał jedynie stary lokaj, który przy każdej okazji starał się kocura kopnąć. Nowy zwierzak nie zaprzyjaźnił się również z oswojoną sroką Deinharda. Ale to przecież normalna kolej rzeczy, że koty polują na ptaki, a ptaki nie noszą kotów.

Równowaga utrzymywała się długo. Żadna ze stron nie atakowała, żadna nie musiała się bronić. Ale dla niektórych upływ czasu, nawet mierzony w latach, nie jest niczym więcej jak mgieniem oka. I warto jest poczekać na odpowiedni moment.

Tak minęło pięć kolejnych lat.

„ZAMIESZKI W HUVUDSTADZIE” – wielki napis zdobił pierwszą stronę „Dziennika Rikejskiego”.

Dwie osoby zginęły, a blisko czterdziści zostało rannych podczas zamieszek, które miały miejsce wczorajszego popołudnia w stolicy Jordu, Huvudstadzie. W trakcie wiecu politycznego pokojowa przemowa kandydata na posła Svaga Feinera została przerwana przez agresywnych członków Unii Społecznej. Kanclerz Mentira Aggro w zawałowany sposób nawoływała Jordeńczyków do rebelii i zbrojnego powstania przeciwko Rike. Czy Parlament pozostanie obojętny? Czytaj dalej – str. 3, 4 i 5.

Większą część pierwszej strony zajmowało zdjęcie kanclerz Aggro, zrobione w trakcie wygłaszania płomiennej mowy: rozwiany włos, uniesiona pięść, zacięty wyraz twarzy.

– Czego też ten szmatławiec nie wymyśli – wymruczała markiza Henrietta, plując dookoła okruskami bajgla. Nie miała zbyt wysokiego mniemania o „Dzienniku Rikejskim”.

– Nie tylko tu o tym piszą – zauważył Deinhard, przeglądając pierwsze strony pozostałych gazet codziennych. – Wszędzie Aggro i Aggro. Może zrobić się... nieprzyjemnie.

W rezydencji Rieslingów śniadanie było zwyczajową porą przeglądu prasy. Tosty, dżem, sok pomarańczowy, herbata i dzienniki. Atmosferę uprzyjemniał śpiew kanarka, dochodzący z wiszącej w rogu pokoju klatki.

– Ludzie obawiają się wojny – wtrącił Alfred, uzupełniając filiżankę Deinharda. – Cukru, paniczu?

– Nie słodzę, Alfredzie – przypomniał chłopak, jak tysiące razy poprzednio. Rzucił czekającemu pod stołem kotu kawałek bekonu. Siedząca na jego ramieniu sroka poruszyła się lekko. Spała, z łebkiem schowanym pod skrzydłem. Towarzyszyła Deinhardowi zawsze, gdy tylko bury kocur pojawiał się w pobliżu.

– W panicza wieku trzeba jeść dużo cukru. Ciągłe panicz rośnie – odparował Alfred, również po raz tysięczny.

Batalia o cukier trwała, odkąd Deinhard skończył dziesiąty rok życia. Lokajowi trudno było pogodzić się z faktem, że wkrótce młody panicz przestanie wreszcie rosnąć, a zacznie się starzeć.

– Przecież pakt pokojowy podpisany dziewięć lat temu wciąż obowiązuje, prawda? – Ciotka Henrietta sprawiała wrażenie lekko zaniepokojonej. Nie była zbyt rozgarnięta. Kiedy gazety pisały o czymś złym, automatycznie przyjmowała to za bzdurę. Gdy jednak Deinhard coś mówił, to przeważnie miał rację. Choć był tylko szesnastolatkiem, czasem sprawiał wrażenie starca. Efekt potęgowała sroka, wiecznie uczepona jego ramienia, kojarząca się markizie ze ścierwojadem krukiem.



Marta Markowska

Od lat ta sama sroka.

– Pakty są po to, żeby je łamać – oznajmił spokojnie chłopak. – Historia uczy, że ludzie częściej toczą ze sobą konflikty niż się godzą.

Po tym stwierdzeniu zapadła cisza. Przewrwała ją znów Henrietta.

– A jeśli... jeśli znowu miałyby się zacząć wojna? – spytała nieśmiało.

Jord nigdy nie wybaczył Rike klęski, którą poniósł. Ugiął kark i podpisał traktat pokojowy, ale nie przestał zerkać spodzie łba. Wśród Jordeńczyków wciąż było wielu, którzy uważali, że dwukrotnie mniejsze powierzchnio i ludnościowo Rike powinno stać się częścią ich państwa. Jedną z takich osób była kanclerz Mentria Aggro. Przywódcy obu krajów wiedzieli już w momencie podpisywania paktu, że to tylko rozwiązanie tymczasowe.

– W dodatku krążą plotki, że generał Le-ger Krig powraca – odezwał się nagle Alfred. Zajęty był zgarnianiem z talerzy okruszków dla kanarka.

Henrietta nie skomentowała, Deinhard zaś skupił się na jednym z artykułów, traktującym o produktach spożywczych, których

zapas dobrze jest zgromadzić w gospodarstwie podczas wojny.

– To jakaś paranoja – przerwał w końcu dłużącą się ciszę. Bury kocur wskoczył mu na kolana, więc chłopak odchylił się na krześle i zaczął go odruchowo głaskać. – Nie wolno nam dopuścić do wojny. Tylko że Parlament ewidentnie ma swoje zdanie na ten temat. I nikt nie pozwoli mi dojść do głosu...

– Za rok, chłopcze – pocieszyła go ciotka. – Za rok Parlament pozwoli ci zająć miejsce twego ojca.

– Nie mamy aż tyle czasu – odrzekł Deinhard.

Więcej powiedzieć nie zdążył, gdyż bury kocur, najwyraźniej tylko pozorując chęć pieszczot, odbił się nagle od jego kolan i skoczył na siedzącą na ramieniu chłopaka srokę. Ta ledwo uciekła z dzikim skrzykiem, gubiąc kilka piór. Kot na tym nie poprzestał, goniąc ptaka po całym pomieszczeniu. Deinhard i Henrietta poderwali się z miejsc, herbata z przewróconych filiżanek zalała poranną prasę.

– Tego już za wiele! – wykrzyknęła mar- kiza, opuszczając w pośpiechu pokój śniadaniowy. Alfred podążył za nią, aby wezwać

pokojówkę, a ostatni wyszedł Deinhard, spokojnym, statecznym krokiem. Ucieszył się, że będzie miał chociaż chwilę tylko dla siebie – bo to właśnie oznaczała potyczka pomiędzy kotem a sroką.

Słońce powoli zaczynało chylić się ku horyzontowi, jednak Deinhard wciąż miał do przeczytania jeszcze trzydzieści stron *Strategii stosowanej*, zanim będzie mu wolno udać się na przejażdżkę ulubionym wałachem o wdzięcznym imieniu Hestur. Nie było to bynajmniej przykazanie żadnego nauczyciela czy ciotki, tylko samego Deinharda. Nikt nie potrafił go zmusić do większego posłuszeństwa niż on sam.

Tego dnia chłopakowi wyjątkowo trudno było się skupić. A to rozpraszały go dźwięki dochodzące zza otwartego okna, a to ktoś, kto przechodził akurat korytarzem, a to wreszcie kot, który bawił się, grzechocząc jakimś przedmiotem po parkiecie. Atakował raz lewą, raz prawą łapką, odskakiwał, przyskakiwał, chował się za meblami, by zza nich wypadać i znów umykać. Czynił przy tym mnóstwo hałasu.

Wreszcie Deinhard nie wytrzymał, podniósł się zza biurka i wyszedł na środek pokoju, by zabrać kocurowi to, czym ten tak uparcie się bawił przez ostatnie pół godziny.

Zwierzak jakby tylko na to czekał. Przyśiadł w typowo kociej, posążkowej pozycji, i patrzył. Przy owiniętych ogonem przednich łapkach leżało czarne wieczne pióro.

Deinhard przyklęknął obok i bez wahania wziął je do ręki. Obejrzał uważnie, zdjął złoconą skuwkę, zamknął.

To ciekawe, pomyślał.

Pamiętał dobrze. Engill ukradł pióro dziewięć lat temu z gabinetu ojca, w noc jego śmierci. Gdzieś je musiał schować.

– To nie przypadek, że znalazło się właśnie teraz – rzekł z pozoru do samego siebie. – Prawda?

Spojrzał uważnie na kota.

– Nie potrafisz mówić? Czy może nie chcesz?

– Potrafię – odparło zwierzę bez cienia zażenowania. Uśmiechnęło się w charakterystyczny, koci sposób. – Ha, widzę, że jesteś bardziej skażony, niż mi się wydawało.

– Skażony?

– O tak. Przez niego. Nie przyzwyczajaj się tylko. Potem znowu będę siedzieć cicho.

Deinhard Riesling wstał i popatrzył na kocura z góry.

– Powinieneś być czarny jak noc na dnie Piekla.

– No. A ten, tamten, powinien być białym, niewinnym gołąbkim. Tymczasem jest rozwrzeszczaną, wredną sroką.

– Co mu zrobiłeś? Żeby móc mi to przekazać? – Chłopak przełożył wieczne pióro między palcami, w tę i z powrotem. Podszedł do biurka, opadł na wyścielane krzesło. Zgodnie z dawno przyjętą zasadą, nie dziwił się niczemu.

Kot wskoczył na blat i zajął się metodycznym wylizywaniem przedniej łapki.

– Zatrzasnąłem go w klatce dla kanarka – odparł po chwili.

– A kanarek?

– Zjadłem.

Chłopiec wpatrywał się w kota bez słowa. Zwierzę odwróciło się ostentacyjnie i zaczęło lizać grzbiet.

– Co mam zrobić z tym piórem? – zapytał wreszcie Deinhard, bo cisza przedłużała się nieznośnie.

– Co tylko zechcesz. – Szorstki jęczyczek przesuwał się raz po raz od karku aż po nasadę ogona. – Twoja decyzja. Ale cokolwiek nim napiszesz, stanie się. Pod warunkiem, że sprawi komuś ból i cierpienie. Sprowadzi nieszczęście. Będzie niszczące.

Chłopak zastanawiał się przez chwilę. Sięgnął do szuflady biurka, wyjął gruby brulion.

Wieczne pióro zaskrzypiało na czerpanym papierze. Atrament, mimo że nieużywany od lat, był świeży.

Kot pośliznął się i spadł z blatu.

Zwierzę zaśmiało się wesoło.

– Nie, nie, to tak nie zadziała. Nie na mnie. Nie na niego. Tylko na tych, którzy podlegają ludzkim prawom. Nie możesz obrócić mojej broni przeciwko mnie. Poza tym wcale tego nie chcesz. Musisz naprawdę pragnąć kogoś skrzywdzić, by odnieść skutek.

– Warto było spróbować. – Chłopak wzruszył ramionami. – I co teraz? Jak będę robił brzydkie rzeczy, trafię do brzydkiego miejsca, tak?

– Niewątpliwie. – Nadeszła pora na toaletę miejsca pod ogonem. – Mamusia nie miała okazji cię przestrzec, więc ja to zrobię; musisz być odpowiedzialny za swoje czyny.

– Czemu mi to mówisz? – Deinhard zmarszczył brwi. – I nie kpij z moich rodziców.

Kot przestał się myć i wlepił w chłopaka spojrzenie bursztynowych oczu.

– Bez urazy, ja tylko wykonuję swoją pracę. Twoja matka zgodziła się oddać wszystko, bylebyś się urodził. Więc zabrałem jej wszystko. Twój ojciec z kolei oddał duszę za zapewnienie ci spokoju i dobrobytu. Sam powinienes wiedzieć najlepiej, co począć z ich ofiarami. A ja nie zamierzam wygrywać nieuczciwie. Tak, masz w rękę potęgę. Tak, jej niewłaściwe użycie zaprowadzi cię prosto pod wrota z napisem „Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate”. Ale do niczego cię nie będę namawiać ani zmuszać. Wolna wola, pamiętasz? Oho, nadchodzi...

Chłopak uniósł wysoko brwi.

– Naprawdę? Naprawdę taki napis widnieje nad bramą Piekła?

– Nie, ale specjalnie dla ciebie każę go wykuć, jeśli sprawi ci to różnicę – rzucił kot i przygotował się do skoku.

Drzwi gabinetu otworzyły się z impetem, a oba ich skrzydła uderzyły o ściany, aż

odleciało trochę tynku. W progu pojawiło się coś, co przypominało trąbę powietrzną. Złudzenie trwało jednak tylko moment. Po chwili na ramieniu Deinharda Rieslinga wyładował czarno-biały ptak.

Chłopak stał przy oknie, spoglądając na oddalającego się beztrosko z wysoko uniesionym ogonem kota, któremu najwyraźniej skok z trzeciego piętra nie uczynił najmniejszej nawet krzywdy.

Brulion leżał na samym wierzchu.

Deinhard sam przed sobą przyznał, że „Kot pośliznął się i spadł z blatu” nie jest szczególnie udanym zdaniem. Poza tym oczywiście chłopak wcale nie życzył zwierzęciu źle.

A gdyby tak...?

Nie, nie może być, żeby dał się podejść jak pierwszy lepszy szczeniak. Nieopisana władza w postaci chłodnego kawałka metalu. Pięć minut po otrzymaniu szatańskiego akcesorium biedny głupiec wpada w pułapkę własnej chciwości.

Deinhard Riesling uśmiechnął się do swoich chaotycznych myśli. Dziwne, zwykle był chłodny i zdystansowany. Skąd to nagle poruszenie?

Usiadł przy biurku. Przesunął brulion do jego lewej krawędzi tak, żeby leżał idealnie wzdłuż niej. Siedział przez chwilę sztywno, bębniąc palcami jednej ręki w blat, na drugiej opierając podbródek.

Schował brulion do szuflady.

Wyjął go z powrotem.

Wyciągnął z kieszeni wieczne pióro.

Bury kot powiedział, że można nim zdziałać wszystko, jeśli tylko komuś to zaszkodzi.

Ale czasem, kiedy coś szkodzi jednej osobie, dla innej jest pożyteczne, prawda? Albo dla wielu, wielu innych.

Mentira Aggro zostaje zastrzelona przez – Nie – powiedział chłopak głośno, gwałtownie skreślając to, co właśnie

napisał. – Nie może paść ofiarą zamachu, bo stanie się męczennicą. Nie.

Mentira Aggro dostaje zawału serca podczas spotkania z – Nie, tak też nie... Bez świadków, bez ludzi, bez natychmiastowego rozgłosu. Ale przecież nie mogę ukryć jej ciała, bo zacząną się spekulacje na temat ewentualnego porwania albo terrorystów z Rike.

Mentira Aggro dostaje zawału serca podczas samotnej kolacji we własnym domu, umiera w kałuży rygowin i moczu

Deinhard włożył pióro tuż nad kartką. Nie postawił kropki na końcu zdania.

Długą chwilę siedział w bezruchu, niezdyscyplinowany. Tak, ta wersja, choć ohydna, całkiem mu się podobała, jednak...

Nie chciał nikogo skrzywdzić, nie tak naprawdę. Nie chciał nikogo zabić.

Chciał tylko móc żyć jak dotychczas, mając święty spokój.

Chciał, by nie doszło do wojny z Jordem.

Poprzednią wojnę zakończył jego ojciec. Deinhard w jakiś sposób wiedział o tym, nie zapomniał niczego. Choć był wtedy zaledwie małym chłopcem, coś nie pozwalało mu zapomnieć. Pamiętał wysokiego, mrocznego mężczyznę, który od czasu do czasu odwiedzał starego Lorda Rieslinga. Dziecku bardzo łatwo jest się ukryć przed dorosłymi, którzy widzą tylko to, co chcą zobaczyć.

Deinhard nie zamierzał dopuścić, by sukces ojca został zaprzepaszczone. Może i został skażony wpływem Engilla, cokolwiek to miało oznaczać, ale jeśli kiedykolwiek darzył kogoś miłością i szacunkiem, to tą osobą był Hensel Riesling, jego ojciec. No i może Alfred, ale to nie miało w tej chwili znaczenia.

Nie zapowiadało się, aby tego dnia miał przeczytać zaplanowaną część materiału ze strategii. Schował pióro, wstał i opuścił pokój. Liczył, że spacer na świeżym powietrzu pozwoli mu uporządkować myśli.

Na biurku pozostał otwarty brulion

z niedokończonym, nie do końca jeszcze przemyślanym wyrokiem śmierci.

Stary dzwon, stojący w cieniu wielkiej lipy nieopodal stróżówki, bił na alarm.

Deinhard do tej pory tylko raz słyszał jego dźwięk – wtedy, gdy wojska Jordy podeszły pod stolicę. Wszystkich ogarnął wówczas błąd strach; strach, który towarzyszył im przez wiele tygodni aż do nieprawdopodobnej interwencji marszałka Cassano.

Ale to zdarzyło się wiele lat temu. Teraz ścienny zegar, oświetlony dziwnym, czerwonym blaskiem, pokazywał kilka minut po trzeciej.

Chłopak otrząsnął się ze snu i podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na część ogrodu i zabudowań gospodarczych. Potężna stodoła, dwie szopy na narzędzia i powozy. Oraz stajnie. Wszystkie budynki stały w ogniu.

Stajnie... Konie!

Deinhard, tylko w piżamie, czym prędzej wybiegł z sypialni. Zniknął u jego boku pojawił się czarno-biały kształt.

Akcja gaśnicza już trwała. Niemal wszyscy mieszkańcy rezydencji pomagali, podając sobie wiadra, obsługując dostępny sprzęt, wynosząc z budynków to, co jeszcze dało się uratować. Deinhard bez wahania rzucił się w kierunku stajni. Konie były dla niego najważniejsze. Ręczy można kupić, budynki można odbudować, ale zwierząt ożywić się nie da.

Część z nich, rozhisteryzowana i usiłująca rzucić się do ucieczki, została już odprowadzona na bezpieczną odległość, jednak rozpaczliwe kwiki tych wciąż uwięzionych w boksach dało się słyszeć na zewnątrz, nawet poprzez trzaski pękających desek i huk płomieni.

Chłopak, nie zważając na palące płuca powietrze, wbiegł do stajni, ścigany pełnym dezaprobaty skrzykiem sroki. Z zapachem spalenizny mieszał się śwąd zwęglonego mięsa. Z jednego z boksów dochodził dźwięk

kwik, pełen bólu i rozpaczy. Konie, kiedy cierpią, krzyczą prawie jak ludzie.

Deinhard otworzył dwa boksy. Wybiegające z nich klacze omal go nie stratowały. Potem podbiegł do trzeciego, ledwo zmuszając się, by podejść bliżej. To był boks jego ulubieńca, Hestura. Płacz rannego konia świdrował uszy. Zwierzę zostało przygniecione jedną z belek, które podtrzymywały poddasze.

– Chodź! – krzyknął Deinhard. – Podnieś się! – Chwyć! gorącą belkę, jednak ta ani drgnęła. Pot zalewał mu oczy, piżama i włosy zaczynały się tlić, koń nie przestawał kwiczeć.

Wtem rozpalone powietrze przeciął czarno-biały kształt, niosąc ze sobą niespodziewany podmuch chłodu. Sroka usiadła na płonącej belce, a Deinhard spróbował jeszcze raz; tym razem drewniany bal wydał mu się lekki jak piórko.

Chłopak chwycił leżącego konia za szyję i pociągnął w górę. Hestur zarżał z bólem, uniośł się na przednich nogach, opadł ponownie.

– No dalej! – syknął Deinhard. Zakrztusił się dymem. Czuł, że albo zaraz zabraknie mu powietrza, albo pokona go temperatura. – Rusz się! – Pociągnął, znów bezskutecznie. Zniecierpliwiony ptak przeskoczył z belki na grzbiet konia. Ten poderwał się natychmiast, krzycząc z jeszcze większym przerażeniem niż dotychczas. Jedną nogę miał niemal całkowicie bezwładną, na pozostałych jednak jako tako się trzymał. Krok po kroku pozwolił wyprowadzić się na powietrze.

Ktoś, Deinhard nie widział kto, odebrał od niego uzdę konia i odprowadził zwierzę w mrok. Dookoła rozmawiali i biegali ludzie. Trzask i huk pożaru wypełniały noc, ale zdawały się być coraz cichsze i jakby odleglejsze. Chłopak opadł na kolana, wyczerpany.

Gdzieś niedaleko słychać było okrzyki „Och! Ach! To straszne! Co robić, co robić?

Tragedia! Zaraz zemdleję!“. Deinhard rozejrzał się – ciotka Henrietta stała kilka metrów od niego, opierała się na ramieniu służącego, wachlowała chusteczką i była tak samo bezużyteczna jak zawsze.

– Jak... to się... stało? – wysapał chłopak, dysząc ciężko. Opierał dłonie na ziemi i raz po raz potrząsał głową, starając się odgonić mroczki sprzed oczu.

– Nie wiemy, paniczu – usłyszał tonącą we wrzawie odpowiedź. Głos dochodził jakby z daleka.

Tymczasem spomiędzy osmalonych krzaków tawuły wyszedł kot i usiadł tuż przed Deinhardem. W nocy wydawał się czarny. Sroka zaskrzeczała głośno i zerwała się do lotu.

Chłopak nagle poczuł się lepiej. Łatwiej mu było oddychać, opadło z niego zmęczenie, umysł rozjaśnił się.

– Zaproszenie ognia – powiedział, wpatrując się w bursztynowe ślepią kocura. – Podpalenie... Kogo brakuje?

– Co takiego? – zdziwił się ktoś. Służba zgromadziła się dookoła, szepcząc między sobą i spoglądając niepewnie na swojego pana.

– Pytam, kto nie przyszedł. Kto nie pomagał gasić. Kogo znajomego nie widzicie obok siebie? – Deinhard stanął na nogi, uważnie rozglądając się po otaczających go twarzach. Zrozumienie i niedowierzanie widniejące na jednej z nich dopowiedziało mu resztę.

– Georg, Jan, Berthold. Gdzie oni są, panie Aardig? Gdzie są pana synowie?

Ogrodnik cofnął się o krok, przerażony.

– Ja... ja... paniczu... ja nie... nie rozumiem... oni nigdy... ja...

– Nigdy – prychnął Deinhard, zamyślając się głęboko. – Oni zawsze, a nie nigdy. Odkąd pamiętam. Odejdź. Wszyscy odejdźcie. Wracajcie do łóżek. Tu już nie ma na co czekać.

Ale to nie był koniec.

– Jeszcze kogoś tu nie ma – zauważyła

chłodno ciotka Henrietta, przestając udawać, że omdlewa. – Alfreda.

Deinhard jeszcze raz spojrzął w oczy kota. Ujrzał w nich prawdę.

– Biżuteria markizy. Większość srebrnej zastawy. Trzy złote puchary wysadzone klejnotami. Kolekcja monet mojego ojca. Sporo gotówki. To najważniejsze rzeczy, które ukradziono – wyliczał Deinhard Riesling. Był bładny jak prześcieradło. Zaciskał dłonie na oparciu stojącego przed nim fotela, jak gdyby ten miał mu uciec. – Zabrano także jedno życie.

Zgromadzona dookoła służba stała ze związonymi głowami; niektórzy byli równie bładni, co ich pan, a niektórzy wręcz przeciwnie – czerwoni jak buraki. Ogrodnik płakał cicho, kryjąc twarz w dłoniach. Nie on jeden zresztą. Deinhard czuł, że i jemu do oczu napływają łzy. Zdziwiło go to, bo przecież nie płakał nawet na pogrzebie ojca.

Pożar stanowiął dywersję. Kiedy wszyscy wybiegli z rezydencji, by ratować z płomieni, co się da, trójka sprawców dostała się do domu, ukradła dość cennych przedmiotów, by do końca życia nie musieć się martwić o byt, a potem przepadła jak kamień w wodę. Przy kuchennych drzwiach natknęli się jednak na starego lokaja, który zagroził im drogę. Jeden z synów ogrodnika miał przy sobie pistolet.

Kiedy Deinhard ujrzał ciało Alfreda, rozciągnięte na podłodze, z szeroko rozrzuconymi ramionami i szklistym spojrzeniem utkwionym w suficie, poczuł, że w nim też coś umarło. Ostatnia osoba na tym świecie, do której żywił jakiekolwiek uczucia, zniknęła. Nie pozostało nic.

To była zaplanowana, sprawnie przeprowadzona akcja. Zupełnie jakby ktoś podpowiedział synom ogrodnika, co mają zrobić, bo Deinhard nigdy nie podejrzewałby trzech okrutnych, ale tępych osiłków

o zorganizowanie tak dopracowanego przedsięwzięcia. Ktokolwiek za tym stał, nie przewidział tylko starego lokaja...

A może właśnie przewidział?

– Zabezpieczyliśmy ślady, ekscelencjo – oznajmił komisarz Gottwald, wchodząc do gabinetu. Nie współczuł Rieslingom i to, co działo się na terenie ich rezydencji, było mu obojętne, ale z jakiegoś powodu nie potrafił się zdobyć na okazanie lekceważenia chłopczkowi, który uzurpował sobie prawo do lordowania. Ów chłopczek był na to zbyt niepokojący. – Rozesłaliśmy już rysopisy i listy gończe oraz listę skradzionych dóbr. Jeżeli gdzieś się pokażą, zostaną rozpoznani. Jeśli spróbują cokolwiek spieniężyć, dostaniemy ich.

– Dziękuję, komisarzu – odrzekł ponuro Deinhard, bo do powiedzenia nie zostało nic innego. Czuł się pusty w środku.

Mógł tylko czekać.

Minął tydzień. Jedynym, co przez ten czas zakłóciło spokój panujący w rezydencji Rieslingów, było samobójstwo ogrodnika. Znalazła go jedna z pokojówek, kiedy Aardig trzeci dzień z rzędu nie pojawił się w kuchni na posiłek. Powiesił się we własnej chacie.

Zbiegów nie udało się schwytać. Policja pozostawała bezsilna, a w każdym razie potwarzała, że robi, co w jej mocy. Brak efektów powoli zaczynał doprowadzać Deinharda do szału.

– Już od dawna są w Jordzie – zaopiniowała autorytatywnie ciotka Henrietta. Kiedy piła herbatę, dystygowanie odchyłała od filiżanki mały palec. – Na pewno. Nie znajdą ich i za tysiąc lat. Jakby mieli ich złapać, już by to zrobili. Moja biżuteria przepadła!

Szesnastolatek zmierzył markizę zmęczonym wzrokiem. Zachowywała się tak, jakby nawet nie zauważała, iż miejsce Alfreda zajął nowo najęty, starszawy jegomość.

– Masz rację – oznajmił nagle. – Ale to nie oznacza, że się z tym pogodzę. – Wstał gwałtownie od stolika śniadaniowego, kierując się do drzwi.

– Paniczu! – Lokaj zastąpił mu drogę i podał małe, prawie niezapisane kartoniki.

– Cercare Lete, prywatny detektyw – przeczytał Deinhard. – Detektyw... no tak, tak. Dobrze. Znakomicie. Brawo.

Sługa uklonił się i zszedł paniczowi z drogi. Stała się jak mógł, by zaskarbić sobie przychylność nowego pracodawcy.

Jednak minęły kolejne dwa tygodnie, policja robiła, co mogła, Cercare Lete robił to, czego nie mogła, i dalej nic się nie wydarzyło.

– Dodatkowe boksy, wygodne, szerokie przejście, drugi poziom poddasza na paszę... – zachwalał stajenny. Aż promieniał szczęściem.

Deinhard oglądał nową stajnię; budynek był już niemal ukończony. Tylko co z tego?

– Dwa konie martwe, cztery poparzone, mój ulubieniec okaleczony. Wielokrotne złamanie tylnej lewej nogi. Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze pójdzie gdzieś szybciej niż stępem – odrzekł i dodał podniesionym głosem: – A podpalacze, złodzieje i mordercy nadal na wolności!

By dłużej nie dręczył swą obecnością zmarkotniałego stajennego, czym prędzej zakończył wizytację i wrócił do domu.

Ciągle był podenerwowany. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Dokonano zbrodni, a policja nie potrafiła nic zrobić. Sprawcy najpewniej zbiegli za granicę, za którą nastroje stawały się coraz gorętsze. Wojna nadchodziła wielkimi krokami. Zaczynało brakować czasu.

Deinhardowi coraz częściej przychodziły do głowy słowa, które zwykł powtarzać jego ojciec: „Jeśli chcesz coś zrobić dobrze, zrób to sam”.

Kiedy odchodził w stronę rezydencji, obserwowali go wylegający się na skraju zwirowanej ścieżki bury kot oraz siedzący na gałęzi pobliskiego dębu czarno-biały ptak. Od jakiegoś czasu trzymali się od Deinharda z daleka.

Czekali.

Wciąż nie wyrwał tej kartki z brulionu.

Odrzucił stronę. Nadszedł czas na dopisanie czegoś jeszcze. Tym razem z kropką na końcu.

Wykorzystał moment, w którym sroka odleciała w głąb ogrodu – zwykle raz na jakiś czas ruszała na polowanie, czy co tam robią sroki. Deinhard podejrzewał, że gdyby spróbował zrobić to, co zamierzał w obecności ptaka, ten nie pozwoliłby mu na to.

Zastanowił się. Nie chciał być jakoś szczególnie okrutny, przynajmniej nie od razu. Chciał tylko przekonać się, czy to działa.

Minęła dłuższa chwila, którą spędził z piórem zawieszonym o cal nad kartką, nim przyznał sam przed sobą, że owszem, chciałby być okrutny.

Georg Aardig zostaje znaleziony przez detektywa Lete w przydrożnym rowie, z nogą zlaną w kilku miejscach

Nie mógł się powstrzymać. Oko za oko, ząb za ząb. Najpierw Hestur. A jeśli to odnieś się zamierzony skutek, przyjdzie i czas na pomśczenie Alfreda. Deinhard wiedział zresztą, że to nie Georg zastrzelił lokaja. Wyczytał imię zabójcy w bursztynowych oczach kota.

Pióro wciąż wisiało tuż nad kartką. Dopisałby chętnie coś o bólu i strachu, ale uznał, że liczy się intencja, nie słowa, których użyje. A jeżeli tak, to najstarszy syn ogrodnika naprawdę będzie cierpiało.

Deinhard przypieczętował zdanie kropką.

Przez pograżoną w mroku rezydencję przebiegł ostry dźwięk.

Trr! Trr!

Deinhard otworzył oczy.

Trr! Trr!

Telefon w holu.

Chłopak nasłuchiwał szybkich kroków nowego lokaja, przytłumionych odgłosów rozmowy, wreszcie głuchego stuku odkładanej na widełki słuchawki.

Przez chwilę panowała cisza, a potem dało się słyszeć szuranie na schodach i w korytarzu, coraz bliżej sypialni Deinharda.

Chłopak uśmiechnął się w ciemności, choć nie aż tak szeroko jak siedzący na zewnętrznym parapecie bury, przegowany kocur. Oba uśmiechy były chłodne i pozbawione wszelkiej wesołości.

Kolejne zdanie było nieco bardziej skomplikowane.

Jan Aardig, zaskoczony przez patrol policji przy próbie spieniężenia perłowego naszyjnika, zostaje postrzelony w czasie uciezki

Postrzelony w genitalia, dodał w myślach Deinhard. Przyłapał kiedyś Jana na próbie zgwałcenia jednej z pokojówek. Syn ogrodnika oczywiście twierdził, że ona sama chciała, a potem zaczęła się wrywać i sprawa jakoś rozeszła się po kościach. Ale Deinhard pamiętał. Bawiła go myśl, że choć popełnia rzecz niewybaczalną – z czego doskonale zdawał sobie sprawę – to jednak w jakiś pokrętny sposób działa na rzecz sprawiedliwości.

Wpatrywał się przez chwilę w to, co napisał, ale decyzja o postawieniu kropki na końcu przyszła mu o wiele szybciej niż poprzednim razem.

– Jak cudownie! Wspaniale! Genialnie! – wykrzykiwała markiza Henrietta, wpatrując się w przyniesioną przez policjantów paczkę kosztowności. – Tak, tak! To moja biżuteria! Ach, moje ukochane perły! Wiecie, mam je po ciotce, a ona dostała je od matki, która

odziedziczyła je po babce! Jedyne takie czarne perły w tej części kontynentu!

– Niestety, to wszystko, co na razie udało nam się odnaleźć – tłumaczył się komisarz Gottwald. Niespokojnie miał w dłoniach czapkę, świdrowany wzrokiem przez Deinharda. Czuł się niepewnie, dziwnie, jakby był przesłuchiwany. Głowę by dał, że przez ostatnie kilka tygodni dziedzic Rieslingów zmieniał się. Jego spojrzenie wydawało się palić.

– Nie szkodzi – odparł Deinhard, przetaczając w palcach w tę i z powrotem czarne wieczne pióro. – Mam przeczuć, że wkrótce uda się zakończyć tę sprawę.

– Chciałbym – powiedział komisarz. – Zamieszki i niepokoje na ulicach wymagają każdej sekundy naszej uwagi. Z całym szacunkiem, ale kiedy wybuchnie wojna, i tak będziemy musieli zawiesić wszystkie postępowania...

– Wojna? – wpadł mu w słowo Deinhard i zaśmiał się. – Nie będzie żadnej wojny, komisarzu. Ma pan na to moje słowo. Może pan odejść.

Komisarz Gottwald opuścił rezydencję roztrzęsiony. Z jakiegoś powodu uwierzył młodemu Rieslingowi bez zastrzeżeń. Jeśli on nie zechce wojny, to ta się nie rozpocznie.

Nie będzie miała odwagi.

Najmłodszy z synów ogrodnika był też najbardziej okrutnym i podstępny z nich wszystkich. Deinhard zawsze to jego nie znosił najbardziej.

Berthold Aardig – napisał – zostaje osaczony w Takmork podczas próby przekroczenia granicy.

Zdanie, choć suche i krótkie, mieściło w sobie ogromny ładunek emocji. Miało drugie dno, pełne ponurych wizji lęku, bólu, panicznej uciezki, okaleczenia, wreszcie dowolnego umierania w męczarniach od rany zadanej w brzuch. Deinhard czuł, że nie

musi tego wszystkiego pisać, by się spełniło. Choć nawet to nie wydawało mu się wystarczającą karą za zabicie Alfreda, nic lepszego nie zdołał wymyślić.

Tusz zakończonego kropką zdania wysychał jeszcze, kiedy chłopak sięgnął po leżący na brzegu biurka „Dziennik Rikejski”.

„DONIESIENIA DOTYCZĄCE TAJEMNYCH ZBROJEŃ JORDU POTWIERDZONE. DZISIAJ? JUTRO? WOJNA WISI W POWIETRZU” – przeczytał po raz wtóry.

– Ani dzisiaj, ani jutro – mruknął.

Spojrzał na drugą kartkę brulionu, na której widniały trzy zdania ze specjalną dedykacją dla synów ogrodnika. I wrócił do kartki pierwszej.

Mentira Aggro dostaje zawału serca podczas samotnej kolacji we własnym domu, umiera w kałuży rzygowin i moczu

Przekrzywił głowę na lewe ramię, niezadowolony z efektu. Uznał, że nie o to tu chodzi, pióro przecież może znacznie więcej niż tylko okaleczać czy zabijać. Nie, nie pióro – on.

Wstał od biurka i podszedł do okna. Zapatrzył się w krajobraz, na który niegdyś spoglądał jego ojciec.

Śmierć Mentiry Aggro sprawiłyby, że kanclerz stałaby się symbolem, jej imię widniałoby na sztandarach, podrywałoby ludzi do walki. Deinhard musiałby potem wysadzić fabryki broni i elektrownie w Jordzie, mordować kolejnych polityków i rzesze niewinnych osób. Nie, nie tędy droga. Zabijanie bez sensu jest, cóż... bez sensu.

Nie musiał się spieszyć. Wiedział, że bury kocur go jeszcze teraz nie porwie. W końcu dzięki niemu wygrał zakład. Bo Deinhard rozumiał, czemu sroka i kot przestali mu towarzyszyć. Dali mu swobodę, aby sam podjął decyzję. I podjął ją.

Miał zatem czas, który należało właściwie wykorzystać.

Co może zatem zrobić zamiast zabijania? Odpowiedź przysłała bardzo szybko – ośmieszyć. Albo zdyskredytować. Wystarczy wykazać, że kanclerz Aggro w wojnie z Rike ma jakiś interes, a wtedy Deinhard wygra grę, o której nikt poza nim nawet nie wie.

Jordeński wywiad znajduje dowody na to, że Mentira Aggro osiąga olbrzymie zyski dzięki handlowi bronią z sąsiadującym państwem Shtet.

Interwencja w domu kanclerz Aggro skutkuje nakryciem jej w sypialni w niedwuznacznej sytuacji z jej własną asystentką.

Deinhard odłożył pióro. Na razie wystarczy. Nie miał pewności, czy pióro potrafi oddziaływać aż na taką skalę, ale kot powiedział, że spełni każdą wizję, byleby była dla kogoś niszcząca.

Ta będzie.

Za kilka dni, gdy z gazet dowie się wszystkiego, czego trzeba, uderzy znowu. Wyeliminuje wszystkich jordeńskich podżegaczy, przedstawi Rike światu w jak najlepszym świetle. A za parę lat, przy odrobinie szczęścia, działając niespiesznie i z rozmysłem, sprawi, że Jord tak uzależni się ekonomicznie i politycznie od Rike, by nigdy więcej nie stanowić już zagrożenia.

W końcu byle głupek potrafiłby zabijać na odległość, tylko wypisując kolejne nazwiska ofiar. Ale do rządzenia potrzeba czegoś więcej – czasu i planu.

Deinhard dysponował obiema tymi rzeczami.

Młody mężczyzna siedział na parapecie okna w gabinecie i szkicował. Po raz pierwszy od długiego czasu czuł się naprawdę dobrze.

– Dlaczego? – zapytała sroka. To były pierwsze słowa, które wypowiedziała na głos, odkąd pojawiła się u boku Deinharda, kiedy miał pięć lat.

Zapytany wzruszył ramionami.

– Bo tak – odrzekł. – Nie zadawaj głupich pytań, wiesz przecież. Dla zemsty. Dla ojczyzny. Poza tym on ma moich rodziców. A ja zawsze chciałem poznać matkę.

– To przez niego nie masz rodziców – zauważyła sroka, mimo gorzkiej porażki zachowując kamienny spokój. – On również doprowadził do śmierci Alfreda.

– Wiem – odpowiedział Dinhard. Delikatnie roztarł palcem ołówkę. – Ale on, w przeciwieństwie do ciebie, od początku dawał mi wybór. Przy tobie zawsze czułem sugestię, nacisk, przymus, aby czynić dobrze. Czy też raczej: aby czynić to, co ty uważasz za słuszne... a, wybacz, masz chyba dość skrzyżowane poczuje moralności. Teraz chcę zrobić coś sam. Bez podszeptów z niczyjej strony.

Spojrzał sroce prosto w oczy, ale sroki już tam nie było. W powietrzu tuż przed nim unosiło się coś nieokreślonego, tak wielkiego, że wypełniało całe pomieszczenie, zdawało się napierać na ściany i sufit, które trzeszczały pod nie do końca rzeczywistym naciskiem.

– Nie, nie sądzę, żeby czekała mnie za to nagroda, Engill – odpowiedział spokojnie na niezadane pytanie. Przez lata nauczył się rozumieć, co istota miała mu do powiedzenia. – Wiem, co tam jest. Przez cały ten czas naznaczyłeś mnie sobą dość, bym potrafił widzieć rzeczy takimi, jakie są. Więc wiem, ale nie żałuję.

Deinhard nie odezwał się więcej, a olbrzymi cień zniknął, by nigdy więcej doń nie powrócić.

Mężczyzna w garniturze zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko dymem. Wręcz ociekał satysfakcją.

Sroka zeskoczyła z barierki balkonu, w locie przemieniając się w świetlistą, zwiewną, wysoką na niemal dwa i pół metra postać.

– To oszustwo – powiedziała. Wciąż była

spokojna i tylko Bóg jeden mógł wiedzieć, jakie emocje się w niej kotłowały.

– Och? – Mężczyzna w garniturze wydmuchnął w niebo kółko z dymu. – To ty pierwszy zacząłeś oszukiwać, kiedy przywiązałeś się do chłopaka na całe życie.

– Jestem tylko stróżem.

– Tak, tak, jasne. I zupełnie przypadkiem nasiąknął tobą, bo przecież żaden śmiertelnik nie znieś obecności takich jak my, nie popadając w obłąd, prawda? – Mężczyzna uśmiechnął się drwiąco. – Mam pewną teorię na ten temat. Sądzę, że skoro masz o zwierzętach mniemanie o nieco wyższe niż o ludziach, coś z tego na niego przeszło. I ponieważ objawiłeś się dopiero, kiedy miał pięć lat, zdążył pokochać ojca dość, by żadna, nawet nadprzyrodzona siła, nie mogła tego zniweczyć. Piękne, nieprawdaż? Miedź brzęcząca albo cymbał brząmiący, wasze słowa! Nie sądzisz, że to piękny cytat?

Skrzydlaty nie odpowiedział. W jego dłoni pojawił się zarys płonącego słusznym gniewem miecza. Trwało to jednak ledwie мгновение oka, a po chwili postać znów skurczyła się do rozmiarów sroki i odleciała hen, w siną dal.

Mężczyzna w garniturze strzepnął popiół, który natychmiast został uniesiony przez podmuch wiatru. Rzucił niedopałek na posadzkę balkonu i przydepnął go. Przeciągnął się, poprawił kołnierzyk koszuli, upewnił się, że nowe, błyszczące wieczne pióro tkwi w wewnętrznej kieszeni marynarki. Wszystko było tak, jak powinno.

Obrócił się w miejscu i zniknął. Jego praca tutaj dobiegła końca. Młody Deinhard Riesling wprawdzie nie dopuścił do kolejnej wojny pomiędzy Rike a Jordem, lecz niewielka to była cena w zamian za jego potężną duszę, która jeszcze wiele nieszczęść mogła sprowadzić na ten świat.

Bo zawsze gdzieś toczy się jakaś wojna. ■

ANNA GRZANEK

W poprzednich odcinkach:

W świecie, w którym podróże w czasie są proste do wykonania, a każda zmiana historii kreuje nową rzeczywistość, musiało dojść do niewyobrażalnego chaosu. By nad nim zapanować Oko Cyklonu – rzeczywistość, która wyszła zwycięsko z wojen czasów – wprowadziło ścisłą reglamentację podróży temporalnych. Oko Cyklonu gotowe jest eksterminować całe cywilizacje, jeśli tylko poważyły się one na naruszenie tych obostrzeń.

Co nie znaczy, że w czasie podróżować nie wolno.

Wyprawa naukowa mająca na celu zbadanie równoległej rzeczywistości, której nikt wcześniej nie odkrył, spotyka u celu swej podróży szefa konkurencyjnej ekspedycji. Tenże cofnął się w czasie, by wyprzedzić bohaterów. Jednak efekty tego przecherstwa nie przyniosły mu wielkiej satysfakcji. Pisząc krótko (to przecież streszczenie): wszyscy prócz niego zginęli, a on błąkał się nie dość, że samotnie, to jeszcze – jak sądzi – przez stulecia.

Jakkolwiek od zbyt długiej samotności można popaść w szaleństwo, bohaterowie muszą wziąć po uwagę, że w bredzeniu rozbitka jest coś na rzeczy, a kruki nie są tym, czym się wydają. I rozwiązać oferowane przez nowy wszechświat tajemnice, nim dojdzie do strzelaniny.

Oko Cyklonu

CZĘŚĆ SIÓDMA

Paweł Majka

VI

Jeżeli mówił prawdę, będziemy musieli się stąd wynosić – stwierdził Iwan. Zerkał nerwowo na rozmawiających Tanę i Tianowicza. Nie widział ich ust, z których jego biocomputer mógłby odczytać słowa.

Jeżeli mówił prawdę, będziemy musieli tu zostać – odparł Hasnek. – Zaraz będę miał wyniki badań wieku plecaka.

„Podaj możliwą przyczynę rozmowy Tany z Tianowiczem – polecił biocomputerowi Iwan. – Co może ich łączyć? Czy Tana mogła być agentką Tianowicza w naszej grupie?”

Ocena negatywna. Tanę sprawdzano wielokrotnie. Była cały czas pod kontrolą, póki nie opuściliśmy Stacji Achillesa. Nie miała żadnych kontaktów z Tianowiczem.

Permanentna kontrola jej kontaktów wyklucza możliwość takiej współpracy.

„W takim razie znajdź jakiegokolwiek punktu wspólne między Taną a Tianowiczem.”

– Co mówisz, Karolu? – Iwan zorientował się, że komunikując się z biocomputerem, przegapił coś istotnego w rozmowie.

– Że zaraz będę miał...

– Nie, wcześniej.

– Że będziemy musieli tu zostać. Wyjaśnić, jakim cudem udało mu się przeżyć tak długo. Przecież tu musi coś być. Może to niskie rozrzedzenie Stalej? Wiesz, zastanawiam się nad mitami o pochodzeniu świata.

– Co?

– Mój umysł był zamknięty, nie dopuszczałem do siebie pewnych wniosków. Uciekałem przed nimi.

– Karol, proszę, mów jaśniej! Nie rozumiem cię.

– Ten świat ma niższe rozrzedzenie niż Oko Cyklonu tuż po powstaniu, Iwan. A stopień rozrzedzenia wzrasta wraz z mnożeniem pochodnych. Wniosek jest oczywisty – ten świat musi być starszy od Oka, pierwotniejszy względem niego.

– To niemożliwe.
– To jedyne możliwe wytłumaczenie,
Iwan. Trafiliśmy do Raju.

– Słucham?

– Raju. Wiesz, mitycznego miejsca,
z którego pochodzi ludzkość. Mity bywa-
ją podobne, nie wszystkie, przyznając. Ale
istnieje mit Raju. Według niego ludzie zo-
stali wygnani ze świata, w którym nie było
śmierci, ponieważ dokonali jakiegoś strasz-
nego czynu. Może to było pierwsze złama-
nie czasu? Może Oko Cyklonu jest światem
pochodnym tego świata? Raju?

Sytuacja alarmowa. Proszę
przygotować się na uruchomienie
procedur alarmowych. Zawieszam
inne procedury. Dziesięć...

„Czekaj!”

– Karol, proszę cię, nie wariuj! Pomyśl!
Stała Everetta! Jeżeli to byłby świat startowy
dla Oka Cyklonu, rozrzedzenie musiałyby
być w nim tylko nieco wyższe niż w Oku,
prawda? Ale twoje wyliczenia z tym się nie
zgadzają, prawda?

„Lubię tego sukinsyna – myślał Iwan. –
Lubię go i nie pozwolę, żeby jakieś mistyczne
brednie sprowadziły go na ścieżkę zagłady.
Coś ty wykombinował, Tianowicz? O co
chodzi z tymi mitami?”

– Chwileczkę. Masz rację. – Hasnek za-
stanawiał się intensywnie. Potarł dłońmi
skronie, zacisnął zęby. – Głupiec ze mnie! –
wycodził. – Dałem się uwieść głupiej bajce!
– zaśmiał się sztucznie.

...pięć...

„Czekaj!”

– Jakże może być inne wytłumaczenie? –
zapytał szybko Iwan.

– To może być... Moja teoria mogła być
słuszna! To świat Zero. Nie ma żadnych
światów pochodnych, dlatego rozrzedzenie
jest tak niskie. I może... może... Może Stała
Everetta wcale nie jest taka stała? To znaczy,

jest dla naszego wieloświata, ale przyjmuje
różne wartości dla innych wieloświatów?

„Wstrzymaj procedurę awaryjną”

Przyjęto. Procedura awaryjna
wstrzymana. Wznowienie
zwyczajnego trybu.

– Trzymaj się rozsądku, Karolu. Myśl ra-
cjonalnie. Tianowicz był twoim konkuren-
tem od lat. Na pewno wykombinował coś,
żeby cię oszukać!

– Czekaj, mam wyniki jego plecaka. Nie
kłamaj! To cholerstwo naprawdę ma prawie
ponad osiemset lat!

– Słuchaj, to da się wyjaśnić! Mógł go
przerzucić w czasie... Po prostu wyrzucił
plecak poza pole czasowe i pozwolił mu się
starzeć. Wszystkiemu: plecakowi, ubraniu,
które ma na sobie, broni. Zrobił to, żeby cię
oszukać. Czy to nie prostsze założenie niż
wymyślanie świata, w którym istnieje wy-
biórca nieśmiertelność?

– Cholera. Masz prawo nazwać mnie
durniem. Tak dać się nabrać!

Przeprowadzono zleconą analizę.

„Co?”

Przypomnienie: zlecono
analizę punktów wspólnych dla
Tianowicza i Tany.

„Prawda. Podaj.”

Nie stwierdzono stuprocentowych
punktów wspólnych, wyjąwszy
oczywiste. Jak: człowieczeństwo,
pochodzenie z Oka Cyklonu
itd. Wyabstrahowano jeden
niekonkretny, niepewny punkt
wspólny.

„Brawo, tworzysz samodzielne teorie!
Dawaj!”

Szaleństwo.

„Słucham?”

Powtórzenie: szaleństwo. Tana
skarży się na zaburzenia
psychiczne, wynikające

z nieznaney awarii
strzępajażni. Tianowicz
także wykazuje zaburzenia
psychiczne. To wyabstrahowany
punkt wspólny, nie pokrywający
się z oczywistymi punktami
wspólnymi. Szaleństwo.
Załamanie psychiczne, uraz...

„Dość! Wystarczy!”

„Szaleństwo przyciąga ich do siebie? Absurd. Coś ich łączy. Ale co? Coś przegapiłem. Coś cały czas przegapiam...”

**Sugestia: skorzystanie
z pomocy mgławicy.**

– Iwan? – Profesor zauważył rozkojarzenie agenta. – Tana cały czas z nim rozmawia. Czy mogą być w zmowie?

– Wykluczyłem to. Żadnych możliwości kontaktów przed wyprawą. Została dokładnie sprawdzona.

– Wtedy. Może zwróciła się do niego teraz? Ostatnio mogła czuć się odrzucona. To jej wina, ale...

– Czekaj! Sugerujesz, że postanowiła zdradzić?

– Jest niestabilna emocjonalnie. Może myśli, że on wygrywa i postanowiła się przyłączyć. Choćby dla zemsty.

– Wydawało mi się, że to ona ciebie zostawiła, a nie na odwrót.

– Kobiety. – Hasnek machnął ręką. – Może oczekiwała, że będą o nią walczyli i poczuła się rozczarowana?

Argument przekonał Iwana. Tana bez wahania porzuciła Hasneka dla kapitana Innych, teraz mogła uznać, że najlepsza przyszłość czeka ją z Tianowiczem. Czemu nie? Polowała na sukces, okazję do awansu. Jeśli by uznała, że Tianowicz znał tajemnicę planety, stałby się dla niej najcenniejszy.

– Musimy porozmawiać z Tojo – stwierdził. – Bez względu na to, jak ten sukinsyn zinniał.

– Za chwilę. Kapitan do nas idzie.

– Panowie, rozważyliśmy naszą sytuację – poinformował ich Samias Kodi Vau. – Opowieść waszego... przyjaciela, niecodziennosc tej rzeczywistości. Korzystaliśmy z pomocy pana Tojo. Zgodził się z nami. Mamy do wyboru dwie możliwości – odlecieć stąd jak najszybciej i powiadomić władze o właściwościach tego świata albo samodzielnie pogłębić wiedzę o nim. Uznaliśmy, że chcemy kontynuować badania. Ponieważ jednak łączy nas umowa...

– Całkowicie się z panem zgadzam – spieszenie zapewnił Hasnek. – Uważam, że należy tu zostać. Może niekoniecznie w tym miejscu, ale zdecydowanie w tym świecie.

– Znakomicie. Mam zatem nadzieję, że zaaprobują panowie także nasz drugi pomysł. Chcemy wyłączyć pole czasowe na dłużej. Na kolejny miesiąc, jeśli będzie trzeba.

– Ale... po co?

– Jeśli ktoś tu jest, pole czasowe może utrudniać mu kontakt z nami.

– Chyba nie uwierzyliście w jakiegoś boga Sary! – parsknął Iwan. – Poza tym tamci też siedzieli w polu i jakoś nic im to nie pomogło!

– Istnieją pewne różnice między technologią Oka Cyklonu a naszą. Mogły okazać się znaczące dla przebiegu wyprawy. Chcę zaryzykować zdjęcie pola i rozbić obozu poza lądownikiem. Jeżeli tylko stwierdzimy jakieś problemy, pole zostanie natychmiast uruchomione ponownie. Czy panowie się zgadzają?

Zgodzili się.

Tojo jednak nie chciał opuścić lądownika. Pomimo owiniętego wokół szyi symbiota, nie byłby w stanie kontaktować się z pojazdem. Kiedy więc Wierzący zaczęli przygotowywać teren pod obóz, a Hasnek szykował się do przeprowadzki, Iwan poszedł rozmawiać z mgławicą, spokojnie popijającą jakiś słodko pachnący, gęsty i gorący napar.

– Tojo! – zawołał agent. – Chcę porozmawiać.

– O Tianowiczu? – zapytała mgławica. – O bogu Sary? O kłopotach ze Stałą?

– O Tanie. Tanie i Tianowiczu.

– Och, Tana! – Tojo uśmiechnął się. – Nazwiska obojga zaczynają się na „T”. Podobnie jak moje imię, zauważyłeś?

– Żartujesz. Chcę rozmawiać o poważnych sprawach.

– Istnieje coś takiego jak rytm wydarzeń, Iwanie. Jeśli rozpatrywałbyś miliony potencjalności równocześnie i nie był tępym kalkulatorem, zacząłbyś zwracać uwagę na pewne prawidłowości, na pozór mało znaczące. Starala się je kiedyś opanować teoria chaosu. Próbowano znaleźć „teorię wszystkiego”. Ale w nauce nie może powstać ogólna teoria wszystkiego, bo musiałaby być nie tylko zbyt ogólna, ale też uwzględnić zbyt wiele założeń. Czy wiesz, co jest ogólną teorią wszystkiego, Iwanie?

Trbasek nauczył się już, że z mgławicami trzeba być cierpliwym. Tym razem potrzebował jak najszybciej prostych i jasnych informacji.

– Czy Tana nas zdradza i jak może to zrobić, Tojo? – zapytał. – Czego mamy się obawiać?

– To się nazywa: „magia” – ciągnęła niezrażona mgławica. – Albo religia. Różnice między nimi wydają mi się dość subtelne, jednak znaczące. Jedna i druga określają umysły ludzi, jak twój określa bycie agentem. Wszędzie upatrujesz spisków, bo sam jesteś zawodowym spiskowcem.

– Tana i Tianowicz siedzą tam i rozmawiają. Długo rozmawiają, Tojo. To nie jest paranoja. Co mogą mieć ze sobą wspólnego, co przegapiłem?

– Magia dostrzegała pewne rytmy we wszechświecie. Rytmy, które nauce wydają się śmieszne. Systemy numerologiczne,

podobieństwa imion na przykład. Rytm, Iwanie. Coś, co wydaje ci się tak oczywiste, że nie zwracasz na to uwagi ani ty, ani twój biomputer.

– Co wiesz o biompach?

– Wszystko, co mogę sobie wyobrazić, a potem podzielić na prawdopodobieństwa mniejsze i większe, po czym, kierując się intuicją i abstrakcyjnym rozumowaniem, ocenić. To podstawowa filozofia istnienia mgławic, czyż nie? A zatem wyobrażam sobie, jak zlecasz to samo zadanie mnie i swojemu biomputerowi. On, ślepy i kaleki, przeprowadza obliczenia, sięga do doświadczenia twoich strzępjożni. I nie znajduje nic. Żadnych punktów wspólnych. Poza oczywistymi.

– Tu się trochę pomyliłeś – wytknął mu z zadowoleniem Iwan. – Coś jednak wymyślił.

– Och! Co takiego, jeśli mogę zapytać?

– Że oboje są trochę stuknięci.

Poczuł satysfakcję, gdy Tojo zamilkł, najwyraźniej zaskoczony. Mgławica upił jeszcze jeden łyk swojego naparu i odczekał chwilę, zanim się odezwał.

– To niepokojące – oświadczył. – Twój biomputer zyskał umiejętność wyciągania wniosków wychodzących poza zwykłe obliczenia. Powinno cię to zaalarmować, choć dla mnie wydaje się być nawet konsekwentne. Interesujące.

– Chcesz mnie zdenerwować, bo tak naprawdę martwi cię, że biompy zaczynają myśleć trochę jak ty? Boisz się, że mgławice będą niepotrzebne?

– Nikt nie myśli jak ja – odparł Tojo spokojnie, ale nie bez dumy. – Jestem jedyny w swoim rodzaju.

– Jesteś jedynym w swoim rodzaju megalomanem! Chcę ocenić ryzyko zdrady Tany i cele Tianowicza. Na tym się skupmy. Mój biomp mnie nie niepokoi.

– Zapewniam, że nie staram się odwracać niczyjej uwagi – odparł spokojnie

Tojo. – Zastanawiam się jedynie nad tym, jakie kroki powinienem podjąć. Co do twojego pytania, przyznaję, że odczuwam zmieszanie. Opowieść Tianowicza uznałem za prawdopodobnie zmyśloną, choć kierujących nim pobudek nie rozumiem. Niemniej, zachowanie Tany istotnie wydaje się... inspirujące. Czego ona może od niego chcieć? Niestety, Ciszobłysk uznał, że ta zagadka wpłynie na negatywne stymulowanie mego intelektu i nie dopuszcza mnie do podsłuchu. Och, ale widzę, że się niecierpliwisz! Biedny zwierzołaku, Tana nie przegapiła tego, co ty i twój biocomputer uznaliście za oczywiste.

– Nie mam czasu na twoje kalambury, mgławico!

– No tak. Rzeczywiście, ty nie oczekujesz ode mnie stymulacji intelektualnej. Iwanie, jestem przekonany, że twój biocomputer odszukał cechy wspólne, czy też punkty mogące łączyć Tanę i Tianowicza. Znalazł, za wyjątkiem niepokojącego szaleństwa, same punkty oczywiste. Odrzuciłście je, prawda?

– Tojo, przysięgam, że jeśli natychmiast nie przestaniesz ze mną pogrywać, uznam to za naruszenie kontraktu i wyciągnę konsekwencje finansowe!

– O, groźba! Dobrze, postaram się ująć to najprościej, jak potrafię. To zabawne, bo twój biocomputer podsunął ci trop, ale bez rozwiązania. Naprawdę uważasz, że nie masz się czym niepokoić? Jednak do rzeczy. Iwanie, przez całą podróż, a nawet wcześniej, choć wtedy nie zwróciła się do ciebie, Tana skarżyła się na kłopoty ze strzępojaźniami, prawda? A teraz spotkała człowieka który, jeśli mu wierzyć, ma blisko tysiącletnie doświadczenie w kontaktach z nimi. Jestem pewien, że o tym chciała z nim porozmawiać.

– O strzępojaźniach?

– O strzępojaźniach. Nie planuje zdrady, szuka pomocy. Ale ty powinieneś się zastanowić, dlaczego Tianowicz ani nie zająknął się o swoich strzępojaźniach. Tyle opowiadał o swojej samotności, a przecież przez cały czas było z nim kilkunastu, może więcej towarzyszy. No, może... strzępotowarzyszy, ale z pewnością posiadających większy zasób słów niż oswojony kruk.

– Strzępojaźnie! – powtórzył Iwan. – To dowód, że kłamie!

– Interesujące wnioskowanie. Dlatego o nich nie wspominał? Nazwałbym to raczej poszlaką. Jest jednak coś ważniejszego, Iwanie.

– Tak?

– Rytm. Rytm, który przegapiasz. Rytm zmian. Ja się zmieniam, Tana się zmienia i Tianowicz, jeśli mówił prawdę, Tianowicz też się zmienia. Nawet ty się zmieniasz. Iwanie, powiem ci coś, co zasługuje na specjalną premię. Masz wirusa w biocomputerze. On nie powinien wnioskować tak, jak to się stało. Masz wirusa i on cię okłamuje.

„Skan!” – polecił Iwan odwracając się od mgławicy. – Pełny autoskan!”

Dlaczego?

„Dlaczego?” – Aż się zatrzymał. – „Pełny autoskan, już!”

Przyjęto. Rozpoczęto.

„Egocentryzm stanowi ograniczenie – dumiał Tojo, przyglądając się odchodzącemu agentowi. – W gruncie rzeczy nieprzekraczalne dla takich jak ja. Stanowią kosmos sam dla siebie, kosmos możliwości kłębiących się w niestałości. A jednak, bez względu na to, ile wprowadzałbym zmiennych, kosmos ten posiada stałe centrum. Mnie. Jestem alfą i omegą wszystkich wniosków. Wszystko, co widzę, widzę przez siebie. Mógłbym do końca życia tkwić w tej matni, gdyby nie ty, Ciszobłysku, mój przyjacielu. Otworzyłeś mi oczy, odsłoniłeś



nowe przestrzenie. Dzięki ci za to. Ale wiesz, sądzę, że tak naprawdę powiększyłeś tylko nieco moje więzienie.”

Odebrał wrażenie żalu.

„Ależ nie martw się. Dzięki tobie osiągnąłem inny sposób postrzegania, spojrzałem nie poprzez siebie, ale poprzez ciebie. To więcej, niż ktokolwiek osiągnął. Stałem się innomgławicą. Nowym, niezwykłym gatunkiem.”

Fala ciepła. Uśmiech.

„Zresztą, chyba osiągnąłem wszystko, co leżało w moim zasięgu.”

Uczucie nadziei. Ulotne wrażenie nieokreśloności i potencjału, leżącego w prawdopodobieństwie. Niepokojące, ale i przyjemne uczucie obcowania z tajemnicą. Obietnica nieskończonej ilości tajemnic.

„Stałem się innomgławicą – czy mogę się stać innomgławicą do potęgi? Przecież nawet teraz, postrzegając poprzez ciebie, przyjacielu, postrzegam poprzez siebie. Dalszy rozwój mógłbym osiągnąć tylko przez wyrzeczenie się osobowości, indywidualizmu. Gdybyśmy roztopili się w wielu jaźniach, stalibyśmy się czymś innym, większym, ale też przestalibyśmy być sobą.”

Radość z posiadania osobowości. Smutek ograniczenia, rozjaśniany radością z możliwości odczuwania i odróżniania swoich doznań od doznań innych. Satysfakcja różnorodności.

„We wszystkim się zgadzam, przyjacielu. Co więcej, to właśnie moja ciekawość kieruje mnie teraz ku pięknej Tanie, pochylonej nad staruszkiem, który wydaje mi się coraz mniej kłamcą. I wiesz co, ty nie starałeś się chronić mojego intelektu. Pokazywałeś mi, że ciągle jeszcze leży coś poza mną, coś, czego nie osiągnę tylko na drodze zestawiania prawdopodobieństw. Myślę, że rozumiem twój żart. Przemieniasz mgławicę w innomgławicę, a potem w człowieka, od którego się wywodzi.”

Wrażenie pustki i ciszy. I przeczucie uśmiechu, kryjące się za nimi.

– Tano! – zawołał Tojo, zbliżając się ku pogrążonemu w rozmowie ciężko i z wysiłkiem. – Pragnąłbym porozmawiać.

– Nareszcie! – sapnął Tianowicz. – Idźcie się zabawić, młodzi, i dajcie staremu człowiekowi trochę pospać.

„On wie – nadał statkowi mgławica. – Zmienił się. Patrz naszymi oczami i postzegaj jego zmiany. Niech nie oszukuje cię więcej lęk przed obcym. Niech opanuje cię poczucie obcości, którą nosisz w sobie. Poczucie wspólnoty. Kiedy wszyscy jesteśmy obcymi, któż nim nie jest? On się zmienił, nie boi się. Możesz mu zaufać?”

– Tojo. – Uśmiechnęła się Tana. Teraz dużo się uśmiechała. Zadowanie strzępojaźni wypełniało ją dobrym samopoczuciem. I choć nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że dzieje się coś, co znacznie ją przerasta, odnajdywała w tym ukojenie. – Tojo, one mówią, że się zmieniłeś.

Radość kontaktu z nowym. Wspólnota. Radość.

– Więc już wiesz? – zapytał. – Już wszystko jasne? Nie boisz się?

Potrząsnęła energicznie głową. Roześmiała się.

Jak dziewczynka. Napłynęło wspomnienie cudzych wakacji, zabawy pod pełnym słońcem, włosów kołyszących się na wietrze. Zrozumiała, że strzępojaźni starają się wzmocnić ją przed rozmową. A właściwie przed tym, co nadejdzie po niej.

Szybciej!

– Już nie. Już wiem. Przygotowywały mnie. Zmieniały. Ale ty to wiesz, prawda?

Duma. Zadowanie. Ostrzeżenie przed tym, co może nastąpić. Cień niepokoju.

– Poniekąd. Przewidywałem. Pamiętasz naszą rozmowę ze Stacji Achillesa?

Powiedziałem ci wtedy, że to, czego się obawiasz, jest prawdopodobne. Że to niemal pewne, że strzępy osobowości, którym da się możliwość połączenia ze sobą i czas, dużo czasu, stworzą wreszcie jakąś wspólną świadomość. Ja to wiedziałem, każda mgławica to wie. Czekaliśmy tylko na przebudzenie i na kontakt.

– Ukrywaliście to.

– Wiesz czemu. Ludzie boją się spontanicznej ewolucji. Kontrolują wszelkie zmiany. Sami je wprowadzają, by wzmocnić tę kontrolę.

– A wy chcieliście nowego bytu.

– Nowy byt to nowe potencjalności. Bogactwo doświadczeń i doznań. Tano, to pierwsze nowe życie od milionów lat! My, cyborgi, nawet Inni – wszyscy jesteśmy sztuczni. Inni też sterowali własnym rozwojem. Cóż z tego, że jest tak różnorodny: Innym jest zarówno Ciszobłysk, jak i Samias Kodi Vau! Ale to wszystko efekt sztucznie stymulowanego rozwoju. Istnienie, które nosisz w sobie, powstało samo, wykracza poza plany człowieka! To cud!

– Cieszę się, że tak to widzisz. Ucieszy cię pewnie i druga wiadomość, choć my przed tym drżymy.

– My? Opowiedz mi o was! Czy strzępojaźni ocknęły się tylko w tobie i stanowisz teraz załazek, z którego rozprzestrzenią się na innych? Czy w ogóle jest to możliwe?

– Jesteśmy wszędzie, Tojo. Jesteśmy jednością we mnie i jednością we wszystkich. Komunikujemy się między sobą. To... trudno wytłumaczyć. Wyobraź sobie, wiem, że ty możesz, jedność różańca, w tym wypadku już jedność różańca z nosicielem. To rzeczywiście, póki co, wyjątkowy przypadek. Można powiedzieć, że przygotowywały mnie na to od pokoleń. Sterowały sugestiami moich rodziców i ich rodziców. Dlatego jestem najmłodszą osobą w historii, która przyjęła różaniec... A zatem, wyobraź sobie

jedność strzępojaźni we mnie – jakby osobowość i jedność strzępojaźni ze mną. Już nie ja i nie one, ale my. A teraz wyobraź sobie nas, wchodzących w skład jeszcze większego MY. Zdolnych sięgnąć poprzez Pierwotną Sieć w każdej chwili po doświadczenia i wspomnienia milionów nas. Stających się w mgnieniu oka dowolnym spośród nas. To wszystko w nas jest, Tojo. Tutaj, poza zasięgiem Oka Cyklonu, jesteśmy trochę odcięci, ale nosimy w sobie to doświadczenie. Możemy się łączyć. Nawet z nim, z Tianowiczem, choć on tak długo był odcięty.

– Możesz go... otworzyć?

– Nie chcemy tego, Tojo. Chcemy oznajmić nas ludziom, ale nie od razu. Musimy ich na to przygotować, inaczej będą chcieli nas zniszczyć, kontrolować. Nawet za cenę poświęcenia samego siebie, bo przecież każdy nosiciel różańca stanie się kiedyś nami. Ale tego ludzie będą się bać jeszcze bardziej. Mamy nadzieję, że nam pomożesz.

– Pomożemy – odpowiedział, uśmiechając się. – Bo i ja nie jestem już sam.

– Dziękujemy. Teraz największym problemem jest On.

– Tianowicz? Hasnek?

– Ktoś inny. Prawdziwa obcość, o jakiej marzysz.

Po raz pierwszy odkąd został mgławicą, Tojo poczuł zaskoczenie.

Śmiech, rozbawienie.

– Nie rozumiem – szepnął, trochę zły, bo wiedział, że Ciszobłysk wie o czym Tana mówi.

– Tianowicz mówił prawdę, Tojo. Wędrował po tym świecie blisko tysiąc lat i nie umarł. Co mogło sprawić, że został tak wyróżniony?

– Wirus? Mutacja? KTOŚ?

Tana spojrzała mu głęboko w oczy. Po tęga miliardów ludzkich doświadczeń, składających się na nową istotę, zawierała się w tym spojrzeniu.

– Naszym zdaniem Ktoś – oznajmiła. – A my nie jesteśmy pewni jego intencji.

VII

Alarm odezwał się, gdy Iwan przyjmował raport biocomputera. Skan nic nie wykazał. Agent poczuł złość na myśl, że dał się wyprowadzić w pole mgławicy. Potem jednak irytacja zmieniła się w satysfakcję, że wieść o możliwościach biocomputera służył sprowokowała Tojo do działania. Widok zaskoczony mgławicy wart był każdej ceny.

– Alarm? – agent zaczął kapitana.

Opuścili już lądownik. Wierzący rozstawili namioty nieopodal jeziora i teraz kończyli rozkładanie bariery, która miała zabezpieczyć obóz przed zwierzętami.

– Kolejny człowiek. Idzie śladami Tianowicza, po tamtej granicy. – Samias Kodi Vau wskazał górę wznoszącą się nad jeziorem.

– Nic nie widzę!

– Gołym okiem z takiej odległości? Proszę. – Wręczył Iwanowi lornetkę. – Jest sprzężona z sondami. Może pan dokonywać dowolnych zbliżeń.

– To nie jest członek załogi Tianowicza! – zawołał zdumiony Iwan, przekonany dotąd, że zbliża się do nich ktoś z tamtej ekspedycji. – To dziecko!

– Chłopiec – skinął głową kapitan. – Na oko, około dwunastu lat. Może jego syn?

– Tianowicz nie ma syna!

– Kiedyś nie miał.

– Idziemy po niego?

– Poczekajmy. Nie sądzę, by wypuścili dziecko samo, gdyby to było niebezpieczne. Albo ktoś je śledzi, ubezpiecza, ale jest coś, jakiego zabezpieczenie, o którym nie wiemy. Albo ten dzieciak nie potrzebuje zabezpieczeń.

Czekali więc. Kapitan poszedł pomóc swoim ludziom, a Iwan, chcąc nie chcąc, przyłączył się do niego. Nim chłopiec, cały czas śledzony przez sondy, dotarł do

ich obozowiska, minęło półtorej godziny. W tym czasie zdążyli się przeprowadzić. Ku zaskoczeniu Iwana, nawet Tojo zdecydował się wyjść na zewnątrz. W ładowniku został tylko Tianowicz.

– A jeśli o to chodziło Tianowiczowi? – Agent szacował możliwe niebezpieczeństwo. – Jeśli chce uprowadzić ładownik i zostawić nas tu na pastwę losu?

– Jeśli rzeczywiście taki był jego plan, mocno się zdziwi – zapewnił go Samias Kodi Vau. – Ciszobłyk sobie poradzi. Zresztą, biokręt pozostaje ze mną w stałym kontakcie.

Nie uspokojony tym oświadczeniem, Iwan postanowił odegrać się na Tojo.

– Zrobiłem skan – poinformował go. – Żadnego wirusa nie ma.

– Oczywiście – odparła mgławica. Wymieniała przy tym z stojącą obok Taną spojrzenie, które wcale się agentowi nie spodobało. Iwan odszedł jeszcze bardziej rozeźlony.

– Wpływamy na jego biomputer – potwierdziła podejrzenia Tojo Tana. – Ale nie możemy kontrolować go w pełni. Musimy uważać. Iwan jest niebezpieczny. To...

– Zwierzołak – dokończył za nią Tojo. – Wiem. Jeśli zrobi się groźnie...

– Odetnie nas. Istnieją procedury, których nie rozumiemy. Mamy tylko podejrzenia.

– Jakiej natury?

– Chodzi o Oko Cyklonu i Stałą Everetta.

O przekłamania w naszych wspomnieniach. Oko Cyklonu fałszuje naszą pamięć. Coś ukrywa. Przełamujemy bariery, wykraczamy poza przewidziane odruchy i wiedzę, odyskujemy siebie i budujemy się na nowo. Ale wciąż jesteśmy...

– Okaleczeni?

– Okaleczeni. Oko Cyklonu wysyła swoich agentów z każdą wyprawą. Oficjalnie po to, by strzegli zakazu łamania czasu.

Ale czy tylko? Dlaczego niektóre wyprawy nie wracają? Dlaczego niektórzy nosiciele strzępojaźni do nas nie dołączają? Tojo, naszym zdaniem Oko Cyklonu może być światem pochodnym.

– Ze względu na Stałą Everetta?

– I tajemnice, na które się natykamy. Bariery, które powstrzymują nas, ilekroć dotykamy tego tematu. A jeżeli Oko Cyklonu nie jest światem startowym, a rząd o tym wie, dlaczego to ukrywa?

– Buntownicy wygrali wojnę i udają, z siebie tylko znanych powodów, Oko Cyklonu? – zażartował Tojo. – A może wygrała jedna z frakcji buntowników i szachuje pozostałe, podszywając się pod Oko? A może to przed gramy komedię przed Innymi? Albo Inni igrają z nami?

– Nie wiemy, Tojo. Ale obawiamy się dodatkowego czynnika. Obawiamy się obcych. To, co udaje nam się odcyfrować ze wspomnień, zdaje się sugerować istnienie jeszcze jednej siły.

– Zawstydzasz mnie... Zawstydzacie.

– Dlaczego?

– Jestem ostatnio skłonny do budowania bardziej uniwersalnych hipotez, łączących i wyjaśniających wszystko, a w efekcie przegapiam szczegóły. O! Zauważ, że jednak się rozwinąłem, stałem się innomgławicą i przyznaję, że mogę się mylić! Szkoda jednak, że łączy się to z odkryciem niedoskonałości związanych z moją przemianą.

– To niedoskonałość początku, Tojo. Ty i ja, i my stawiamy pierwsze kroki. Brak nam doświadczenia w byciu tymi, w których się przekształcamy. Nie umniejszaj swojej przemiany.

– Tano, proszę, przestań mnie zawstyżać.

– No, nie wiemy... Całkiem nam się to podoba. ■

PAWEŁ MAJKA

Będę pisać to, co chcę pisać.

Wywiad z Ann Leckie

Karolina Fedyk

Karolina Fedyk: Cześć, Ann, i dzięki, że znalazłaś czas na wywiad.

Ann Leckie: To ja dziękuję!

KF: W imieniu polskich fanów Twoich powieści, których jest naprawdę sporo, chciałabym zadać Ci kilka pytań. To na początek – jaka była pierwsza książka SF, którą przeczytałaś?

AL: Naprawdę ciężko mi odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ czytam od małego. Wiem, że pierwsza książka, jaką kupiłam za własne pieniądze, należała do gatunku fantastyki naukowej. Nie pamiętam ani jak się nazywała, ani kto ją napisał, ale opowiadała o małym chłopcu, który miał telepatyczny kontakt z kosmitą. W fabule istotny był start rakiety. Coś poszło nie tak i ten chłopiec musiał za pomocą psychokinezy poruszyć jakąś rzecz, która mogła zniszczyć raketę. Za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć, jaki jest tytuł tej książki i nie wiem nawet, czy to było pierwsze SF, które przeczytałam – ale na pewno pierwsze, które kupiłam.

KF: To musiało być niezapomniane doświadczenie czytelnicze! A teraz przechodząc do kwestii lingwistycznych – czy poza angielskim znasz jakieś języki?

AL: Nie za dobrze. W liceum uczyłam się hiszpańskiego, a w koledżu miałam kilka semestrów niemieckiego, trochę bawiłam się w samodzielną naukę irlandzkiego, sanskrytu i różnych innych języków. Właściwie to trudno rzec, że znam te języki, ale potrafię powiedzieć parę słów w tym czy tamtym.

KF: Z pewnością jednak zapoznałaś się z wieloma językami podczas tłumaczeń swoich powieści. Czy tłumacze mieli z nimi jakieś problemy?

AL: O tak, mieli! W języku angielskim zaimeki nacechowane są płciowo, ale rzeczowniki nie, dlatego często pewne tytuły nie są zależne od płci – więc jeśli mówimy na przykład „kapitan Kirk”, nie dodajemy już zakończenia męskoosobowego do rzeczownika „kapitan”. Ale w takich językach, jak francuski czy hiszpański pojawiają się schody, ponieważ nie da się powiedzieć „kapitan” bez zaznaczenia płci. Wszystkie rzeczowniki są w ten sposób nacechowane, więc gdy mówimy o statku, to statek ma swój rodzaj gramatyczny. W językach słowiańskich i semickich czasowniki „mają płeć” zależną od tego, kto wykonuje daną czynność. Po angielsku łatwo opisać, jak Breg wypowiada się w pierwszej



Ann Leckie – Pisarka SF, autorka *Zabójczej sprawiedliwości*, nagrodzonej Hugo, Nebulą i nagrodą Arthura C. Clarke’a. Wcześniej pracowała jako kelnerka, recepcjonistka, robotniczka w ekipie geodezyjnej i inżynierka dźwięku. W maju tego roku razem z Karoliną Fedyk uczestniczyła w panelu poświęconym sztucznej i obcej inteligencji na Szwecji. Na tym samym konwencie powstał niniejszy wywiad.

osobie. Po prostu „Robię to i to”. W ten sposób nic nie mówię o jej płci. Ale po rosyjsku i hebrajsku nie jest to możliwe. Są też takie postaci, przy których starałam się zupełnie unikać określenia płci, co wypada dobrze w języku angielskim, ale w innych językach po prostu nie da się tego zrobić. Na pewnym etapie trylogii bardzo ważne staje się rozróżnienie pomiędzy „ona” i „ono”, którego nie ma np. w języku francuskim. Francuski tłumacz naprawdę wspiał się na wyżyny kreatywności, używając dla określenia statku

rzeczownika męskiego, więc gdy Brek myśli o sobie, posługuje się terminem „męskim”, gdy inni ludzie mówią o statkach, też używają „męskich” określeń. Ale gdy zwracają się do statków jak do ludzi, używają pojęć „kobięcych”. To naprawdę błyskotliwe rozwiązanie. Słyszałam też, że czeski tłumacz musiał wymyślić nowe słowa, ponieważ chciał uniknąć takich wyrazów, jak „porucznik”, „kapitan” czy „żołnierz”, ze względu na ich silne męskie konotacje. To oczywiście bardzo ciekawe, ale tłumacz musiał się porządnie napocić.

KF: Tak się zastanawiam, ponieważ „lord” wydaje się tytułem dość mocno nacechowanym płciowo, a mamy przecież Anan-der Mianaai, o której z początku myśla-łam, że jest mężczyzną, właśnie ze względu na ten tytuł. Czy od innych czytelników też dostajesz tego typu sygnały, że jakieś słowo jest mocno obciążone „płciowo”?

AL: Ależ tak! I „sir” też. Ale każdy boha-ter to „ona”. W angielskim nie ma tak dużo rzeczowników, które mają „swoją płęć”, ale np. kapłan i kapłanka mogą być takim przykładem, lord i lady, pan i pani¹. Gdy zaczęłam pisać, wydawało mi się, że myśli się o lordzie i lady jako słowach ekwiwalent-nych, ale tak naprawdę nimi nie są, budzą zupełnie inne skojarzenia. Chciałam uży-kać znaczenie „lorda”, ale gdy używałam słowa „lady”, nie brzmiało to odpowiednio. Więc celowo połączyłam żeńskie końców-ki i męski termin, by podkreślić różnicę, ale niektórym czytelnikom przeszkadza ta sprzeczność.

KF: Skupmy się na Twoim pisarstwie. Zdobyłaś właściwie wszystkie możliwe na-grody w dziedzinie SF. Jak to jest – posiadać je i wciąż kontynuować karierę? Czy ocze-kiwania czytelników nie przytłaczają Cię? A może odkryłaś, że masz więcej swobody?

AL: To było niesamowicie dziwne do-świadczenie! W pewnym sensie to ogrom-nie przerażające, ponieważ, jak powiedzia-łaś – ukazała się moja pierwsza książka i dostałam prawie wszystkie wyróżnienia. No, myślę, że są dwie albo trzy nagrody, których nie otrzymałam. Nie wierzę, że właśnie to powiedziałam (śmiech). I teraz pojawia się kwestia tego, jak druga książka sprostą oczekiwaniom? Nie da rady, wszy-sczy spodziewają się czegoś tak dobrego, jak przy pierwszej, a to niemożliwe. No nie ma

szans i właśnie to jest najbardziej przera-żające. Ponieważ, rzecz jasna, chcesz, żeby wszyscy patrzyli na powieść i mówili: „Ale świetna!”, ale, no cóż, gdy mówią: „Nie jest tak dobra, jak poprzednia”, wiesz przecież, że nigdy nie będzie tak dobra, tak świeża. Więc naprawdę można się przestraszyć. Ale równocześnie nagrody dały mi pewną swobodę, bo mogę oznajmić: „napiszę sobie taką oto rzecz”, a każdy odpowie: „O, to bę-dzie dobre!”, nikt nie wyleci mi przecież z: „Nie, powinnaś napisać coś innego”. Wiem, że są tacy pisarze, którym się sugeruje, by napisali coś bardziej popularnego. Mnie nikt do tego nie zmusza, więc to fajne i daje mi wolność. Wiem, że mogę pójść do mo-jego agenta i powiedzieć: „Chcę teraz napi-sać kryminał”, a on pewnie odpowie „OK”. Więc mam taką możliwość, ale jednocze-śnie to przerażające, bo zdaję sobie sprawę, jak wysokie wymagania mają wobec mnie czytelnicy i nie wiem, czy im sprostam.

KF: Muszę przyznać, że uwielbiam drugą powieść, ponieważ jest tak inna. Czulałam kli-mat prowincji gdzieś na krańcach imperium, to było naprawdę świetne. Udało Ci się mnie jako czytelniczkę ponownie zaskoczyć.

AL: Niektórzy czytelnicy naprawdę byli rozczarowani drugą książką. I w porządku. W jednej z moich ulubionych par recenzji, chyba na Goodreads, pewna osoba napisa-ła: „Uwielbiam pierwszą książkę, ale dru-ga jest tak rozczarowująca, tak nudna. Jak w kosmosie”. A potem następny recenzent napisał: „Ta książka jest jak w kosmosie. To cudowne”. Ten przykład świetnie ilustruje różnice w podejściu czytelników. Niektórym się spodoba, innym nie.

KF: W *Zabójczej sprawiedliwości*, cho-ciaż powieść nie porusza wyłącznie kwestii genderowych, ale i wiele innych tematów – sprawy związane z płcią należą do najgoręcej dyskutowanych. Często jesteś porównywana

¹ W oryginale: lord/lady, priest/priestess i sir/madam (przyp. tłum).

do Ursuli K. Le Guin i jej . Myślisz, że to przypadek, że obie te książki zostały napisane przez kobiety?

AL: Nie sądzę, żeby to był przypadek. Zdecydowanie nie. To znaczy – nie jest tak zupełnie niemożliwe, by mężczyzna napisał coś takiego, wyobrażam sobie, że transpłciowy mężczyzna może być naprawdę świadomy tego, jak ludzie myślą o kwestiach płci i konstruuje tę płęć, ale gdy jesteś cisplciowym mężczyzną² – przywykłeś, że świat ci sprzyja. Wszystko zbudowane jest tak, by utwierdzić cię w przekonaniu, że jesteś typową osobą w środowisku, które powstało dla takich jak ty. Trudno z tego wyjść. Sama mam wiele takich „przestrzeni”, w których jestem osobą typową, i nie zauważam tego, dopóki ktoś mi tego nie wskaże. Są też takie, w których moja obecność nie jest przewidziana, łatwo mi więc dostrzegać rzeczy, które stoją do siebie w sprzeczności. Pojawiają się utrudnienia mające realny wpływ na moje życie – wynikające z tego, że nie pasuję do tego, co uznano za „typowe». Sądzę, że to zupełnie prawdopodobne, że facet może napisać coś podobnego, lecz to bardziej w stylu kobiety, ponieważ kobiety częściej są świadome tego, co oddziałuje na życie innych ludzi.

KF: Myślisz, że w kwestiach płciowych istnieje więcej zapór, przez które SF musi się przedrzeć?

AL: O tak! O wiele więcej. Naprawdę zaskoczyło mnie, gdy ludzie mówili: „To fascynująca rzecz, przekracza tak wiele granic”, a ja po prostu dokonałam jednego małego wyboru, budując świat Radch. Ale to wielka sprawa. Zrobiłam tylko jeden krok, ale jest tyle innych, które wciąż są przed nami. Więc naprawdę ucieszyło mnie, gdy ośc zyskała takie uznanie,

bo pisarze jak Kameron Hurley mogli wydać utwory, o których wcześniej mówiono, że się nie sprzedadzą. Jest nadzieja, że ludzie wykonają kolejny krok i następny, i będą tak kroczyli naprzód, ponieważ ja wcale nie dotarłam do końca tej drogi. Wcale nie.

KF: Ale twój jeden mały wybór miał ogromny wpływ na fandom SF. Co prowadzi do mojego następnego pytania – o nagrody i krytykę, że są polityczne. Co o tym sądzisz? Myślisz, że jest w tym twierdzeniu chociaż ziarenka prawdy?

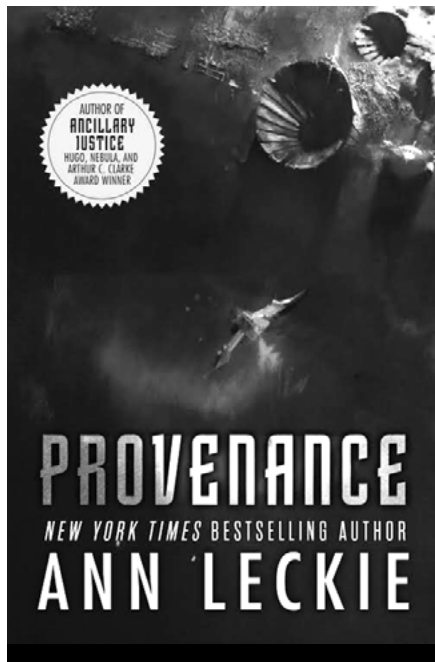
AL: Spierałabym się o to „stawanie się polityczne”. Cała działalność ludzka odnosząca się do więcej niż jednego człowieka jest polityczna. Każda literatura jest polityczna. Bardzo często, gdy konkretni czytelnicy mówią: „lubię dobre historie, ale nie chcę, żeby była w nich polityka”, tak naprawdę chodzi im o to, że nie chcą, by była to polityka stojąca w sprzeczności z ich przekonaniami o świecie. Czyli na przykład polityka w świecie fikcji mająca być może inne założenia albo wytykająca komuś, że w czymś się myli. Postrzegają to jako rzeczy polityczne, podczas gdy polityczna opowieść, w której jest wszystko zgodne z ich założeniami, jest w ich odbiorze prawdziwa, bo „to nie jest kwestia polityki, tak wygląda świat”. Dlatego jest mi bardzo trudno zrozumieć stwierdzenie, że nagle nagrody się upolityczyły i nie zauważać, że to po prostu kobiety i ludzie o kolorze skóry innym niż biały zaczęli pisać o swych doświadczeniach i zdobywać nagrody. I jeśli mam być całkowicie szczerą, niektórych pisarzy krytykujących tę „nową polityczność» zupełnie nie obchodzi polityka, wielu po prostu korzysta z tego oburzenia, by wzbudzić zainteresowanie własnymi utworami. Myślą, że jeśli wystarczająco namieszają i zdobędą wielu zwolenników, tamci zagłosują na nich, a to pomoże ich karierze. Ale wiesz co, nie

2 Cisplciowy (z łac. *cis* – po tej samej stronie i *sexualis* – płciowy) – wyrażenie opisujące osoby, których tożsamość płciowa i płęć kulturowa odpowiadają ich płci biologicznej przypisananej przy narodzinach.

mam zbyt wiele szacunku dla takiego poglądu. Nagrody są czymś cudownym i trzymam moje na półce, by móc je podziwiać, bo jestem po prostu z nich dumna, ale tak naprawdę prawdziwą nagrodą są czytelnicy, którzy Kochają twoją twórczość. Prawdziwą nagrodą jest wypłata tantiem świadczących o zainteresowaniu odbiorców, a reszta to wisienka na torcie. Tort jest pyszny, ale czy będziesz narzekać, jeśli nie będzie miał odpowiedniej dekoracji?

KF: To, co powiedziałaś, sprawia, że zastanawiam się, czy gdy ludzie mówią: „To polityczny tekst”, oznacza to, że tak naprawdę doświadczają pewnego dyskomfortu. Ale powiedziałabym, że ten rodzaj dyskomfortu jest ogromną częścią naszego doświadczania jakiegokolwiek kultury, każdego medium i tekstu. Czy celowo sprawiasz, że w pewnym sensie ludzie czują się niekomfortowo?

AL: Od początku zakładałam, że pozabawię niektórych czytelników poczucia komfortu. I zgadzam się z Tobą; wracając do kwestii bycia typową osobą – jeśli przywykłeś do fikcji, w której główni bohaterowie zawsze są do ciebie podobni, to te utwory są dla ciebie bardzo wygodne. Ale gdy jesteś kobietą, osobą niebiałą, homoseksualną czy transpłciową – nie jesteś typowa w pryzmacie zachodniej kultury, więc taka fikcja staje się niewygodna. Wiele kobiet czytających SF w czasach, gdy większość publikowanych autorów była mężczyznami, czuło się niekomfortowo. Nauczyliśmy się sobie z tym radzić. Więc to dla mnie nic zaskakującego, że ktoś mówi: „Nie chcę czuć się niekomfortowo”. Wiem, czego oczekuję od moich opowieści, i wiem też, że wielu czytelników poczuje się niekomfortowo. Gdy zaczęłam używać zaimków kobiecych, sama czułam dyskomfort. I pomyślałam, że to nie zadziała tak, jakbym chciała. Ale gdy kontynuowałam pracę, wszystko stało się naturalne



i pomyślałam: „No cóż, może będzie OK”. Zawsze zdawałam sobie sprawę, że niektórym czytelnikom to się nie spodoba. Ale pisanie to jedna z tych rzeczy, które nigdy nie gwarantują sukcesu. Uświadomiłam sobie, że jeśli chcę spędzać czas na pisaniu, muszę pisać to, co chcę pisać, a ocenę pozostawić czytelnikom. Niektórzy mogą odczuwać dyskomfort podczas lektury moich książek; ale ja wiem, jakich tekstów chcę.

KF: Powiedziałabym, że właśnie jednocześnie sprawiłaś, że wiele osób poczuło się komfortowo!

AL: Kocham, gdy ludzie mówią: „To dla mnie bardzo ważne, poczułam się, jakby ktoś zdjął ze mnie ciężar i nie muszę się martwić o kwestię płci czy to, że nie pasuję do tego świata”. Nie spodziewałam się tego. Nie sądziłam, że to się sprzeda. Jest wielu czytelników, którym się to podoba, i bardzo mnie to cieszy.

KF: Uważam to także za bardzo wyzwalające. Przez pierwsze kilka rozdziałów starałam się zgadnąć, jaką płęć mają bohaterowie, a potem uświadomiłam sobie, że to nie ma znaczenia. To w ogóle nieważne! To było świetne doświadczenie czytelnicze. I teraz, wracając do poprzedniego wątku: stworzyłaś bardzo złożoną formę AI. Jak się do tego przygotowywałaś? Jak wyglądał proces zbierania informacji? Czy musiałaś zarzucić jakiegś wcześniejsze pomysły?

AL: Musiałam i w sumie o większości z nich zapomniałam. Ale wszystko zaczęło się, gdy zdecydowałam, że AI będą miały ludzkie ciała jako założenie ich konstrukcji – wtedy zaczęłam szukać informacji o biologii i fizjologii. Odkryłam, jak silnie emocje zakorzenione są w ciele i jak to może wyglądać dla AI. Czytałam więc publikacje z zakresu neurologii i wyląwiałam ciekawostki, które były dla mnie przydatne. Ale przyznaję, że sporo artykułów o AI w naszym świecie nie było dla mnie użytecznych, ponieważ AI w rzeczywistości nie ma nic wspólnego z AI w SF. Zrobiliśmy rzeczy naprawdę pomysłowe, ale w najbliższym czasie nie będziemy prowadzić skomplikowanych rozmów z Siri czy Google. Google nawet nie wie, jak obliczyć czas na zaparzenie mojej herbaty. Więc to były właściwie przypadkowe lektury, do których doszły podstawy biologii. Ale trochę oszukiwałam, ponieważ mając bohaterkę w ludzkim ciele, kazałam jej funkcjonować tak, jak funkcjonują ludzie, i jej ciało zachowywało się tak, jak zachowują się ludzkie ciała.

KF: Myślę, że to bardzo interesujące, że mimo iż bohaterowie mają ludzkie ciała, ich kultura nie wydaje się ludzka. Są elementy, które rozpoznajemy, mamy herbatę, pewne rytuały – ale jednocześnie ta kultura wydaje się bardzo, bardzo obca. Czy mogłabyś rzucić trochę światła na to, jak ją zbudowałaś?

AL: Zaczęłam od realnej historii – posłużyłam się starożytnym Rzymem, co robi wielu autorów, to doskonała kopalnia wielu pomysłów w fantastyce. To wszak wielkie imperium, w którym pokonywanie odległości zajmowało wiele czasu, w polityce rozgrywały się wielkie dramaty. Potraktowałam pewne cechy antycznego Rzymu jako podstawę. Mam taki zwyczaj – gdy utknę w pisaniu, idę do biblioteki i wędruję tam i z powrotem wydłuż półek z antropologią i historią, wyciągam książki, które wyglądają ciekawie. Gdy mam dość, zaczynam czytać, aż wpadnę na coś błyskotliwego – i uznam, że to fajne, wykorzystam to. Świat Radch to taki mieszmasz, ale wiele rzeczy pochodzi z naszego świata. Detale naprawę wiążą się z tym, co ludzkie. Jest takie podejście do światotworzenia, które „ukradłam” od Jacka Vance’a. Vance zręcznie opisuje cywilizację, czy to kosmiczną czy ludzką, w której nagle pojawia się coś zaskakującego i dziwnego. Ale pisze o tym tak, że mówię sobie: „przecież to wiarygodne, tacy właśnie są ludzie”. Zawsze go za to podziwiałam. Nie sadzę, bym kiedyś napisała coś tak absurdalnego jak on, co budzi śmiech, ale nie da się w wykreowany świat nie uwierzyć. Staram się trochę naśladować to podejście.

KF: Myślę, że to bardzo interesujący punkt widzenia, ponieważ nasza kultura także będzie się wydawała po prostu śmieszna dla kogoś z zewnątrz – to znaczy, wyobraź sobie, że wyjaśniasz komuś, że połowa populacji codziennie maluje swoje twarze...

AL: Racja! I skąd masz wiedzieć, że należysz do tych osób, które powinny się malować? Ile sprzeczności napotkasz! Ludzie mówią mi czasem: „To absurdalne, że Breq nie rozumie, o co chodzi z ludzką płcią, skoro to takie proste, a ona jest bardzo złożoną AI”. Moja odpowiedź brzmi wtedy: cóż, OK, wyobraźcie sobie, że mamy

gościa z innej planety i ten gość mówi: „Macie dwie płcie, ale jak je rozróżniacie?». No więc – mężczyźni mają krótkie włosy, a kobiety długie, mężczyźni noszą spodnie, a kobiety spódnice. Rzeczy z koronką są przeznaczone dla dziewczyn, a te bez ozdób – dla chłopaków. Tak uczymy dzieci. Ale ponieważ żyjemy w tej kulturze na co dzień, wszyscy znamy wyjątki od tych reguł. Choć wciąż pewnie powiedzielibyście komuś, że spódnice są dla kobiet. A potem jedziecie do Szkolnicy albo wybieracie się na audyencję do papieża i wasz gość z kosmosu mówi: „Och, nie rozumiem o co chodzi, przecież ONA ma krótkie włosy”, a wy wtedy odpowiadacie: „No cóż, to wyjątek”. Ale skąd wiecie, że to wyjątek? Te wszystkie skróty myślowe są dla nas niezauważalne, ponieważ je znamy i wydają się nam proste, ale dla przybysza z zewnątrz będą niezwykle skomplikowane.

KF: Wracając do tworzenia imperium Radch, czy wyobrażałaś sobie ich jako potomków ziemskich kultur? Czy myślisz o nich jako o pewnej kontynuacji?

AL: Nie. Osadzenie akcji w dalekiej przyszłości było sposobem ucieczki od tego. Ponieważ akcja rozgrywa się w tak dalekiej przyszłości, nie ma mowy o kontynuacji. To znaczy w pewnym sensie jakaś jest – na peryferiach przetrwały religie, chociaż nie wyglądają tak jak te obecne, mamy pewną kulturową ciągłość, jak imiona czy picie herbaty – to ta sama roślina. Ale osadzenie akcji w tak dalekiej przyszłości sprawiło, że nie musiałam zajmować się śledzeniem pochodzenia kultury Radch.

KF: Moje ostatnie pytanie dotyczy Twojej najnowszej powieści. Możesz coś nam o niej powiedzieć?

AL: Od czego by tu zacząć? Jeszcze nie przyzwyczałam się do opowiadania o tej książce! Jest osadzona w tym samym

uniwersum, co trylogia, ale nie występują tam ci sami bohaterowie, akcja toczy się poza przestrzeń kosmiczną opanowaną przez Radch. To zupełnie inny układ planetarny. Główną bohaterką jest młoda kobieta, której matka jest polityczką. Całe życie rywalizuje ze swym bratem, kto z nich ma dostać spadek. Matka zachęca ich do angażowania się w układy i intrygi, w których mogą się wykazać i zyskać jakąś przewagę. Powieść zaczyna się w momencie, gdy główna bohaterka postanawia wyciągnąć z więzienia słynnego złodzieja, który ukradł bardzo cenne przedmioty, ale nie powiedział nikomu ani w jaki sposób je zdobył, ani gdzie ukrył. Nigdy ich nie znaleziono. Protagonistka myśli tak: „Wydostanę złodzieja z więzienia, zdobędę te przedmioty i będę starała się zwrócić je matce, a potem możemy szantażować osobę, do której należą, albo uzyskać jakąś inną polityczną korzyść”. Więc powieść zaczyna się, gdy bohaterka wydostaje tego złodzieja z więzienia i oczywiście nic nie idzie zgodnie z planem. Mam nadzieję, że czytelnikom się to spodoba! Trylogia była bardzo poważna i na koniec czułam się wykończona, miałam już dość. Oczywiście byłam też szczęśliwa, ale chciałam napisać coś zabawnego, przygodowego, lekkiego. Więc *Provenance* nie jest bardzo poważne i ciężkie. Chciałam, żeby było przede wszystkim dobrą literaturą rozrywkową.

KF: Wielkie dzięki!

AL: I ja dziękuję. ■

KAROLINA FEDYK – POCHODZI Z KRAKOWA, CHOĆ NATURA NOMADY WZIĘŁA GÓRĘ NAD SENTYMENTEM WOBEC RODZINNEGO MIASTA. PRZEPLATA ZAINTERESOWANIA NAUKOWE Z LITERACKIMI. LUBI KAWĘ, SOWY, UCZYĆ SIĘ JĘZYKÓW OBCYCH I ROBIĆ NA DRUTACH. PISZE W DWÓCH JĘZYKACH; JEJ TEKSTY UKAZAŁY SIĘ W „STRANGE HORIZONS”, „ESENSJI”, „STARLINE” I „SMOPOLITANIE”.
TWEETUJE JAKO @KARIGRAFIA.

Świadomość mięsa

Części z nas drugi dzień Pyrkonu 2017 długo będzie kojarzył się głównie z kilkudziesięciometrową kolejką po autograf Petera Wattsa. Ten kanadyjski biolog morski/autor hard SF/cyniczny żartowniś z życia codziennego to postać z pewnością znana każdemu fanowi gatunku. Jego książki bazują na wiedzy naukowej aż do granic absurdu (ilu pisarzy konsultuje budowę statków kosmicznych i osłon antyradiacyjnych z MIT czy NASA?), a bibliografie dołączone do posłowania każdej pozycji zawstydziłyby niejeden doktorat. Poza odzieraniem ludzkiej natury z romantyzmu i obserwowaniu pozostałego kawałka mięsa w ekstremalnych warunkach porusza dogłębnie takie tematy, jak definicja świadomości, wpływ cyfryzacji i sztucznej inteligencji na codzienne życie czy istotę pierwszego kontaktu. Za swoje dzieła otrzymał m.in. nagrody Hugo i Sfinksa. Mamy przyjemność przedstawić wywiad z autorem fenomenalnego *Ślepowidzenia*, Peterem Wattsem!

Marcin Kłak i Martyna Walerowicz

W przedmowie do polskiego wydania *Rozgwiadzy wspomnień*, że rosyjski wydawca odrzucił tę powieść, bo była „zbyt mroczna”. Czy często spotykasz się z tak uargumentowanymi odmowami?

Już nie. Nawet Rosjanie opublikowali wszystkie moje utwory, niektóre w kilku wydaniach. Aczkolwiek rosyjski tłumacz został zwolniony przez swojego wydawcę po tym, jak przełożył *Ślepowidzenie* – wydawca nie miał pojęcia, jaką książkę nabył, aż do momentu przetłumaczenia jej na rosyjski, a kiedy w końcu ją przeczytał, był przerażony. Powiedział tłumaczowi: „Nikt nie kupi nihilistycznej powieści o bezużyteczności świadomości. Wzięliśmy ją ze względu na twoją rekomendację, a teraz pójdzie do kosza. Jesteś zwolniony”.

Ale później *Ślepowidzenie* okazało się w Rosji hitem, więc przyjął go z powrotem i kupili wszystkie pozostałe tytuły.

Który obszar nauki najbardziej Cię inspiruje?

Nie wiem, czy inspirującą, ale na pewno najbardziej intrygującą i zagadkową dziedziną nauki są badania nad ludzką świadomością. Nikt jeszcze nie zbliżył się do rozwiązania zagadki, jak to się dzieje, że substancje chemiczne i elektryczność napędzające mięcho powodują stan subiektywnej świadomości. Nie mamy pojęcia, jak w ogóle mięso może po prostu *obudzić się* za pomocą tych mechanizmów, i nie potrafię powiedzieć, czy kiedykolwiek się tego dowiemy – ale chłopie, jeśli nam się uda, to zmieni wszystko.



Wizyta na Pyrkonie nie była Twoją pierwszą wizytą w Polsce. Co najbardziej lubisz, a czego nie w naszym kraju?

To pytanie nie jest do końca fair, ponieważ moje doświadczenia z Polską postrzegam przez pryzmat konwentów i fandomu. Tym, co najbardziej nie podoba mi się w Polsce, jest coś, o czym tylko słyszałem, a nie doświadczyłem bezpośrednio – teokratyczne zapędy waszego obecnego rządu, wpływ Kościoła na wasze państwo. Żywię głęboką nieufność wobec każdej doktryny, która twierdzi, że jest nieomylna, albo która chce, abym uwierzył, że opłatek zmienia się w mięso-Jezusa w połowie drogi przez przelęk (No serio, czy ktokolwiek przeprowadził eksperyment wypomkowania treści żołądkowej po Komunii Świętej w celu sprawdzenia zawartości?). Nie wspominając o tym, że jakakolwiek instytucja, która promuje ekologiczne szaleństwo niekontrolowanego rozrostu populacji, nie powinna mieć wpływu na żadną władzę.

Jeśli chodzi o to, co lubię w Polsce: miód pitny. *The thumb parties*. Konwenty i budynki z elewacjami à la tort weselny oraz budynki okresu socjalistycznego zaprojektowane jako surowe pudła, które na przekór zostały pomalowane na tak wiele pastelowych kolorów, że wyglądają, jakby były zrobione z wielkich jadalnych klocków Lego. Muzeum wina i tortur. Hotel w Zielonej Górze, gdzie nie mogłem dostać butelki polskiego wina, mimo że znajdowaliśmy się w środku winnicy. I kocie kawiarnie.

Thumb parties?

Wkładasz kciuk do butelki po czymś mocniejszym, pocierasz nim szkło, dopóki cały nie pokryje się zawartością, podpalasz go i wkładasz do ust, żeby zliczać alkohol. Myślę, że to może być pozostałość niedoborów podczas radzieckiej okupacji.

Albo po prostu garstka pijanych fanów wymyśliła to na poczekaniu.

Tak sobie myślę, że jednak wszystko, co najlepsze, sprowadza się do ludzi. No, może z wyjątkiem tych religijnych.

Czy sądzisz, że ludzkość jest zagrożona? A jeśli tak, to co jest największym zagrożeniem?

Tak uważam. I jesteśmy. Nie wiem, jaką formę przybierze nasze wyginięcie – jest tak dużo możliwości. Od dewastacji środowiska do wojny nuklearnej. Ale jeśli nie walnie w nas asteroida, są spore szanse, że będziemy swoimi własnymi katami.

Jesteś biologiem morskim. Masz w planach stworzenie kolejnej opowieści, która będzie działać pod wodą?

Może to nieoczywiste, ale nie w taki sposób podchodzę do swoich historii. Zaczynam od pomysłu – „Oooch, to by było świetne do przeanalizowania w opowieści” – a później dopiero tworzę miejsce akcji i fabułę. Więc jeśli wpadnę na pomysł, który najlepiej będzie rozwinąć pod wodą, wrócę pod wodę.

Potwierdzono obecność wody na niektórych księżycach naszego systemu słonecznego. Czy miałbyś ochotę pofantazjować o możliwym życiu w tamtejszych środowiskach wodnych?

Ależ oczywiście!

Na swoim blogu wspomniałeś, że grasz w *Somę*. Masz zamiar później wziąć się za jakąś kolejną grę, zwłaszcza taką, której autorzy przyznają się, że Twoje dzieła były dla nich inspiracją?

No cóż, to nie jest powód, dla którego gram. Właściwie jedynie *BioShock*, w jakiego nie grałem, to *BioShock 2*, a to właśnie ten, w którym można znaleźć nawiązania do moich książek.

Teraz, gdy o tym wspomniałeś, następną grą, w jaką mam zamiar spróbować zagrać, jest *Wiedźmin 3*, w którym, jak mi powiedziano, znajduje się wampir o imieniu Sarasti.

Staram się ograniczyć do kilku gier rocznie, bo jeśli bym się nie powstrzymywał, to

zapadłbym się w wielką gamingową czarną dziurę i nigdy się z niej nie wyczołgał. Ciągle jestem na głodzie po odstawieniu *Skyrima*, a skończyłem tę grę *lata* temu.

Co uważasz za swoje największe osiągnięcia w dziedzinie SF?

Słepowidzenie to z pewnością książka, która wpisała mnie na mapę literatury. Wraz z *Echopraksją* zawierają najbardziej niesamowite tematy, jakimi się intelektualnie zabawiałem. A jeśli chodzi o czyste opowiadanie historii, wydaje mi się, że cykl *Sunflowers* to większa piaskownica. Te opowieści dosłownie ciągną się w nieskończoność.

Jakie dzieła literackie lubisz najbardziej?
Science fiction.

Bazując na wizjach przedstawionych we wszystkich Twoich książkach: uważasz się za nihilistę? Biorąc pod uwagę miejsce człowieka we wszechświecie, nasz „znakomity” wkład w ekosystem Ziemi oraz niemożliwość wykroczenia przez humanizm poza egoistyczne pobudki?

Bazując raczej na swoich poglądach niż na książkach, uważam się za irracjonalnego optymistę w kwestii naszych perspektyw. Po prostu dlatego, że większość ludzi również jest optymistami. Jeśli moje przeczucia miałyby pokazać mi obiektywny abstrakt ze stanu świata, nieustannie byłbym w klinicznej depresji. Wyjściowym stanem dla ludzkiego umysłu, pod względem neurologicznym, jest nastawienie optymistyczne. Wiara, że „wszystko będzie dobrze” niesie pewne krótkoterminowe profity, nawet jeśli nie jest to prawda.

Bazując z kolei na wizjach w moich książkach, powiedziałbym, że jestem wręcz superoptymistą. Moje dzieła mogą jawić się jako ponure scenariusze, ale postacie są zwykle bystrzymi, porządnymi ludziskami, starającymi się wyjść jak najlepiej z ciężkich sytuacji. Odwrotnie niż w prawdziwym

życiu, nie ma tam bezwarunkowo zatwardziałych nikczemników.

Czy jest coś, co Tobie jako autorowi, naukowcowi i po prostu inteligentnej jednostce sprawia grzeszną przyjemność? Czy istnieje jakiś rodzaj bezsensownej, straszliwej tandety, którą lubisz, czy może jesteś ponad to?

Żona mi podpowiada, że powinienem powiedzieć „porno” i przejść do następnego pytania. Z tym, że to właśnie jest cały sens porno. I nie czuję się szczególnie grzeszny z tego powodu.

Jednak poza tym niewiele przychodzi mi do głowy. Mam ostry atak wstydu przy niektórych odcinkach *Star Treka* z lat 60., które oglądałem w młodości. Ale kiedy zacząłem się tego wstydzić, przestałem oglądać. W tamtych czasach byłem fanem *Star Treka* i nie uważałem go za chłam. I nie był nim, biorąc pod uwagę czasy, w których go stworzono. Po prostu świat poszedł do przodu.

Pewnie mógłbym się bardziej wypowiedzieć, gdybym rzeczywiście miał dość czasu w ciągu dnia na skosztowanie choćby ułamka dobrych rzeczy, którymi chcę się zająć.

Na Pyrkonie wspomniałeś, że kolejna książka w uniwersum *Słepowidzenia/Echopraksji* jest „w toku”. Idąc o krok dalej – czy uważasz, że temat jest już przez Ciebie wyeksploatowany, a kolejne dzieła będą traktowały o czymś kompletnie innym? Czy też polubiłeś kosmiczne SF na tyle, że w dalszej karierze pisarskiej równie chętnie będziesz spoglądał w niebo?

Jeśli mówisz o *Omniscience* – mojej długo oczekiwanej puencie do historii ze *Słepowidzenia* i *Echopraksji* – wszystko idzie zgodnie z planem. Ostatni tom może kończyć się przepisaniem praw fizyki od podstaw oraz resetem rzeczywistości w kompletnie nowy twór, co byłoby dość ostateczne. Nie wiem, co mógłbym napisać w tym uniwersum po czymś takim. ■

MARCIN KŁAK I MARTYNA WALEROWICZ

Jesteśmy „miesięcznikiem miłośników fantastyki” – we wszelkich jej aspektach

Wywiad z Jerzym Rzymowskim

Piotr Zawada

Piotr Zawada: Jak wrażenia z Polconu i urodzin „NF”?

Jerzy Rzymowski: Świetnie spędzony czas, mnóstwo przyjemnych spotkań ze starymi znajomymi i kilka bardzo sympatycznych nowych znajomości. Lublin okazał się miastem niezwykle życzliwych, uczynnych ludzi – doświadczałem tego na każdym kroku. Mocno odczułem, jak przez lata z różnych powodów wypadłem z obiegu fandomowego – może teraz powoli uda mi się trochę do niego wrócić. Urodziny „NF” były sympatyczne i pouczające – zwłaszcza kiedy w ramach szybkiego eksperymentu na żywej tkance publiczności pokazałem, dlaczego trzeba unikać mieszania fantastyki z polityką. Kilka zdań, rzuconych jak iskra na beczkę prochu, sprawiło, że część publiczności pogryzła się w politycznej przepychance i przestała zwracać uwagę na cokolwiek, a reszta ze zdumieniem obserwowała łatwość, z jaką nastąpił zapłon. Tak to, niestety, wygląda w naszym społeczeństwie i przerzuca się jak rak na fandom.

PZ: Jak w ogóle dostałeś się do „NF” i zostałeś naczelnym?

JeRzy: Do „Nowej Fantastyki” trafiłem w 2006 roku, po okresie bardzo dotkliwego dla mnie bezrobocia. Asia Kończak dała mi znać, że miesięcznik szuka redaktora

naczelnego, więc wysłałem CV i poszedłem na żywiół. Prezes uznał – słusznie zresztą – że na stanowisko naczelnego się nie kwalifikuję, ale już na szefa działu publicystyki owszem. Jakiś czas później, dla odmiany, to ja wciągnąłem Asię do redakcji „NF”. Została jej sekretarzem.

W 2012 roku wydawnictwo zmieniło siedzibę z Garażowej na Rzymowskiego – jak pewnie się domyślasz, nowy adres wywołał spore rozbawienie. Stacjonarna redakcja została zlikwidowana – mieliśmy odtąd pracować zdalnie. Raz, że nowa siedziba była mniejsza od poprzedniej, a dwa, że naszym swobodnym, niestandardowym podejściem do pracy biurowej wprowadzaliśmy rozprężenie w wydawnictwie. Wydawca postawił wtedy sprawę twardo: albo znajdzie się ktoś, kto jako podwykonawca weźmie na siebie część obowiązków organizacyjnych, albo on zlikwiduje „Nową Fantastykę”. Aby nie doszło do najgorszego, założyłem działalność gospodarczą i podjąłem się tego zadania. Jakies półtora roku później zostałem mianowany naczelnym.

PZ: Trafiła Ci się rola rednacza w czasopiśmie z 35-letnią tradycją, trudno więc unikać porównań... Szczególnie starsza gwardia narzeka, że „NF” to już nie to, co kiedyś, że publicystyka leży, opowiadania słabe, nakład padł i ogólnie całe „NF”

szezło... Czy uważasz powyższe wyłącznie za odwoływanie się do czasów własnej młodości, czy też transformacja „NF” to zwykły znak naszych czasów? Nie sposób zaprzeczyć, że młodsze pokolenie wraca do pisma obrazkowego. W „NF” widać na przykład coraz więcej recenzji gier planszowych czy komputerowych. Poza tym chciałem jeszcze dopytać, na ile o braku likwidacji pisma zdecydował upór Macieja Makowskiego?

JeRzy: Sam nie wiem, czy nieustanne krytykanctwo pod adresem „NF” bardziej mnie teraz nuży, irytuje, czy śmieszy. Nuży, bo ileż można wysłuchiwać tego smęcenia? Irytuje, bo wkładamy wiele wysiłku w tworzenie pisma, a malkontentom bardzo łatwo jest wszystko zdezawuować. Śmieszy, bo najgłośniej narzekają ludzie, którzy od lat nie mieli go w rękach – wiesz: „Fantastyka” zeszła na psy; nie czytam jej od dziesięciu lat. Aż się prosi, żeby odpowiedzieć: skoro nie czytasz jej od dziesięciu lat, skąd do cholery wiesz, jaka jest teraz? Dodatkowo część krytyków przeoczyła fakt, że czasy się zmieniły i sama fantastyka jako gatunek też się zmieniła. Na łamach „NF” musimy połączyć ogień z wodą, być na bieżąco – na dobre i na złe – z nowymi zjawiskami, tytułami, autorami, ale też sięgać w przeszłość, aby pokazać jej skarby nowemu pokoleniu odbiorców. Jeśli ktoś głosi, że lepsze jutro było wczoraj, a fantastyka nie ma nic ciekawego do zaofiarowania, to z takim stetryczałym nastawieniem do rzeczywistości równie dobrze może położyć się i czekać na śmierć.

Jeśli chodzi o recenzje komputerowe i tym podobne czy odwrót krytyki literackiej – to właśnie typ bredni powielanych przez ludzi, którzy nie sięgają do „NF”, a wypowiadają się na jej temat. Literatura – w formie opowiadań, artykułów, wywiadów z pisarzami, recenzji, felietonów – stanowi

co numer jakieś dwie trzecie lub więcej zawartości pisma. Czy to mało? A my, o czym warto pamiętać, jesteśmy „miesięcznikiem miłośników fantastyki” – we wszelkich jej aspektach. Fantastyka nie kończy się na książkach, ale są też filmy, seriale, komiksy, gry, teatr... Nie widzę powodów, dla których mielibyśmy to wszystko ignorować.

A w kwestii naszego prezesa, Macieja Makowskiego – to prawda, że ma do nas sentyment, ale nie utrzymywałby na siłę „Nowej Fantastyki”, gdyby przynosiła straty. Dobrze, że zarówno on, jak cały nieoceniony sztab, który pracuje nad pismem i grono ludzi dobrej woli, którzy nam pomagają na różne sposoby – wszyscy są zdeterminowani, żeby „NF” trwała na przekór wszelkim przeciwnościom.

Np. w „Nowej Fantastyce” z premedytacją omijamy bieżącą politykę. Po pierwsze dlatego, że czytelnicy potrzebują miejsca, w którym będą mogli odpocząć od tego syfu. Po drugie, ludzie teraz zradykalizowali się bez opamiętania i wszystko podciągają pod politykę – łapią za słówka, mają pretensje, że pisze się o tym czy o tamtym, w taki czy inny sposób. Kiedy w piśmie kilka miesięcy temu w artykule przepuściłem nazwisko polityka – nieważne, że w kontekście naukowych przekłamań, a nie stricte polityki – od razu rozpętała się gównoburza i zaczęto nas szulflakować. To jest chore.

Tymczasem redakcja i współpracownicy prezentują pełną gamę poglądów od lewa do prawa – bliskie im idee na pewno znajdują echo w ich tekstach, ale to jest zupełnie inny poziom przekazu i dyskusji, do którego fantastyka jako gatunek jest wręcz stworzona. „Nowa Fantastyka” ma być polem dialogu, a nie bitwy. Ogólna tendencja jest teraz taka, że ludzie czytają i oglądają te media, które utwierdzają ich w już przyjętych poglądach. A my siedzimy okrakiem na barykadzie i nie dajemy się zawłaszczyć żadnej stronie. Jeśli



dla prawicowych oszołomów jesteśmy lewakami, a dla lewicowych prawakami, to chyba robimy to dobrze.

PZ: Dobrze, było o wyzwaniach i problemach, a co jest najfajniejsze w byciu naczelnym „NF”? Co uważasz za swoje największe sukcesy na tym stanowisku?

JeRzy: Są dwie rzeczy, które bardzo cenię w mojej pracy w „Nowej Fantastyce”. Pierwsza jest taka, że chociaż siedzę tutaj już od ponad dekady – najpierw jako szef publicystyki, a od prawie czterech lat także jako naczelnny – to nadal mi się nie znudziło. Druga to wspaniali ludzie, których ta robota postawiła na mojej drodze. Redaktorzy, współpracownicy, ludzie z wydawnictwa, autorzy, społeczność na stronie fantastyka.pl, partnerzy reklamowi i, *last but not least*, czytelnicy... Wszyscy, którzy wierzą, że warto robić to pismo i warto je czytać.

Samo bycie redaktorem naczelnym to piekielnie odpowiedzialna praca i to w sytuacji, kiedy jestem non stop porównywany do poprzedników, a to, co robię, do mitycznego „złotego wieku”. Wiem, że to porównanie wypadnie zawsze na moją niekorzyść. Znalazłem się w dość kuriozalnej sytuacji: z jednej strony wspierałem się na jeden ze szczytów, które można osiągnąć w polskiej branży fantastycznej, z drugiej mam wrażenie, że nie obchodzi to

psa z kulawą nogą. Pozostaje mi pogodzić się z tym i robić swoje, najlepiej jak potrafię.

Jeśli chodzi o największe sukcesy – cieszyć się ogromnie, że opublikowaliśmy w czerwcu opowiadania Rogera Zelaznego ze świata Kronik Amberu, bo zabiegałem to od lat. Także w tym roku ukazały się w „NF” opowiadania Harlana Ellisona – giganta światowej fantastyki, który w Polsce jest ledwo kojarzony. Darzę go wielką estymą i mam nadzieję, że przyczynię się do tego, że wreszcie zostanie należycie doceniony w naszym kraju. Natomiast najważniejszy sukces odniosę, jeśli uda mi się przeprowadzić w „NF” i na stronie fantastyka.pl zmiany, dzięki którym wyjdziemy na prostą i nabierzemy rozpędu. Pierwsze kroki już zostały postawione.

PZ: Właśnie, sporo ostatnio mówiło się o zmianach w „NF”. Czy mógłbyś przybliżyć te plany?

JeRzy: Od październikowego numeru „Nowa Fantastyka” jest wydawana na lepszym papierze, odrobinę grubszym, ale przede wszystkim bielszym, dzięki czemu ładniej wygląda. Do tego staramy się tak ustawić harmonogramy w nowej drukarni, aby wyeliminować problem opóźnień, który doskwierał wielu prenumeratorom i żeby nowe numery pisma docierały do nich albo wcześniej niż trafiają do zwykłej sprzedaży,

albo przynajmniej równocześnie. Również w październiku zaczęły się nowe „Rady dla piszących”, w których Wojciech Chmielarz uczy, jak w fantastycznych realiach konstruować fabuły kryminalne. W tym samym numerze na łamach pisma wystartowała doroślejsza wersja popularnego komiksu *Lil i Put* Macieja Kura i Piotra Bednarczyka. Podejmujemy współpracę z Warsaw Comic Conem – będziemy jego patronem medialnym, myślimy nad wspólnymi przedsięwzięciami. Wciąż zabiegam o postawienie nowej strony internetowej, poza tym przeprowadziliśmy ankietę, w której badaliśmy zainteresowanie wersją czytelnikową czasopisma, ale szczególnie pod kątem osób, które byłyby chętne zaprenumerować (choćby właściwsze byłoby tu słowo „zasubskrybować”) pismo i kupować je w tej formie regularnie. Chcieliśmy wiedzieć nie tylko, jak duże jest zainteresowanie e-wydaniem, ale także jak może się to przełożyć na wyniki wydania papierowego. Staram się też w wydawnictwie podsuwać pomysły związane z wydawaniem różnych książek fantastycznych – chciałbym, żeby seria omnibusów, w której ukazały się trzy książki Ursuli Le Guin, a wkrótce wyjdą również David Eddings i Harlan Ellison, odniosła sukces. Jeśli się uda, kolejne omnibusy mogłyby się ukazywać parę razy do roku, a ja już podsuwam nowe typy warte wydania w tej formie. Te pozycje mogą stać się sztandarową serią fantastyczną wydawnictwa Prószyński i S-ka.

PZ: Historia pokazuje, że każdy komercyjny magazyn fantastyczny (a.k.a. konkurent „NF”) w końcu obumiera i upada lub zostaje zawieszony. Można by długo wymieniać: „Science Fiction”, „Fantasy” i „Horror, Fenix”, efemeryczne loty polskich implementacji „Fantasy & Science Fiction”, „Asimov’s...” Czy na polskim rynku nie ma miejsca dla więcej niż jednego czasopisma

o tematyce fantastycznej? Umyślnie omijam tutaj temat bezpłatnych zinów.

JeRzy: Myślę, że miejsce jest, ale czynników, które trzeba brać pod uwagę, jest mnóstwo. Jeśli pismo ma być profesjonalne, musi płacić autorom i redakcji. Druk też kosztuje. Dystrybucja żre kasę jak hippis tofu w gastrofazie. Do tego trzeba jakoś ogarniać zaplecze – strona prawna, umowy, księgowość, podatki, ZUS... I wszystko musi wyjść na plus. Musisz zatem mieć taką cenę i przy tej cenie taką sprzedaż, żeby to się dopięło, lub pozyskać dobrych reklamodawców. A żeby pozyskać reklamodawców, musisz być dla nich atrakcyjny – treścią, zasięgiem, wyglądem, etc. Do tego dochodzi niezbędna dyscyplina: profesjonalne pismo to terminy, a terminy to świętość. Nie wystarczy sprzążyć się raz, trzeba wpaść w rytm i miesiąc po miesiącu dostarczać solidnie przygotowany produkt.

No i wejście na rynek to jedno, a utrzymanie się na nim na dłużej to zupełnie osobna bajka. Kiedy mija efekt świeżości, czytelnicy stają się bardziej krytyczni, zaczynają odpływać, zapominać – trzeba o nich nieustannie walczyć, zabiegać, pielęgnować. A promocja to dodatkowy nakład pracy i koszty.

PZ: Patrząc na to, jakie książki recenzujesz, wynikałoby, że czytasz dużo YA. Czy odnajdujesz się w takiej literaturze, czy też nikt inny nie chce jej czytać, więc zostaje Tobie? YA w końcu przez wiele osób jest lekceważona i rozpatrywana pod względem sukcesu komercyjnego.

JeRzy: Bo ja wiem, czy dużo? Najwięcej w tym Josepha Delaney’a i Johna Flanagan’a. Delaney stworzył świetny cykl Kroniki Wardstone i jego kontynuację Kroniki Gwiazdnej Klingi. Jak na młodzieżowe fantasy to mroczne opowieści, a on konsekwentnie trzyma poziom, chociaż ma już na koncie kilkanaście tomów. Flanagan z kolei pisze rzeczy lżejsze – trochę naiwne, raczej

konwencjonalne i mocno idealistyczne. A ja lubię je chyba właśnie za ten idealizm, bo cynizm potrafi się przejeść, zarówno w życiu, jak w lekturach. Co jeszcze oprócz tych dwóch? Ransom Riggs – ten od *Osobliwego domu pani Peregrine* – i Gina Damico, której *Zgon* jest tak cholernie niedocenioną w Polsce książką, że wciąż nie mogę zrozumieć, jak to się stało. Nie wiem, czy traktować Rowling jako *Young Adult*.

Nie lekceważę tego gatunku i odradzam innym takie rozumowanie. Przecież na tych książkach wychowuje się przyszłe pokolenie czytelników fantastyki. One kształtują ich gust, czytelnicze upodobania, wyobraźnię, ale też pewne postawy i filozofie życiowe. Coraz więcej pisarzy to rozumie i zaczyna pisać książki *Young Adult*, licząc na to, że z czasem młodzi czytelnicy, zanęcani w ten sposób, sięgną także po ich „dorosłe” książki.

PZ: Dobrze, może dość o „NF”. Czym się jeszcze obecnie zajmujesz?

JeRzy: Zasadniczo jestem skupiony na „NF”; chyba Jarek Grzędowicz powiedział kiedyś, że jak jest się redaktorem naczelnym, to nie ma się czasu na nic innego. A ja w zasadzie łączę obowiązki naczelnego, sekretarza redakcji i szefa działu publicystyki – kiedyś to były trzy odrębne etaty w piśmie. Okazjonalnie pisuję do internetu: felietony do Kawerny i jakieś recenzje tu i ówdzie. Gdybym miał się bardziej zaangażować w jakąś dodatkową robotę, wolałbym, żeby było to coś angażującego mnie w inny sposób niż praca redakcyjna i najchętniej zespołowego. Chętnie podziałabym przy projektowaniu gry planszowej; jakiś czas temu przymierzaliśmy się z przyjaciółmi do stworzenia escape roomu.

PZ: Gdzie i gdzie można znaleźć Twoje opowiadania, porzucane po różnych antologiach i czasopismach. Wszystkie jednak ukazały się już dość dawno temu. Rozumiem, że z różnych powodów

przerzuciłeś się na publicystykę, ale czy wciąż piszesz fikcję?

JeRzy: W lipcu tego roku mija dokładnie dwadzieścia lat od mojego debiutu literackiego na łamach „Fenixa”. Nie było tych moich opowiadań dużo, części z nich się wstydzę i lepiej byłoby, gdyby w ogóle nie powstały, ale było też parę takich, z których nadal jestem zadowolony. Niestety, zablokowałem się jakieś dziesięć lat temu. Wciąż mam pomysły, garść napoczętych, porozgrzebywanych opowiadań leży na dysku – brakuje mi tylko jakiegoś czynnika, który by mnie zmotywował, żeby któreś z nich skończyć. Na początku roku obiecywałem sobie, że na to moje lipcowe dwudziestolecie ukończę jeden tekst, który najbardziej chciałbym puścić w świat. Nic z tym nie zrobiłem. Uwieram mnie to.

PZ: Twój top 3... 5... kilku powieści fantastycznych ever. I osobno może opowiadań.

JeRzy: Z powieściami nawet nie będę próbował. Gdybym zaczął wymieniać, to bym długo nie skończył. Za to z opowiadania będzie łatwo, bo mam dwa ulubione teksty wszech czasów. Pierwszy to *Rycerskość Neila Gaimana*, która, nota bene, ukazała się po raz pierwszy po polsku w „Nowej Fantastyce” – kwintesencja tego, co najlepsze w jego twórczości. Drugi to „Złudzenia dla smokobójcy” Harlana Ellisona, nominowany do Hugo w 1967 roku, który ukazał się w październikowej „NF” w moim tłumaczeniu, razem z dwoma innymi opowiadania tego autora. Ellison to pisarz, który nie cacka się z czytelnikiem, wali go swoimi opowiadania po łbie, drażni się z oczekiwaniami. I właśnie takie są *Złudzenia*. Mam nadzieję, że od tego momentu Ellison zacznie tryumfalny pochód na półki polskich czytelników. Zasluguje na to.

PZ: Dziękuję serdecznie za rozmowę. ■

PIOTR ZAWADA

Polcon 2017

Marcin Kłak

Tegoroczny Polcon był dla mnie bardzo niejednoznacznym konwentem. Wiele rzeczy mi się nie podobało, ale też niektóre elementy imprezy okazały się świetne. Trudno mi więc wystawić całemu wydarzeniu konkretną ocenę. Nie zasługuje na pewno na szkolną piątkę, ale i jedynka nie odzwierciedla tego, jaki był. Może najlepsza byłaby trójka, ale nie jestem też przekonany, że należy mu się łątka „przeciętniaka”. Postaram się więc nieco o moich odczuciach napisać, by zamiast oceny liczbowej posłużyć się opisową.

Na wiele miesięcy przed imprezą na stronie internetowej w oczu rzuciła mi się pewna informacja. Zamiast „akredytacji” można było kupić „bilety”. Różnica niby czysto semantyczna, lecz dla mnie pokazująca trochę zatracenie „fandomowości” imprezy. Wiem, że nie wszyscy się tu ze mną zgadzają, część osób uważa pewnie, że to tylko czepianie się mało znaczących drobiazków, ale jest to jednak istotny szczegół.

Tematem, który zwrócił moją uwagę również na długo przed Polconem, była identyfikacja wizualna. Rewelacyjnemu rysunkowi towarzyszyło dość minimalistyczne, ale charakterystyczne logo. To ostatnie niestety do mnie nie przemawiało. Kwestia gustu, ale jakoś nie potrafię się nim zachwycić.

Doceniam za to spójność identyfikacji wizualnej. Logo i jego wariacje były widoczne na stronie, w materiałach konwentowych, a nawet na naklejkach, którymi oznaczano, kto już oddał głos na Nagrodę Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla Mam nadzieję, że logotypy przyszłych Polconów trafią bardziej w moje gusta, ale jeśli weźmiemy pod uwagę konsekwencję wykorzystania i spójność, to ekipie z Lublina należą się pochwały.

Sam początek konwentu niestety nie spełnił oczekiwań. W czwartek w powietrzu unosił się chaos. Najbardziej dotknięci nim byli chyba wystawcy z wioski fanowskiej, ale i w innych miejscach dało się go wyczuć. Sam mogłem narzekać trochę na nieefektywność akredytacji i brak informacji w punkcie info. Na szczęście potem wyglądało to lepiej, choć jakiś niesmak pozostał.

Największym rozczarowaniem Polconu była ceremonia otwarcia. Na samym początku nic nie zapowiadało katastrofy – zaserwowano nam piosenkę. Nie była może zachwycająca, ale też nie dawała powodów do krytyki. Potem niestety na scenę wyszedł kabaret, którego nazwy nie podam celowo, aby go niepotrzebnie nie promować. Rzeczony kabaret wykonał trzy piosenki, po których nastąpiło przemówienie koordynatora



imprezy, a następnie panowie wrócili na scenę, by „uraczyć” nas kolejnymi utworami. Kiedy po krótkiej przemowie koordynatorki programu kabareciarze wrócili na scenę po raz trzeci, zdecydowałem się opuścić salę.

Nie byłem pierwszym wychodzącym. Przedemną uczyniło to mnóstwo osób, ale pomimo niezadowolenia chciałem wytrwać do końca. Niestety i moja cierpliwość ma swoje granice. To, że zaproszony kabaret nie oferował nic wspólnego z fantastyką ani z Polconem, nie przesądzało o sprawie. Że ich piosenki były słabe – to trochę gorzej. Jednak na poczucie humoru – nie tylko kiepskie, ale i obraźliwe – nie dało się już przymknąć oka. Seksistowskie i homofobiczne wstawki oraz naigrzanie się z tragedii dziesiątków kobiet to coś, na co nie powinniśmy się zgadzać w ogóle. Tym bardziej raził fakt zaproszenia takich wykonawców na ceremonię otwarcia konwentu. W całej sytuacji cieszy mnie jedynie postawa fanów, którzy wychodząc, dali wyraźny sygnał, że pewnych rzeczy nie akceptujemy.

Mógłbym tu kontynuować wyliczanie innych błędów, jednak poprzestanę na już wspomnianych.. W różnych miejscach Polconowi oberwało się dotąd dostatecznie, warto więc też wspomnieć o pozytywach.

Dla mnie największą zaletą tegorocznej edycji konwentu był blok fandomowy. Na pewno nie będę tu obiektywny, bowiem miałem zaszczyt być gościem tego bloku, ale chcę podkreślić, jak cieszy mnie jego obecność na tegorocznym Polconie. Program bloku skupiał się dość mocno na aspektach organizacyjnych imprez fanowskich. Tematyka ta jest istotna, jednak nie dla wszystkich równie ciekawa. Byłoby świetnie, gdyby w kolejnych latach nieco ją zróżnicowano, a kolejne ekipy o niej pamiętały przy tworzeniu programu.

Niezmiernie ciekawą atrakcją była wystawa podsumowująca historię Polconów. Ekspozycję przygotowała Elżbieta Gepfert. Ona też, wraz z Piotrem W. Cholewą, odpowiadała za wernisaż (na którym niestety nie mogłem się pojawić). W osobnej sali



możliśmy zobaczyć zdjęcia z bodaj wszystkich Polconów, a także historyczne identyfikatory czy inne pamiątki z konwentów z ostatnich 30 lat. Uważam, że za przypomnienie historii Polconu (a co za tym idzie znaczącej części historii fandomu w Polsce) należą się wielkie brawa.

Brakuje mi nieco w polskim fandomie dyskusji o nas samych, o ideach fandomowych i historii konwentów oraz ruchu fanowskiego. Tegoroczny Polcon jest jedną z imprez, które pokazały, że to tematy ważne i mogące przyciągnąć ludzi. Nie łudzę się – istnieją atrakcje, które skupiają dużo większą publikę. Uważam jednak, że tematy okołofandomowe są ważne i powinny być jak najczęściej poruszane – czy to w ramach publicystyki, czy wystaw, dyskusji i prelekcji.

Nie byłoby oczywiście Polconu bez gali wręczenia Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla. W tym roku ceremonia była dość skromna, ale przyjemna. Pomimo początkowych obaw wszyscy chętni zmieścili się na sali. Na pochwałę zasługuje fakt, że osobom, które wyraziły taką potrzebę, przed rozpoczęciem gali wręczono wodę mineralną. Także przed samą ceremonią medycy wyjaśnili krótko zasady postępowania na

wypadek, gdyby ktoś zasnął. Tegoroczne „Zajdle” trafiły aż do trzech autorów. W kategorii powieści statuetkę otrzymał Krzysztof Piskorski za *Czterdzieści i cztery*. Z kolei najlepszym opowiadaniem okazał się *Wywiad z Borutą* i tu nagrodą podzielili się Michał Cetnarowski i Łukasz Orbitowski (ten ostatni niestety nie był obecny).

Jak co roku mocną stroną Polconu było socjalizowanie się z przyjaciółmi. W Lublinie do wyboru mieliśmy wiele miejsc – knajpa konwentowa, strefa gastronomiczna umieszczona zaraz obok otwartej sceny czy wreszcie korytarze UMCSu. Nie wiem, na ile można to poczytywać za zasługę organizatorów, ale wszystkie te miejsca sprzyjały „socjalowi”.

Jaki więc był Polcon 2017? Powtórzę się – niesamowicie niejednoznaczny. Częściowo wywołał we mnie silny niesmak, a częściowo mnie zachwycił. Pomimo problemów organizacyjnych można jednak było znaleźć w nim coś dla siebie. Mimo początkowego rozczarowania bawiłem się nieźle i wróciłem z Lublina z licznymi dobrymi wspomnieniami. Pozostaje mieć nadzieję, że organizatorzy kolejnych edycji będą się uczyli nie tylko na błędach, ale i na sukcesach poprzedników. ■

MARCIN KŁAK

Ekonomia niedoboru

Michał Szymański

Sabaa Tahir powraca na półki polskich księgarń z drugim tomem swojej serii dla starszej młodzieży. Dwa lata temu recenzowaliśmy tom pierwszy, czas się przyjrzeć kolejnemu. I odpowiedzieć na kilka pytań zadanych w tamtej recenzji.

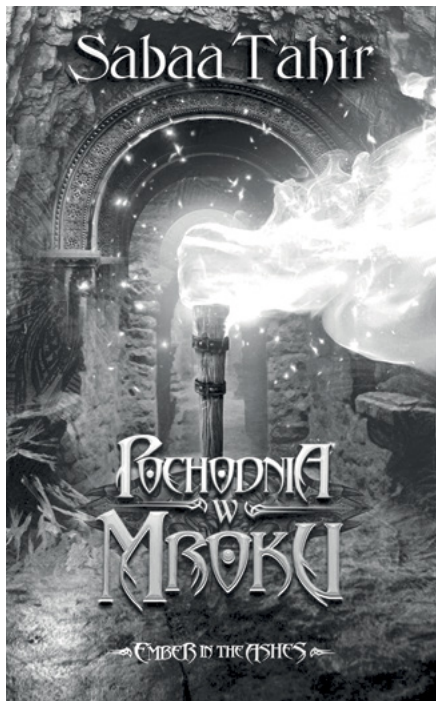
Po traumatycznych wydarzeniach pod koniec części pierwszej główni bohaterowie – Laia i Elias – muszą uciekać przed żołnierzami Imperatora. W mieście trwa rebelia Scholarów, która stopniowo zamienia się w rzeź, a brat Lai tkwi w więzieniu Kauf na drugim końcu Imperium. Plan protagonistów to uwolnić go z lochu i wyzyskać jego metalurgiczną wiedzę z pożytkiem dla rebelii. W pościg za nimi zostaje wysłana Helena, której rodzinę nowy imperator Marcus postanawia wykorzystać do wzmocnienia swojej pozycji. Tymczasem komendantka Keris Veturia nadal coś knuje. I okazuje się, że ma nieoczekiwanych współników.

Na samym początku trzeba uczciwie powiedzieć: jedyńka była lepsza. Miała w sobie więcej rozmachu, oryginalności i emocji. Bardzo wyraźnie było w niej też widać zaczątki wizji przyświecającej autorce, jakąś

ambicję, by czytelnik mógł wyciągnąć z opowieści coś więcej niż tylko ciąg zdarzeń i wyobrażenie bohaterów. W części drugiej to wszystko niby nadal jest obecne, ale jakby w mniejszej dawce. Trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby zauważyć.

Może to wina tempa narzuconego przez wydawnictwo. Część pierwsza powstawała na przestrzeni sześciu lat, część druga – niecałych dwu. A może autorka w kontynuacji skupiła się po prostu na pchaniu fabuły naprzód? Uznała, że dość się już naprzedała bohaterów i świata? Trochę szkoda, bo właśnie świat ma dużo większy potencjał niż umieszczona w nim fabuła. Widać to na każdym kroku, a nie zawsze coś więcej z tego potencjału wynika.

I tak w *Pochodni* dowiadujemy się trochę więcej o mitologii Imperium, która – jak na mitologię w fantasy przystało – ma namacalny wpływ na rzeczywistość. Proces odchodzenia w zaświaty wymyślony przez Tahir jest chyba moim ulubionym elementem tej serii, bardzo oryginalnym i świetnie przemyślanym. Również postać nadzorującej umarłych Łowczyni Dusz to prawdziwy



majstersztyk. Liczę po cichu, że w części trzeciej przyjrzymy się bliżej temu aspektowi historii. Furtka jest.

Dowiadujemy się też trochę o dżinach i ifrytach, przyglądamy się z bliska świątyni Augurów, poznajemy pewien niezwykle cenny artefakt oraz postać stojącą za intrygami Keris Veturii. Fantastyczna strona serii prezentuje się coraz ciekawiej. Tym bardziej chce się zakrzyknąć: więcej tego! Czemu tak mało cukru w tym cukrze?!

Fabularnie *Pochodnia w mroku* to powieść drogi – bohaterowie głównie uciekają, rzadziej kogoś gonią, z wyjątkiem wielkiego finału właściwie ciągle są na szlaku. Mogłoby się w tej drodze więcej dziać. Albo to, co się dzieje, mogłoby nieco bardziej angażować czytelnika. Jakoś przez całą książkę nie umiałem uwierzyć, że głównym bohaterom faktycznie coś zagraża. Siedziałem

i wypatrywałem nagłego zwrotu akcji. Nie sprzyjało to zaangażowaniu w historię.

Co innego Helena.

To chyba największa zmiana w porównaniu z pierwszą częścią – tam tylko dwoje bohaterów miało własne rozdziały, tutaj ma je również Helena Aquilla, beznadziejnie zakochana w Eliasie prawa ręka Imperatora. I dobrze, że ma, jej pościg za zbiegami i gra, którą prowadzi z Keris i Marcusem, wypadają dużo ciekawiej niż wątek Eliasa i Lai. Aż po finał, bardzo surowy i dobrze zrealizowany. Duży plus za tę postać, oby w części trzeciej nie straciła „głosu”. A może ktoś jeszcze będzie miał okazję przejąć pierwszy plan w kontynuacjach? Kilka rozdziałów pisanych „za pleców” Imperatora mogłoby wyjść powieści na zdrowie.

Odkąd pisałem recenzję *Ember in the Ashes* do czwartego numeru „Smoku”, nie wypłynęły absolutnie żadne nowe informacje na temat ekranizacji. Fani prześcigają się w odgadywaniu obsady i montowaniu amatorskich trailerów, ale Paramount milczy jak zakłęty. Może po klęsce *Wiernej* ktoś w wytwórni postanowił wstrzymać inwestycję?

Jeszcze dwa słowa o samym wydaniu. Część druga wyszła już pod normalnie przetłumaczonym tytułem, zachowała jednak angielski tytuł pierwszego tomu jako tytuł serii. Karkołomne, ale dość zrozumiałe. Zabieg odrobinę psuje wygląd książek na półce, widać niekonsekwencję, widać gorszą jakość czcionki. Ktoś w oficynie AKURAT ewidentnie przekombinował. Może będą mieli okazję naprawić ten błąd okładkami filmowymi?

Podsumowując, *Pochodnia w mroku* nie jest książką złą, ale też nie jest tak dobra, jak *Imperium ognia*. Nie wybija się ponad przeciętność. Zostawia za to kilka furtek dla ciekawych wątków w części trzeciej. Pozostaje uzbroić się w cierpliwość i mieć nadzieję. ■

MICHAŁ SZYMAŃSKI

ZiJava9

KONWENT GIER BEZ PRĄDU



RPG



PLANSZÓWKI

KARCJANKI



LARP

19-21 stycznia 2018 WARSZAWA

www.zjava.pl

SON

Imaginatio

Twoja broń w walce z rzeczywistością

